

WIKTOR SUWOROW

ŻMIJOJAD

Powieść z cyklu o Nastii Strzeleckiej



Wiktor Suworow

Żmijojad

Przełożyła:
Anna Pawłowska

Dom Wydawniczy REBIS

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

Prolog

– Czyli przez całe swoje życie nie zabiłeś ani jednej osoby?

– Tak jest: ani jednej.

– W ogóle żadnej?

– Tak jakoś wypadło.

– Nigdy przenigdy?

Zupełnie się chłopak spieszył:

– Nigdy...

– Masz ci los! Niedługo skończysz dwadzieścia jeden lat, a ty...

– Tak życie się układało, że...

– Przypomnij sobie. Może w młodości... No, chociaż jedną... Albo może w dzieciństwie?

– Nie zabiłem.

– Więc po co cię do nas przysłali?

– Nie wiem. Podpisano rozkaz stawienia się u was, więc się stawiłem. Dowództwo wie lepiej.

– A kim byłeś przedtem?

– Zwiadowcą-observatorem na ósmym peronie Dworca Jarosławskiego.

Wykonawcy wymienili spojrzenia, gwizdnęli: to dopiero kariera!

– Chłopie, widocznie dobrze żyjesz z górą: ze zwiadowcy-observatora od razu na pomocnika wykonawcy w Lefortowie! Takiego skoku przed tobą nikt nie wykonał. Taki rozkaz mógł podpisać tylko osobiście komisarz ludowy towarzysz Jagoda.

– No właśnie on podpisał.

– Kto ciebie ciągnie z taką prędkością po drabinie służbowej?

– Nie wiem, kto ciągnie. Słowo komsomolca, nie wiem. Nie mam pleców. Jestem sierotą. Z bezdomnych. Znacie w Bolszewie zakład reedukacyjny NKWD dla marginesu? Imienia towarzysza Dzierżyńskiego. Stamtąd jestem. Wychowano, reedukowano – i do wywiadu. Przez dwa lata pracowałem jako obserwator na dziesiątym peronie, później awansowali mnie, rzucili na ósmy. Rok tam zasuwałem, obiecali na siódmy przenieść za pilną pracę, a tu nagle hop: rozkaz – pomocnik wykonawcy...

– Coś tu nie gra. To się nie zdarza. Żeby zająć na takie szczyty, ludzie przez całe życie harują. Kolejka do naszej grupy jest dłuższa od Kanału Białomorsko-Bałtyckiego. Do nas proszą się zasłużeni ludzie, nie bierzemy... Do nas rwą się wykonawcy z republikańskich komisariatów, wirtuozi z wieloletnim doświadczeniem...

– A mnie od razu do was...

– A może nie przyjmiemy cię, niegramotnego, do naszego kolektywu! Po kiego licha ty nam?

– Tak mam zameldować w sekretariacie towarzysza Jagody? Rozkaz podpisał własnoręcznie.

– Rozkaz – poważna sprawa. Ale nasz kolektyw jest zgrany. Nie zgrasz się z nami – wyrzucimy. I towarzysz Jagoda nie pomoże. Sam się od nas wyprosisz. Mamy poważną pracę. W każdej sprawie stawiamy ostatnią kropkę. Tu trzeba myśleć. Teraz sprawdzimy cię na bystrość. Gotów?

– Gotów.

– Zobacz, przed wykonaniem wyroku należy się upewnić, że to jest właśnie ten, kogo nam potrzeba. Z tej przyczyny klienta przywożą tu do nas. Prosto do tego gabinetu. Klient nie wie, że go od razu – ten tego. Warunki u nas, jak widzisz, są odpowiednie ku temu, nawet firaneczki w oknie. Siedzę przy biurku. Akta przede mną. Przerzucam kartki. My tu przestrzegamy manier. Proponuję mu, żeby usiadł. I pytanki – imię, nazwisko, rok urodzenia... A na biurku z prawej mam paczkę kazbeków i zapałki. Co byś z lewej położył?

Chłopak rzucił spojrzenie w sufit. Ale na suficie nie było odpowiedzi. Spojrzał w okno. Ale i tam nie znalazł nic ciekawego. Trzeba było myśleć samemu. I domyślił się:

– Paczkę miętowych pierników.

Wykonawcy wymienili spojrzenia. Zgodzili się w milczeniu: chłopak dobrze rozumuje.

Rozdział 1

1

- Nazywam się Jolanta.
- A ja... – Przez chwilę zastanawiał się. – A ja Iwan Iwanowicz.
- No to się poznaliśmy, Iwanie Iwanowiczu.
- Ile masz, Jolanto, latek?
- Już osiemnaście – bez mrugnięcia, z wprawą zełgała Jolanta.
- I... ile to kosztuje?
- Trzy ruble.
- Oszalałaś?
- Poszukajcie taniej.
- Dam dwa.

Jolanta zmierzyła taksującym wzrokiem otchłań nieba i zgodziła się:

- Niech będzie dwa, tylko najpierw kasa.

Tak szybko się zgodziła, że nawet pożałował: można było zaproponować rubla albo półtora. Ale propozycja padła i została przyjęta.

- Dobra. A gdzie?
- Mam miejsce.
- Co za miejsce?
- Przez plac dworcowy, przez tory tramwajowe, za rogiem, tam, w zaułku – szynk, za szynkiem – stajnia, na strychu – siano. Nikogo na tym strychu nie ma.
- Dobrze. Tylko zapłacę, jak dojdziemy. Żebyś nie zwiąta z kasą.
- Ach, jacy jesteśmy nieufni... Proszę za mną, tylko po tamtej stronie

ulicy. I nie gapcie się na mnie przez cały czas. Spacerujecie. Mnie nie znacie i nie zauważacie.

2

- A więc od samego początku.
- Towarzyszu generalny komisarzu bezpieczeństwa państwowego, wszystko było jak zawsze. Ale tym razem pękła opona...
- Trzeba było wymienić.
- Zapasowa okazała się dziurawa.
- Trzeba było zadzwonić.
- Dzwoniłem, nikt nie odbierał, znowu...
- Krótko mówiąc, jak bardzo się spóźniliście?
- Dwie godziny i dziewięć minut.
- Dalej.
- Byłem na Dworcu Jarosławskim z opóźnieniem. Wszystko przeszukałem. Nie było go.
- Zgłaszaliście na milicję?
- Oczywiście, że nie.
- Słusznie. Więc gdzie jest?
- Nie wiem, jak pod ziemię się zapadł.
- Władystok-Moskwa przyjechał na pierwszy peron?
- Jak zawsze na pierwszy.
- Ustaliliście, kto pracował na pierwszym?
- Powinien być Zwonariow, pseudonim Bryl. Ale jest na szkoleniu. Zamiast niego pracował Żmijojad z ósmego peronu.

3

- Dzień dobry, Żmijojadzie.
- Czołem, towarzyszu ludowy ko...
- W domu jestem po prostu Gienrich Grigorjewicz.
- Dzień dobry, towarzyszu Gienrichu Grigorjewiczu.

Gienrich Grigorjewicz podał rękę. Żmijojad uścisnął delikatną białą dłoń ludowego komisarza spraw wewnętrznych.

- Siadajcie.

Żmijojad siada, a przy tym zauważa: ludowy komisarz niepostrzeżenie pod stołem wytarł rękę chusteczką batystową z wyhaftowanymi literkami, po czym wyrzucił ją do kosza na śmieci. Również niepostrzeżenie. Ale Żmijojad nie na próżno odstał trzy lata jako zwiadowca-obszernik na Dworcu Jarosławskim. Żmijojad wszystko widzi. Tylko nie pokazuje, że widzi. Tak go nauczono. Wielka władza, wiadoma sprawa, ma szacunek dla własnych rąk. Poprzednik towarzysza Jagody, towarzysz Mienżyński, miał taką samą manierę – przyjeżdżał do zakładu reedukacyjnego do Bolszewa, podawał rękę całej chuliganerii. A potem czasami zachodził za róg, żeby nikt nie widział, i ze specjalnego kanistra lali mu spirytus. Bezdomni powiedzieli mu kiedyś, że byłoby lepiej, gdyby nie podawał im ręki i nie odkażał dłoni spirytusem, a od razu oddał im baniak, bo wtedy by go jeszcze bardziej kochali...

- A więc, drogi Żmijojadzie, macie teraz nową pracę.

Pomyślał Żmijojad, co by takiego odpowiedzieć, ale nic mądrego nie wymyślił. Zamiast odpowiedzi skinął głową.

- Podoba się?
- Jeszcze jak!
- To ja was wciągnąłem na ten szczyt.
- Dziękuję, Gienrichu Grigorjewiczu.

– Rozkaz na razie tymczasowy, ale jeśli będziecie dobrze pracować... podpiszę rozkaz ostatecznie.

– Postaram się.

– Teraz do rzeczy. Przede wszystkim podpiszcie ten papier. To kwit o zachowaniu tajemnicy. Wy, Żmijojadzie, nigdy nie byliście w mojej dacy, nigdy mnie nie spotkaliście, nigdy ze mną nie rozmawialiście.

– Zrozumiałem.

– Skoro zrozumiałeś, podpisz. Wyjdziemy do ogrodu. Duszno tu.

4

– Luśka!

– Tak.

– Luśka, kogo, dziwko, przyprowadziłaś?

– Klienta.

– Przecież to czekista.

– A skąd mogę to wiedzieć?

5

– Towarzyszu Żmijojadzie, oto dziesięć zdjęć. Czy widzieliście któregoś z tych ludzi wczoraj na pierwszym peronie Dworca Jarosławskiego?

– Tego widziałem. Kurier Władywostok-Moskwa przyjechał o 15.10. Wsiadł z szóstego wagonu.

– Chwilę... W pociągu jest dwanaście wagonów. W Moskwie wysiadają wszyscy pasażerowie. Tłumy spotykających. Wasza zmiana – osiem godzin. W ciągu zmiany tyle pociągów przyjeżdża i odjeżdża. A wy jednego dojrzelście? Jednego zapamiętaliście? Czymś zwrócił uwagę?

– Nie, ten nie rzucał się w oczy. Ale ja wszystkich oglądam. Taka praca.

– Mówcie dalej.

– Ten był w szarym garniturze, w kapeluszu, z teczką. Myślę sobie, czekista. Kierownik średniego szczebla.

– Nie, nie. To nie czekista. A dlaczego tak uznaliście?

– Po prostu sporo ich widziałem w swoim życiu. Założyłem...

– Pomyliliście się.

– Jakies piętnaście minut później, kiedy tłum ruszył, znowu pojawił się na peronie. Wyraźnie kogoś szukał.

– A potem?

– Potem poszedł sobie.

– Ten człowiek zniknął. Jak myślicie, gdzie mógł się podziać?

– Wariant najbardziej prawdopodobny: koleisie wystawili lałę uliczną i złapali klienta na przynętę.

Skrzywił się ludowy komisarz:

– Możecie po rosyjsku?

– Przepraszam, Gienrichu Grigorjewiczu. Człowiek podróżował prawie dwa tygodnie pociągiem, przedtem, być może, płynął statkiem na kontynent cztery, a to mogło trwać i pięć dni, wymęczył się, a tu – Moskwa, wysiadł na peronie, nikogo nie spotkał, przespacerował się, czekał, znowu się przespacerował, a na placu Trzech Dworców polują uliczne dziewczynki...

– I co potem?

– Potem zaprowadzi taka larwa do cichego zaułka, zaproponuje na początek coś wypić. Sama łachudra paskudna oczywiście pije pierwsza, potem jemu polewa. W tym momencie decyduje zwinność rąk. On łyknie i ścina go z nóg. Tu pojawiają się partnerzy, ściągają ubranie, portfel, bransoletki...

– A co z nim?

– Jego wyrzucą pod most albo w krzaki na cmentarz. Golutki ocknie się

następnego dnia – w głowie huk, nic nie pamięta. Tylko jeżeli to czekista – tym gorzej dla niego.

– Dlaczego gorzej?

– Dlatego że złodzieje zajrzą do portfela, zrozumieją, kogo rąbnęli. Czekista tak po prostu tego nie zostawi, później będzie ich szukał całe życie. Więc żeby nie szukał...

– Słuchajcie, Żmijojadzie, trzeba tego człowieka znaleźć. Być może jeszcze żyje. To jest bardzo ważne. Zapewniłem wam niebywałą awans, jeszcze dam mieszkanie, zadbam o przyszłość, w nowej pracy – najwyższa pensja i sporo wolnego czasu. Cały czas wolny macie przeznaczyć na poszukiwania. Meldować tylko mnie. Jak planujecie szukać?

– Tu, towarzyszu generalny komisarzu bezpieczeństwa państwowego, nie ja powinienem wam podpowiadać – trzeba powiadomić wydziały rejonowe NKWD Moskwy i okolic, przetrząsnąć wszystkie strychy i piwnice, wszystkie pustkowia, rumowiska, ogrody, parki, rozesłać zdjęcie: zaginął człowiek...

– Nie, nie, tylko nie to...

– To jest tylko jedno wyjście: szukać przynęty. Znam wszystkie lale, które regularnie się kręcą na Trzech Dworcach. Miejscowa larwa nie odważy się na coś takiego. Nikt jej nie pozwoli. Do takiej akcji nadaje się tylko przyjezdna.

– I wy wczoraj na dworcu... zauważyliście nową, przyjezdną?

– Zauważyłem.

– Czego potrzebujecie do poszukiwań?

– Dajcie mi kartotekę wszystkich młodocianych dziwek i złodziejek Związku. Najlepiej według regionów – od Moskwy po same kresy. Poza tym w każdej moskiewskiej szkole, w każdej klasie, na koniec roku szkolnego robi się zdjęcia grupowe... Trzeba zebrać wszystkie zdjęcia ze wszystkich szkół, domów dziecka, kolonii dla nieletnich za ostatnie dwa, trzy lata... Nazbyt niedojrzała się trafiła.

- Nie trzeba zbierać zdjęć. Mamy w NKWD wszystkie w komplecie. Przydzielę wam lokal. Ale jeżeli... Jeżeli... nie jest z Moskwy?
- Wtedy będę szukał jarosławskich, tulskich, twerskich...
- Macie dużo pracy na jutro w Lefortowie?
- Nie, mam dwa dni wolnego, a potem musimy wykonać wyrok tylko na jednym zinowiercu z procesu.
- Zrobimy tak. W ogrodzie za jabłonią i bżem jest nieduży domek. Nikogo tam nie ma. Przygotują wam miejsce do pracy, poślanie, zapewnią wyżywienie. U kucharza zamawiajcie wszystko, czego dusza zapagnie. Mój sekretarz Paweł Pietrowicz dostarczy katalogi nieletnich kryminalistek. Później dowiezie zdjęcia ze wszystkich szkół Moskwy. Zabierajcie się do roboty natychmiast.

6

Dacza, a raczej posiadłość, ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR, generalnego komisarza bezpieczeństwa państwowego Gienricha Grigorjewicza Jagody, znajduje się w osadzie Kommunarka. W tym samym miejscu – poligon egzekucyjny, który w rozmachu działalności bynajmniej nie ustępuje poligonom w Baryszu, Butowie, Strumilinie i nawet w Kuropatach.

Dobre to, że do Moskwy jest zupełnie blisko. Najważniejszych wrogów rozwala się w moskiewskich więzieniach. Ale to, można powiedzieć, ręczna robota. Mało której nocy – kilkudziesięciu. A jeżeli trzy, cztery setki naraz, to wtedy za tamtą ciężką bramę.

Jeszcze to jest dobre, że nie trzeba marnować sił na ochronę wielu obiektów. W Kommunarce wszystko w jednym – i daczę kierownictwa, i dom wypoczynkowy czekistów, i centrum szkoleniowe z niedużą strzelnicą, i oczywiście specjalna parcela za wysokim szarym płotem.

Wspaniałość przyrody nie do opisanie. I cisza, kiedy nie ma egzekucji.

Ale i te specjalnie nie zakłócają ciszy. Wiekowe sosny i zielone świerki skutecznie zagłuszają strzały.

Ogród ludowego komisarza jest ogromny. Jabłonie, wiśnie, agrest, porzeczka czerwona i czarna, jeżyny. A dalej w głębi – morze bzu i czeremchy. W gąszczu – drewniany domek. Paweł Pietrowicz Bułanow, sekretarz ludowego komisarza, wypełnił ten domek zdjęciami. Stopień towarzysza Bułanowa – starszy major bezpieczeństwa państwowego. Na naszywkach ma po dwa romby, jak u armijnego dowódcy dywizji. U burżujów nazywano by go generałem porucznikiem. A w państwie robotniczo-chłopskim generałów nie ma i być nie może. Generał to przeżytek przeklętej przeszłości.

Paweł Pietrowicz jest uprzejmy. Ciągłe pyta, czy jakoś nie pomóc. A jak Żmijojadowi można pomóc? Tylko on zauważył ładniutką twarzyczkę w tłumie i już wtedy zrozumiał, że dziewczyna nie przyjechała i nie wyjeżdża, nie spotyka się z nikim i nikogo nie odprowadza. Kto jeszcze się kręci na dworcach i w okolicy? Tylko taki, co tutaj pracuje. Albo taki, który ma tu jakiś interes.

Żmijojad zna wszystkich, którzy pracują na Dworcu Jarosławskim. Ona do nich nie należy. A zatem...

7

Cała podłoga zavalona teczkami ze zdjęciami. Wszystkie stoły i półki. Żmijojad pracuje. Tylko czasami odrywa go od pracy kucharz. Osobistemu kucharzowi narkoma nie wolno wejść do tego domku. O pracy Żmijojada wiedzą tylko towarzysz Jagoda i towarzysz Bułanow. Kucharz ma trzy razy dziennie do drzwi cichutko zapukać: Czego pan sobie życzy?

Żmijojad życzył sobie wódeczki żurawinowej oraz pierogów z wiśniami i śmietaną. Wódeczki tak odrobinę. Na apetyt. A pierogów – do oporu. A co na śniadanie? I na śniadanie – pierogi. I na obiad. I tak co dzień.

Kucharz w ogrodzie pod drzewami przykrywa stół niebieskim obrusem.

W cieniu. To najlepszy czas na to, żeby najeść się do syta i zasnąć pod wiśniami. Ale nie ma na to czasu. Noc, dzień, i jeszcze noc i dzień. Trzy godziny snu, potem jeszcze dwie, i kolejne trzy.

– Ta.

– Jesteście pewni?

– Bardzo podobna.

8

Na Krasnej Priesni tuż obok więzienia – wysokie mury. Ponad murami dodatkowo drut kolczasty. Wjazd – przez stalową bramę z czerwonymi gwiazdami, wejście – przez portiernię ze srogimi uzbrojonymi strażnikami. To wojskowy punkt przesyłowy – WPP.

Za murami – budynki w typie baraków. Jednak baraki te są z cegły, solidnie zbudowane jeszcze za cara Mikołaja Aleksandrowicza. Okna – prawie pod sufitem. Metr wysokości, po dwa i pół szerokości. Jakoś przypominają otwory strzelnicze. Przy wejściu sala z podłogą wyłożoną płytkami. Przy wejściu – dyżurny. Byle kogo tu nie wpuszczają. Po prawej i lewej stronie od głównej sali – sypialnie. Łóżka – żołnierskie, żelazne. Piętrowe. 160 miejsc w sypialni po prawej. 160 – po lewej. To hotel dla kawalerów 1. grupy bojowej 5. Wydziału Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego (GUGB) NKWD ZSRR. Tu mieszka Żmijojad. Ma nieograniczone przejście za bramę: chce – wyjdzie, chce – wróci. Może o północy, może o świcie. Żmijojad ma własne miejsce do spania i szafkę, w żelaznej szafie jest prywatna sekcja z kłódką. W szafie – płaszcz wojskowy z odprutymi naszywkami, para butów z cielęcej skóry, buty gumowe, półbuty z fabryki Skorochood, płaszcz brezentowy, kozuch, czapka kubanka, walonki z gumowymi kaloszami, trzy koszule, zapasowa para portek, rewolwer z nabojami i kastet.

Kastet z ołowiu Żmijojad zrobił sobie sam. Nazbierał pocisków na strzelnicy, stopił ołów, zrobił formę i odlał. Noszenie kastetu jest

niewygodne, wypycha kieszenie. Dlatego Żmijojad zamówił u rymarza skórzaną torbę przez ramię. Na służbę chodzi z rewolwerem, a kastet zabiera ze sobą po prostu na wszelki wypadek. Fiedia Świerszcz, który wie wszystko, kiedyś wytłumaczył Żmijojadowi, że kastet to wyraz francuski, *casser* – roztrzaskiwać, *tête* – głowa. *Casse-tête* – łamigłówka. Ale Rosjanie obce określenie przetłumaczyli zbyt dosłownie.

Żmijojad siedzi na łóżku, na niebieskim sukiennym kocu w czarne paski, zastanawia się. Niby wszystko dobrze. I coś jest nie tak. Nowa praca pomocnika wykonawcy jest ciekawa, fascynująca, darzona szacunkiem, dobrze płatna. W dni egzekucji należy się ustawowe sto gram, ale dają, ile chcesz, bez oglądania się na normy. I karmią kaszą gryczaną z masłem, z mielonym. Czy to źle? Ale, nie wiadomo dlaczego, nie podoba się Żmijojadowi historia pasażera, który zaginął na Dworcu Jarosławskim.

W najdalszym kącie Fiedia Świerszcz czyta książkę. Fiedia zawsze czyta. Bez przerwy. Żmijojad przysiadł się do niego.

– Posłuchaj, okularniku, a jak za cara Iwana prowadzono dochodzenia?

– Dwa warianty: ze śladami i bez.

– Jak to – ze śladami?

– Najprostszy sposób – przecierano powrozami ręce, nogi, brzuch albo jeszcze inne delikatne miejsca.

– A bez śladów?

– Masa sposobów. Kładą na plecy, ręce, nogi rozciągają i krępują, na brzuch i piersi – żelazna taca, na tacy – jeden ciężki odważnik, drugi, jeśli mało – trzeci...

– Jaka zbrodnia była najcięższa?

– Wiadomo: zamach na cara. Krzyknie służebny Iwaszka „Słowo i czyn” i lawina rusza.

– Co to znaczy „Słowo i czyn”?

– To takie hasło. Krzyknął na placu, krzyknął w szynku, nikt ci po tym nie

miął prawa nic zrobić. Przeciwnie, każdy powinien ciebie chronić. Zawołanie to świadczyło, że wiesz coś o spisku. Każdy miał obowiązek zaprowadzić cię prosto do cara. A kto będzie ci przeszkadzał, tego będą ogniem palić: dlaczego prawdzie drogę zamykasz?

– A jeżeli ja dla żartu krzyknę „Słowo i czyn”? Jeżeli krzyknę, a nic nie wiem?

– Wtedy cię w rzeźni na haku pod żebro powieszą. Żeby się ciebie żarty nie trzymały. Albo wsadzą do kotła z wodą, rozpalą duży ogień i ugotują. I nie pozwolą wyskoczyć. Po to krzepcy chłopci z młotkami są przydzieleni. Jeszcze mogą powiesić na dwóch powrozach za nogi, tak żeby je w różnych kierunkach rozciągnąć. I piłą przez krocze na pół rozciąć. Wzdłuż kręgosłupa do głowy.

– Jasne – powiedział Żmijojad, po czym z jakiegoś powodu westchnął ciężko i przeciągle.

Wrócił do swojego kąta, wyciągnął kartkę szarego papieru, kopertę, kałamarz i pióro ze skrzypiącą stalówką. Najpierw napisał na kopercie: „Krasnaja Priesnia. WPP. Zapytać o Żmijojada”.

Długo milczał, niewidzącym spojrzeniem wpatrując się w pustą kartkę. Potem zdecydowanie wykaligrafował wielkimi literami: „Słowo i czyn”.

Rozdział 2

1

Koniec lata. I już powiało jesienią. I niedługo do szkoły. Do dziesiątej klasy. I nie chce się. Moskiewska dziewczuszka, ta, którą Żmijojad wskazał na zdjęciu, pokłóciła się ze wszystkimi przyjaciółmi. W każdym przypadku – z bzdurnego powodu. Na złość wszystkim zebrała się i pojechała na tydzień do dziadka na Ukrainę. Do Konotopu. Takie nieduże miasteczko. Stare. Ucieszył się dziadek. Przypomnieli sobie o staruszku. No bo nikt nie pamięta, nawet NKWD.

Przesiedziała dziewczuszka cały ranek w domu dziadka. Przesiedziała całe południe. Wieczór się zbliża. Pod wieczór nie dało się już w domu usiedzieć. A przez ulicę – mur z cegły. Za murem stary park. W parku – tańce. Muzyka tam czarująca, słuchaj – zachwycaj się...

I nagle zagrzmiała boska melodia – *Fale Amuru*. Ciekawe: u nas Amur to rzeka wielka, potężna, okrutna, kapryśna, zdradziecka, a u Francuzów *amour* to miłość. Może jest jakiś związek. Miłość przecież też sprawa wielka, potężna, okrutna i kapryśna. I jeszcze zbieżność – u nich historie miłosne to fikcja, ale taka, że łez nie można powstrzymać. u nas *Fale Amuru* to taka melodia, że trzeba często mrugać, żeby nie lały się łzy po policzkach.

Jednym słowem, popłynęła melodia nad starym parkiem i nie można było zatrzymać dziewczuszki w domu dziadka. Łańcuchami związać – wyfrunie razem z nimi.

A dziadek mówi: Popatrzcie, jaka wyrywna. Tutaj ci u nas nie stolica. To jest Konotop. Chuliganeria mianowicie. A dziewczeczkę już skrzydła do parku niosą. Nie zatrzymają ani prośby, ani groźby, ani kraty.

Iść trzeba daleko. Cały park jest otoczony murem z cegły. Wejście – dokładnie po drugiej stronie. Gdyby przez ceglany mur – byłoby tuż obok.

A tak trzeba obejść: wzdłuż wysokiego muru do rogu, za róg, i znowu wzdłuż muru, i znowu skręcić, i dopiero tam otwiera się oświetlone wejście.

Dobrze, że lato jest suche. Dlatego wzdłuż ulicy unoszą się tumany kurzu. Kiedy pada, tymi ulicami nie da się przejechać. Konotop to miejsce, gdzie konie topią się w błocie. Na szczęście do grząskiego sezonu jeszcze cały miesiąc.

Wieczorem jest dobrze. Wieczorem jest jasno. I ukłuło: A wracać trzeba będzie przy latarniach. Gdzie są latarnie? W oddali gdzieś jedna na horyzoncie. Czy konotopscy towarzysze włączają je w ciemnościach, czy przestrzegają trybu oszczędzania?

Skręciła za jeden zakręt. Minęła drugi. Dotarła do celu. Nad bramą litery wielkości człowieka: „Żyje się lepiej, żyje się weselej. J. Stalin”. Kupiła bilet. Minęła bramę i zaklęła: park dziki jak las tropikalny. Aleja kończy się przy podeście do tańca. Wzdłuż alei latarnie. Na podeście też latarnie. Ale cały park w mroku. I mordy.

Czy wiecie, jakie mordy są w konotopskim parku?

Nie, nie wiecie, jakie mordy są w konotopskim parku.

Tam reżyserzy mogliby kręcić filmy o nędzy i rozpucie. Od razu zdobyliby Oscara za surrealizm.

I panny w konotopskim parku też są surrealistyczne. Wulgarnie wymalowane. Panny tego samego pokroju: nędzne i rozpustne. Malownicze panny. Wytatuowane.

W konotopskim parku pilnuje porządku milicjant: spojrzenie mętne, do dolnej wargi przyklejony pet, na prawej ręce szaroniebieska kotwica, na lewej kulfoniaste litery – WASIA.

Zwrócili uwagę na dziewczynę. Spod cyklistówek, nasuniętych na oczy – gwałcące spojrzenia. A jedno spojrzenie w ogóle jej się nie spodobało. Spojrzenie to ją nie tylko gwałciło, ale i zabijało.

– Aspid, popatrz, jaka lala!

– Nie, Jaszczur, nie w moim guście. Zbyt młoda. Za dwa latka.

– Rozpasałeś się, Aspid. Podroby to też mięso. A ja nią się zajmę. Dla mnie taka w sam raz. I dla moich chłopaków. Milicji skorzystać nie grzech. A ona nie przeżyje dwóch latek. Skorzystamy i pozamiatamy.

– Przychodzi tu nie wiadomo kto, a nas później straszą artykułem 133.

– I 136.

Skąd dziewczyna mogła znać treść artykułów kk-26? Ale zrozumiała: Skończyła się niewinność. Odeszła. Odcięta się. Kiedy tylko wkroczyła do parku, nadszedł kres niewinności. Po tamtej stronie bramy parku – życie w różowych marzeniach. Po tej – dorosłe życie. Bez nadziei i iluzji. Mijają ostatnie godziny tamtego życia. Trudno. Dopóki nie dokonano czynów kwalifikowanych według wspomnianych artykułów, będzie tańczyć.

Należy szczególnie podkreślić: Była wielką amatorką i mistrzynią tańca. Urodziła się po to, żeby tańczyć. I nic oprócz tańca w jej głowie długo się nie uchowało. Zdarzało się jej na zamkniętych pokazach dla uprzywilejowanej dziatwy oglądać filmy zagraniczne, niepolecane hegemonowi. I jak już zobaczyła w filmie jakiś pląs taneczno-zagraniczny, to całą noc nie spała, ćwiczyła. Pląsów tanecznych znała nie mniej, niż wielki Capablanca znał ruchów szachowych. Za każdym razem na parkiet wychodziła jak na swój ostatni i decydujący bój: albo pokona wszystkie rywalki naraz, albo na miejscu umrze natchnioną śmiercią bohatera, który oddał wszystkie siły ostatniej wielkiej sprawie wyzwolenia klasy robotniczej. Życie daje się człowiekowi tylko jeden raz i przeżyć je trzeba tak, żeby nie było mu wstyd za bezsensownie spędzone lata.

Nie jest jej wstyd i lata nie są bezsensowne. Ma w życiu wielki cel. Wielki i prosty, oślepiający w swej prostocie: tak nauczyć się tańczyć, żeby na parkiecie wykonać płynny skok z trzema obrotami! To jest marzenie!

Właśnie tak żyła i jeszcze ani razu nie umierała. Po co umierać, skoro na tańcach pokonała wszystkie rywalki. A skok z trzema obrotami jeszcze będzie. Na pewno będzie!

Dobrze jej się żyło w rytmie walca i zagranicznych piasów. Ale tańce ją zgubiły. Co robić w takiej sytuacji? Nie pozostaje nic: tylko tańczyć. Prawdę się mówi: jak umierać, to z muzyką.

Muzyka w konotopskim parku jak wszędzie u nas: Utiosow i Szulżenko. A także dawne walce: *Fale Amuru*, *Fale Dunaju* albo *Na sopkach Mandżurii*.

Dziewczyna jest rozchwytywana. Nikomu nie odmawia. Tańczy jak nakręcana zabaweczka. Gdyby muzyka się nie kończyła, tańczyłaby dalej, a tak czasami trzeba zrobić przerwę. Ech, mogłaby zostać gwiazdą estrady, śpiewać z wybitnymi śpiewakami, tańczyć. Pewnie tak by się to skończyło, gdyby nie trafiła tamtego wieczoru na konotopski parkiet. Od tamtego wieczoru jej życie zaczęło tańczyć w zupełnie innym kierunku.

Omijając estradę.

2

Grzmi orkiestra. Dobrze jej w muzyce. Zapomniała o wszystkich strachach. Doprowadziła dziesięciu kawalerów do zadyszki, do upadłego. Więcej jej nikt nie prosi. Cóż, ona sama potrafi. Sama. Wszystkich zadziwi. I proszę mi wierzyć, jej taniec wart jest podziwu. Gdzieś obok w czarnych krzakach biją kogoś w mordę. Długo biją. Do zmęczenia. Dochodzą stamtąd żałosne jęki i szlochy. Ktoś wrzeszczy przejmującym głosem i zuchwały gwizd ogłasza z ciemności nowe mordobicie. I *musora* jak zwiastuny burzy szybują nad parkiem. *Musor* to stare określenie. Sprzed rewolucji. MUS to Moskowskij Ugołownyj Sysk, Moskiewska Policja Kryminalna. Najpierw tylko moskiewskich policjantów nazywano *musora*. Potem całą resztę, nie tylko moskiewskich. Po rewolucji słowa „policja” i „detektyw” zabrzmiały jakoś nieprzyzwoicie. Niestosownie. Dlatego zmieniono policję na milicję. A *musora* zostali. Coś oni do konotopskiego parku zlatują jak krzykliwe wrony.

Skoro się pojawili, nadciąga burza. Burza! Burza jest bliska!

I się zaczęło.

Rozpętała się bójka, jaka zdarza się tylko u nas w Związku, tylko na potańcówkach w centralnym parku prowincjonalnego miasteczka.

Na początku jakby podmuch wiatru mordobicia przemknął nad tłumem, poturbował niektórego, poobijał. Ucichło. Natychmiast wybuchła dzika, żywiołowa bójka. Błysnęły noże tysiącem błyskawic, wzniosły się nad głowami kije i hołoble, chrupnęły czaszki jak kokosowe orzechy, rozbrzmiał park tłuczonymi butelkami. Do ciosów w głowę dobra jest niedopita półlitrowka. I nie szkoda, że roztrzaskuje się na czyjeś głowie. Nawet niedopitego trunku nie szkoda. To znaczy, oczywiście szkoda. Ale nie bardzo. Wódka to prawie spirytus. Rozlewając się po rozbitym łbie, po wgniecionych w czaszkę odłamkach, wódka dezynfekuje rany. Wódka to i antyseptyk, i anestetyk. Ludowa medycyna, można powiedzieć. Tak więc kiedy tłuczysz butelkę na głowie bliźniego, pamiętaj: w butelce powinno jeszcze bulgotać. A zdzielenie człowieka po głowie pustą butelką, powiedzmy wprost, jest barbarzyństwem. Nasz dobry lud nie ma takiego zwyczaju.

Zdzielić niepełną butelką w cudzą głowę tak, że po stłuczeniu pozostawia w ręku uderzającego narzędzie tnąco-kłujące. Można nim pchnąć w mordę. Tak robią. Brzytwami też mordy tną. I gardła. Naostrzonymi rowerowymi szprychami jak szpadami tną oczy i brzuchy, tyłki i miejsca, których nie należałoby. Naostrzona szprycha od koła roweru, zwana kosą, wydaje się postronnemu obserwatorowi straszliwą bronią. Ale ta właśnie kosa świadczy na korzyść mojego wielkiego ludu. Na korzyść jego literackich skłonności. Czy to nie odwołanie do d'Artagnana?!

Dziewuszka została sama na parkiecie. Tańczy sobie dalej. Nikogo dookoła. Nic jej do tego. Wyje bójka jak huragan. I walc nad parkiem:

Piękne są fale Amuru...

Nagle się zatrzymała. Oprzytomniała. Zatrzymała się dlatego, że huk

walki zagłuszył huk muzyki, a tańczyć bez muzyki to jakoś tak... Rozumiecie sami. Rzuciła spojrzenie na duży zegar na wieży, zdrętwiała: za minutę północ. Pora do domu. Wyrwała się z parkietu, tylko jedną ma drogę: aleją do wyjścia. A tam samo epicentrum pobjowiska. Nie da się przebić. Gdyby udało się przebić, przy bramie stoi milicja – ławica zwiastunów burzy, gumowymi pałkami ćwiczcy pokorę w narodzie. Pomknęłaby tam, ale milicjanci są zbyt gorliwi, wymachują pałkami, jakby trzepali kremlowskie dywany przed historycznym zjazdem kochanej partii.

Nie, nie tędy droga. Rzuciła się w krzaki, do nieprzeniknionej ciemności. Po reflektorach w oczach mroczy – nic nie widać. Ale ona jak skrzydlata mysz szeleści w mroku spódnicą, omijając przeszkody. Jedna z bardzo dalekich jej poprzedniczek dokładnie w takiej samej sytuacji, uciekając o północy, zgubiła kryształowy pantofelek. Historia o pantofelku, jakby nie wydawała się bajkowa, jest najczystsza prawdą. Dawną bajkę całkowicie potwierdziło współczesne doświadczenie. Nasza dziewczuszka podczas ucieczki w jednej chwili zgubiła lewy pantofelek i złamała obcas prawego. Może to i lepiej: bez obcasów szybkość jest większa. Trzeba oddać sprawiedliwość tanecznemu treningowi. U nas przez długie lata potępiano współczesne tańce, mówiąc, że to strata energii młodzieży. Twierdzono, że ci tancerze powinni skierować tę energię na słuszną sprawę. Skierowaliby na przykład północne rzeki ku południowym brzegom, żeby płynęły w odwrotnym kierunku. Ale nic z tego. Skaczą i wywijają hołubce. Taka opinia ma swoje racje. Trzeba jednak stanąć w obronie tańców. Wyginanie ciała, trzęsienie tyłkiem i wymachiwanie nogami wywierają korzystny wpływ na młody rosnący organizm: wzmacniają mięśnie nóg i pleców, stawów barkowego i biodrowego, poprawiają krążenie, pracę serca i płuc. Więc skoro już w nocnym zarośniętym parku trzeba świecić piętami, omijając szerokim łukiem walczących, to lepiej jest świecić piętami wytrenowanymi.

Oto i ceglany mur. Drzew przy murze pod dostatkiem. Jak leśna wiewiórka czy zwinna małpka wdrapała się po pniu na sam szczyt. Na koniec zdzieliła złamanym, ale wciąż nadającym się do walki pantofelkiem kogoś, kto próbował ją złapać. Zdzieliła tam, gdzie się nogi łączą.

Trafiła.

Prawdę mówię, trafiła, bo skowyt w odpowiedzi był tego świadectwem. I wypowiem kolejną pochwałę tańców: regularne ćwiczenia w kółku tanecznym albo studiu choreograficznym dodają ruchom precyzji. Gdyby nie trenowała, nie tańczyła co dzień do upadłego, to może i nie trafiłaby. A tak trzask – i w dziesiątkę.

Przeskoczyła przez mur. Z samego szczytu skok na drogę i do siebie do domu! Dziadek Makar słyszy odgłosy walki, a jego wyobraźnia rysuje przerażające obrazy. Stary ze strzelbą czatuje, spuściwszy psa z łańcucha. Ale wie, że więcej nie zobaczy wnuczki. Nie uchronił, nie upilnował. Trafić w łapy konotopskiej łobuzerii to jak trafić w czyste, ciepłe, dobrotliwe ręce kochanej władzy sowieckiej.

W tej samej chwili ona zeskoczyła z ogrodu prawie obok niego i jak myszka do dziurki – szast. A za ceglany murem – skowyt. Jakby komuś najbardziej czułe miejsca potraktowano czymś ostrym.

– Dziadku, masz rewolwer? – Jej twarzyczka promienieje szczęściem.

– Nie trzymam czegoś takiego.

– Kłamiesz, dziadku! Masz nadzieję, że dożyjesz chwili, kiedy tę władzę będą dorzynać. Na tę okoliczność nie masz nawet rewolweru?

– Wystarczy mi strzelba.

– Kłamiesz, dziadku!

– Rewolwer to zawracanie głowy. Jeśli strzelba nie wystarczy, to ja ich z karabinu.

– Gadanie. Karabin. Z karabinem nie wypada mi iść jutro na tańce. Ale daj ten karabin, jakoś sobie poradzę.

– Nie, dziewucho, z karabinem cię jutro złapią, zabiorą go i co mi zostanie? Całe życie czekam... Jak sobie poradzę bez karabinu? Idź spać.

Wgramoliła się na strych, rozłożyła na pachnącym sianie kołdrę, przykryła się drugą, leży, wpatrując się w ciemności. Jutro pójdzie na tańce.

Postanowione. Jak przyjemnie tańczyć przy *Falach Amuru*. Jak cudownie być w centrum uwagi na tej miłej prowincji, gdzie zwyczajnie są tak dziewiczo proste, niezepsute obłudą. A karabin wypadałoby wcześniej schować w krzakach. Jakby co – przywalić im wszystkim z karabinu i dalej tańczyć. Cholerny dziad, gdzie trzyma karabin? Cały ogród może człowiek przekopać i nie znajdzie. Schował tak, żeby czekał nie znaleźli. Jasne, że nie ma co próbować tego karabinu szukać. Stary piernik sam na tańce nie chodzi i nie daje ludziom karabinu.

Wierciła się, wierciła, nie może spać. Wstała, zapaliła światło. Dobrze jest na strychu. Szkoda, że nie ma w oknie księżyc. Noce prawie wrześnie. Niebo gwiazdziste, a na dole ciemnica. Może poczytać jaką książkę? Strych dziadka przypomina rupieciarnię. Są tu książki. Co prawda mało interesujące: jakiś tam Guderian – *Uwaga, czotgi!*, znowu Guderian – *Czotgi – naprzód!*, Moskwa, Wojenizdat 1935. Albo zupełnie nowiutki Regulamin polowy RChACz z 1936 roku. RP-36. Po kiego diabła konotopskiemu dziadowi Guderian? Co on może przeczytać w RP-36?

Z drugiej strony dlaczego sobie nie poczytać? Będą rywalki zazdrości, jak w wąskim gronie przyjaciół wyrecytuje z pamięci RP-36!

4

Noc zbliża się do świtu, a ona przewraca strony. Interesująca lektura. Nad samym ranem załomotał dziadek gratami na podwórku, wymienił kilka dowcipów z przejeżdżającym kierowcą i poniosło go załatwiać sprawy, które nas w ogóle nie interesują. Wówczas dziewczuszka postanowiła poszukać karabinu.

Szukała – nie znalazła. A szkoda. Pytanie na dziś: Co robić? Ach, jak się chce potańczyć wieczorem. Chociaż trzy godzinki, nie więcej. No, może godzinkę! Najwyżej jeden taniec, najbardziej przyzwoity. Przynajmniej zerknąć na tańce. Ale jak wracać? Bez karabinu? Dobrze, wczoraj pomogła bójka. Można i dziś liczyć na bójkę. A jeżeli nie, to wtedy jak? Przecież

zdarzają się wyjątkowe dni, kiedy w konotopskim parku nie ma bójki. Co będzie, jeśli taki dzień przypada dzisiaj?

Przewróciła cały strych, szukając czegoś, co mogło zastąpić karabin. Powtarzam, gratów na tym strychu było mnóstwo. Na przykład stary zegar ścienny z wahadłem. Też broń! Leży zegar w kurzu, kukułka już dawno zardzewiała i w jej domku zamieszkał pająk-krwiopijca. Kukułeczka już nie kuka, więc najwyraźniej pająk-oprawca upił z niej całą krew. Znana taktyka, wielu tak robi – napisze donos na sąsiada i wyśle gdzie trzeba. Zapukają w nocy towarzysze, skręca kark sąsiadowi, a domek się zwolnił, wprowadzają się tam jak pająk-muchojad.

Zresztą kukułcze gniazdo naszą dziewczkę mało interesowało. Odważnik na łańcuchu – oto co ją interesowało. Roznitowała łańcuch kombinerkami. Zważyła odważnik w rękę – czysty ołów. Ze cztery deko będzie. Obejrzała, jak wygląda odważnik na łańcuchu. Ładnie wygląda. A gdyby nie na łańcuch, a na tamten pasek z surowej skóry nawlec przez ucho? Zmiękczyła pasek, wymoczyła w oleju, jeszcze pogmiotła, wysuszyła, nawlekła przez ucho ołowianego odważnika, przymocowała dwoma supłami. Pokręciła odważnik na pasku, przypomniała sobie o słynnych gimnastyczkach, które ze skakankami i innymi akcesoriami tańczą na dywanie przy gromkich oklaskach. A później przypomniała sobie, że nie spała całą noc. Mogłaby nie spać, ale wieczorem musi być wypoczęta. I dlatego wyciągnęła się na pachnącym sianie, uśmiechnęła się do siebie i z tym uśmiechem zasnęła. Już wzeszło słońce i rozpałiło dach, upał na strychu, a w upale sen jest najgłębszy. Rozłożyła się dziewczuszka w urzekającej nagości. Gdyby w owej chwili znalazł się na strychu jakiś słynny Goya z pędzlami i farbami, uwieczniłby ją. Ale nie znalazło się w tym momencie na strychu ani płótno, ani pędzle, ani farby, ani sam Goya, i dlatego ja zamiast niego powinienem przedstawić ten obraz. Ale jak się mówi: lepiej raz zobaczyć, niż sto razy usłyszeć. Jak można słowami opisać to, co trzeba zobaczyć? Nie opisuję. Uwierzcie mi na słowo – było na co popatrzeć.

Spała głęboko i spokojnie. Śniła o starym dobrym brytyjskim karabinie ręcznym. Lewisie. Z 1914 roku. 47 naboï w magazynku... W czasie wojny domowej przywieziono tego masę. Nie wszystkie przecież zginęły. Nie wszystkie skonfiskowano. Lud nasz gospodarny. Co ma się zmarnować... Ktoś gdzieś chowa... Ale jak znaleźć?

Poza tym śniła o konotopskim parku. I tańcach. Muzykę słyszała we śnie. *Walc. Fale Dunaju.*

Szczęśliwy jest ten, kto słyszy muzykę we śnie.

Wystraszyła się: czy nie przespała tańców? Ocknęła się, z lepkich sennych ciemności wyrwała się do jaźni na strychu. Widzi: słońce zachodzi. Słyszcy: za murem ceglanym wyje tango niby syrena fabryczna, wzywa proletariuszy do wielkich czynów. Zerwała się, zaczęła się myć i ubierać. Za ledwie godzina minęła. Jeśli nie godzina, to najwyżej półtorej, a ona już wyszykowana. Piękna: pończochy czarne, spódnica czarna, sweterek lekki, czarny, na szyi apaszka z azjatyckiego jedwabiu. Nie było czarnej, dlatego granatowa. Ciemnoniebieska. Tym razem postanowiła iść bez obcasów. Dzisiaj jest inny styl.

Zdziwił się dziadek: Coś ty tak na czarno. Czy nie na pogrzeb? Śmieje się dziadek. A ona naprawdę na śmierć ubrała się na czarno: skoro za wieczór tańców trzeba zapłacić życiem, zapłaci. Życie bez tańców to nie życie. Komu potrzebne takie życie? Ucałowała dziadka w kłującą szczecinę trzykrotnie, przerzuciła przez ramię czarną torbę.

Ruszyła.

Rozbrzmiewa park patefonową rewolucją. I mordy na alejach. Milicjant Waśka z petem. Może to ten sam pet z wczorajszego dnia w kąciiku ust

przyklejony. Nie można zrozumieć: Złodziej w milicji czy milicjant udaje złodzieja? Idzie przez park i jeszcze się nie boi. Wszystkie mordy znajome. Nie próbowała zapamiętać tych mord i ksyw. Ale towarzystwo jest na tyle malownicze, że choć chciałoby się zapomnieć zakazane gęby i ksywy, to nie sposób tego zrobić.

Aspid. Jaszczur. Naokoło drobna gówniarzeria: Mińka Kondom, Bakłan Sołowiewicz, Dusigrosz Ciasnodupy i taki smarkaty chłystek białooki z ksywką Sraczka Tropikalna. Wszystkich ich wczoraj omiotła jednym spojrzeniem, w swojej pamięci każdego z osobna jak żuczka do kolekcji dodała, wcześniej nadziewając na szpilkę.

Nie starała się, ale pamięta wszystkich i uśmiecha się do wszystkich: Cześć, Aspid! Pozdrowienia dla Jaszczura!

Jaszczur spojrzał złym okiem, nie odpowiedział na pozdrowienia. Najeżyła się łobuzeria. No i dobrze.

Tańczy z przyjemnością. Godzinę, i drugą, i trzecią. Oprzytomniała dopiero wtedy, kiedy po północy ogłoszono pożegnalny walc. I znowu *Fale Amuru* zakołysały park. Biją ludzi w parku tu i tam, a wielkiej bójki nie ma. Właśnie teraz pierwszy raz się przestraszyła. Taki strach ją obleciał, że odechciało się tańczyć walc pożegnalny. Wyszła na aleję i samotna poszła do domu. Minęła oświetloną bramę, weszła w ciemności. Gdzieś bardzo daleko migocze latarka. Wyje pies. Ciemna noc. Powiało chłodem jesieni. Oczy powoli przyzwyczyły się do ciemności. Nikogo z tyłu. I jakby jacyś ludzie idą. Poszła szybciej. Słyszy, że tamci też przyśpieszyli.

Oglądanie się w takiej sytuacji jest niewskazane. Dziewczyna nie ogląda się. Po prostu słyszy: jest ich pięciu czy sześciu. Chciałaby się zerwać jak ptak ognisty w przestworza. W strasznych snach zawsze tak robiła: gdy tylko groziło jej jakieś niebezpieczeństwo, rozkładała skrzydła i odlatywała. Ale to nie sen. I skrzydeł ona nie ma. A swoim niesłuchającym się nogom rozkazuje, żeby nie niosły jej szybko. Rozumie: to jak przed psami uciekać, zaczniesz biec – tamci też pobiegną. Tylko szybciej.

Minęła pierwszy zakręt, a do drugiego przez całą wieczność nie da się dobiec. Murek ceglany wzdłuż szerokiej ulicy sięga niewidzialnego horyzontu. Po drugiej stronie ulicy – ogrodzenia podwójnej wysokości, domy za ogrodzeniami ciemne, martwe, psy za tymi ogrodzeniami szczękają kłami.

Idzie i idzie. Tamci z tyłu się rozkręcili – żartują, chichoczą, czasami ryczą straszliwym głosem i rechoczą jak hieny w Afryce. Sama już nie wie, jak dotrzeć do następnego zakrętu. Idzie i idzie, a ten się nie zbliża.

Nareszcie pojawił się w mroku zakręt, a tamci z tyłu jakby się odczepili. Tak chciałyby się rzucić za ten upragniony róg, tak by chciała. Moment ku temu sprzyjający: pozostali w tyle. I nagle zrozumiała, że jest w potrzasku. Właśnie tam za rogiem jej się spodziewają. Dlatego właśnie odczepili się ci z tyłu, żeby ona rzuciła się za róg i mogła tym, co są za rogiem, trafić do łapsk. I już z góry wie, kto jest za rogiem. Jaszczur. Dostał taką ksywę za nieruchome spojrzenie węża. Złodziejski milicjant Waśka jest z nim. A z tyłu został Aspid z przyboczną hołotą. Pędzą ją do potrzasku. Nie naciskają.

Żelazna obręcz zacisnęła się na jej głowie. Karabin by się przydał. Lewis. Szkoda, że z pełnym magazynkiem waży 17 kilo. Nie schowasz go za pazuchą. Rewolwer by się przydał, choćby najgorszy... Ale i jego brak.

Później nie słuchała rozumu. Zachowywała się jak nakręcany żołnierz: sprężynka metalowa, a głowa drewniana, niemyśląca. Odwróciła się na pięcie i ruszyła do tych z tyłu. Nie dlatego, że była odważna. Ze strachu. Kiedy wracasz, przynajmniej wiesz, czego się spodziewać, a jak masz skrócić za róg do nieznanego zagrożenia?

Piątka nie rozumiała jej manewru. Zatrzymali się, czekają na to, żeby podeszła.

Podeszła.

– Szkoda, chłopcy, że jest was pięciu, gdyby było dwóch czy trzech, to dobrowolnie bym się zgodziła.

– Hyyy – odpowiedzieli chłopcy.

Instynkt zwierzęcy podpowiada jej, że należy dodać jeszcze coś takiego, żeby w odpowiedzi nie wyciągnęli do niej łap, a znowu wymamrotali: „Hyyy”. Powiedziała im coś podobnego i odpowiedzieli jej zgodnie.

A ołowiany odważnik od zegara ściennego na skórzanym pasku już nie jest w torebce, lecz w dłoni ściśnięty, pasek na przegubie ręki zakręcony. Zaczęła mówić, a sama rozluźniła dłoń. Ześliznął się odważnik do stóp, na pasku przy samej ziemi się kołysze, nikt go nie widzi.

– Zdecydowaliście, który będzie pierwszy? Ty, Aspidzie?

– Hyyy – odpowiedział Aspid.

Rzuciła się do niego jak tygrysica usuryjska. Prawe ramię i ręka daleko do tyłu. Spadając do przodu, rąbnęła niby siekierą. O mało ręki z barku nie wyrwało. Brzęknęło nad nią: ni to szabla, ni to błyskawica. Sieknęło Aspida po policzku, szyi, plecach. Jak jataganem tureckim albo liną stalową rozżarzoną ogniem go sparzyło, rozcinając marynarkę z koszulą jak brzytwą, a z tyłu w tej samej chwili jakby młotem zdzielono go po kręgosłupie i żebrach. Brzęknęło i zbulgotało w środku. Zawył Aspid, zachłysnął się: w gardle uderzył jakby gorący gejzer kamczacki. Cofnęła narzędzie do siebie, urywając Aspidowi prawe ucho i popychając całe jego ciało ku sobie. Ugięły się pod Aspidem nogi, padł mordą do przodu, obróciło go. Wymachuje nogami, próbuje gryźć pył z drogi.

Zamachnęła się swoją ni to szablą, ni to Bóg wie czym, a twarzy przed nią już nie ma. Prysnęli prześladowcy na różne strony jak kaczkę przed skaczącym lisem, płosząc okolicę. Tylko widać plecy w ciemnościach. Sieknęła po czyichś. Trzasnęło w tych plecach. Wydarzyło się coś niezrozumiałego: grzmotnęło go po plecach, a poczuł w nogach. Ugięły się oba kolana jednocześnie i ciało bez jęków i krzyków padło na drogę, jakby pociąg się wykoleił.

Skoczyła w bok, upadła na drogę, zamarła. Wylatuje zza rogu dwójka.

– Aspid! Aspid! Kurwa! Gdzie ona jest?

Przytuliła się do ziemi. Leży w głębokiej koleinie, nie rusza się. Przykryła

głowę apaszką. Celowo włożyła czarne ubranie. Wiedziała, co robi. Niech spróbują ją znaleźć. Szkoda, że nie ma rękawiczek. To nic, trzeba ręce pod siebie schować... Żałuje, że nie skoczyła do krzaków. Przyczaiła się na drodze.

– Waśka, świeć po krzakach!

Dźgnął milicjant Waśka wiązką po krzakach, polazł, jak niedźwiedź łamiąc gałęzie: Gdzie ona jest, do cholery?

Dziewczyna leży pośrodku niebrukowanej drogi. Wtuliła się w kurz, wcisnęła się w koleinę. Zaraz latarka oświetli twarz i ona się rzuci jak kobra irańska. Wtedy uderzy śmiertelnie. Nie przez ramię. Prosto w głowę. Ołowianym odważnikiem. Na skórzanym pasku.

– Jaszczur! Nikogo nie ma!

– Niewidoczna?

– Jakby zapadła się pod ziemię.

– Podnieście Aspida!

– Aspid, czym ona cię tak...?

– Bul-bul – bulgocze Aspidowi w gardle.

– Gdzie ci podli gówniarze? Uciekli? W pięciu nie poradzili sobie z jedną smarkulą? Ja jutro ją złapię. Nogi z dupy powyrywam.

Leży w kurzu, obok bulgocze Aspid. Drugi, którego zdzieliła, ocknął się i pojękuje. Milicjant Waśka całe krzaki naokoło przeszukał, klnie.

– Waśka, zbieraj gówniarzy!

– Chodź, Jaszczur, ze mną. Ta wiedźma zaraz z ciemności wyskoczy i porąbie szablą.

– Cykorzysz, psie? Zadrzała dusza frajera?

– Nie, Jaszczur, tylko żeby obok ciebie...

Zagwizdał Jaszczur po zbójnicku, aż uszy zatkało. Z ciemności dobiegła odpowiedź.

– Idziemy, cwaniaku! Kiedy dojdiesz do swojej psiarni, wezwij czerwony krzyż, bo Aspid może wykorkować, a Mięsisty tam żre ziemię. Czym ona ich tak odmalowała?

Wracali Jaszczur z milicjantem Waską tą samą drogą, z mroku wataha dookoła nich się zbiera, rośnie jak chmura burzowa. Tu nasza dziewczuszka powinna jak cień niewidoczny opłotkami i krzakami biec do domu. Ale nie. Zasłoniła twarz ciemną apaszką, odważnik trzyma na pasku w pięści i jak bezszelestna mara skrada się za bandą Jaszczura.

7

Zebrał się cały tabun żulików. Raz tam skręca, raz tu. Idzie tabun jak horda Mamaja, niszczy wszystko na swojej drodze: ciska ławki przez ogrodzenia, kruszy żeliwne kosze na śmieci w drobny mak. W cichym mieście diabeł działa i w nocy siły zła panują niepodzielnie. W Konotopie paliła się jedna latarnia i zgaszono ją, razem ze słupem wyrывая z ziemi. A miasteczko jest do tego przyzwyczajone: przyczało się, zasłoniło okna okiennicami, wyłączyło światło, udaje wymarłe. Ani dźwięku, ani światełka. Tylko jęczy echo chuligańskie w zaułkach, tylko wyje wiatr na żelaznych dachach, tylko psy łańcuchowe szczękają zębami za płotami nie do przeskoczenia, tylko walą drzwi w porzuconym domu, gdzie wczoraj rodzinę wyrznięto i gdzie nie ma kto tych drzwi zamknąć.

Mknie chuligański tabun szlakiem niezbadanym. Gdzie skręci? W lewo? W prawo? Wesoła gromada skręciła w lewo. Skręciła w prawo. Otworzyli kiosk z papierosami, dym zakłębił się nad tabunem. Spotkali przypadkowego przechodnia, każdy po trochu, mordę mu obił. Potem przywiało cały rój z powrotem do miejskiego parku. W parku wszystko jak przedtem, tylko światła już wyłączone, i na centralnej alei, i na podejście do tańców. Poniosło hordę po ciemnych ścieżkach, z jednego końca w drugi, póki nie znaleźli się wszyscy na placu zabaw. Milicjanta Waškę postawili na czatach, chociaż nie ma się kogo bać. Pojawił się skądś płyn ognisty. Poszły

butelki w ruch. Jaszczur zwołał naradę.

– Czym ona walnęła Aspida?

– Szablą!

– Przestań, gnoju, kłamać! Skąd miałaby szablę?

– Nie, to nie była szabla, to był amerykański elektryczny mordoobijacz. Wciskasz guzik i... Mój brat był za granicą, mówił, że tam każdy ma osobisty mordoobijacz!

– Przestań bredzić, smarkaczu. Lepiej powiedz, kim ona jest, skąd przychodzi.

– Tego, Jaszczur, nie wiem.

– Ja wiem.

– Mów, Żabiec.

– To moja sąsiadka. Przyjechała do dziadka Makara w gości.

– Co, jelenie, spalimy dom?

– Nie wygłupiaj się, Jaszczur. Ze starym Makarem lepiej nie zadzierać. Przysięgam, że ma w domu karabin maszynowy. Połowa Konotopu to jego przyjaciele, a drugą połowę wystrzela.

– Przecież spalimy go w domu razem z jego smarkulą.

– Nie, Jaszczur, stary Makar nie płonie. Wypełźnie z ognia jak wąż, znajdzie cię i nogi powyrywa.

– Jak mnie znajdzie?

– Bez problemu. Złapie jakiegoś gówniarza, obrobi, a ten pęknie do samej dupy.

– Dobrze mówisz, Mrówkojadzie. Gówniarzy mamy jak szczurów w więzieniu. Dziś ta smarkula czymś obrobiła Aspida i Mięsiatego, a z nimi było jeszcze trzech. Nie spojrzeli, czym wymachuje, bo zwiali. Dawaj tu wszystkich, pogadamy.

Dziewczyna leży w trawie tak blisko od Jaszczura, że słyszy, jak ten

zgrzyta zębami.

– To co, jelenie, zrobimy z gówniarzerią?

– Stłuczemy butelki na łbach!

– Zbierzemy wszystkie ławki w parku, przewrócimy do góry nogami i będziemy ich bujać i na ławki rzucać!

– Zwiążemy, położymy na ziemi i ze zjeżdżalni będziemy na nich skakać, aż obcasami połamiemy żebra!

Mieli oskarżyciele propozycje bardziej radykalne: stchórzyli, niech odpowiadają.

Tu należy zaznaczyć, że w każdej grupie są osoby cieszące się powodzeniem, szanowane, i są osoby niezbyt cieszące się powodzeniem, niezbyt szanowane. Właśnie te ostatnie są zawsze najbardziej zacięte, najgorliwiej strzegą praw i zasad. To jak w Związku Pisarzy Radzieckich. Są pisarze wybitni, utalentowani, szanowani. I jest pisarska hołota, śmiecie, którzy niczego oprócz donosów nie są w stanie stworzyć. I właśnie ta pisarska hołota jest najbardziej okrutną, żądną krwi częścią pisarskiej braci. Zupełne beztalencia są najgorliwszymi bojownikami o czystość obyczajów. Związek Pisarzy, jak wiadomo, jest zorganizowany na wzór bandy i panuje tam wciąż ta sama kryminalna etyka, dlatego scena w konotopskim parku żywo przypominała omawianie spraw personalnych na plenum zarządu Związku Pisarzy. Tylko konsekwencje będą bardziej surowe.

Podjęli decyzję. Wykonali. Długo się śmiali. Dopili, co mieli. Powoli tabun zaczął się rozpadać. Postanowiono nie palić domu starego Makara, a jutro złapać na tańcach szesnastoletnią smarkulę i ukarać zgodnie z całą surowością konotopskich obyczajów.

Oddzieliła się od hordy gromadka i poszła, śpiewając, w jedną stronę. Oddzieliła się druga gromadka, poszła w drugą stronę. Rozpływa się horda, topnieje, rozchodzi. Został Jaszczur zupełnie sam.

Ale tak mu się tylko wydaje.

Rozdział 3

1

Nie daj, Boże, świni rogów, a słudze bycia panem.

Gienrichowi Grigorjewiczowi Jagodzie dał Bóg i bycie panem, i rogi. Nie w takim sensie, że żona mu je przyprawiła. O tym nic nie wiem. Może coś tam i było, ale mi nikt nie meldował. O innym rogu mówię. Nieposkromiony Gienrich był kiedyś cichym drobnym zwierzątkiem. Jak tchórzofretka. W aptecce dalekiego krewnego stał za ladą, przyjmował recepty, rozlewał do szklanych słoiczeków lekarstwa, przyklejał etykiety. A stał się wielotonową bestią, o skórze nie do przebiccia, jak pancerz na krążowniku, jego broń to ciężki róg NKWD, którym można flaki wypruć, komu się zechce: ogoniastemu lwu czy słodkowodnemu krokodylowi. Stoi taki potwór po kolana w bagnie, przeżuwa łopuchy afrykańskie, leniwie spogląda naokoło, mruży oczy, merda ogonem, potem nagle się wścieknie i rozpędzi. Tu już nie ma zmiłuj! Uciekajcie, ptaki! Zmykajcie z drogi, zwierzęta! Stratuje!

Gienrich Grigorjewicz Jagoda – Karzący Miecz Rewolucji.

Wykończył wielu wrogów. Miliony. Dwadzieścia milionów samych tylko chłopów w czasie kolektywizacji wywiózł do tajgi i gołych stepów. Żeby wszyscy tam zdechli na mrozie! A 27 maja ubiegłego 1935 roku podpisał Żelazny Gienrich rozkaz NKWD nr 00192. Dwa zera, od których zaczyna się numer, oznaczają, że dokument ma nadruk „Ścisłe tajne”. Dokumenty z nadrukiem „tajne” mają na początku tylko jedno zero. Rozkaz z 27 maja żądał utworzenia „trójek” we wszystkich rejonach, obwodach, republikach. W składzie „trójki” najniższego szczebla: rejonowy sekretarz partii, prokurator i kierownik rejonowego wydziału NKWD. Taki sam skład był również na innych poziomach władzy – w obwodach i republikach – tylko tam są wyżsi stopniem naczelnicy.

Nasze rodzime proletariackie sądy nadal wydają wyroki w słusznej sprawie. A ponadto „trójki” kierują wrogów do łagrów, pomijając sądy. Na mocy rozkazu nr 00192 uzyskały prawo skazywania do lat pięciu. Nie potrzebują żadnych sędziów, adwokatów, nie muszą wzywać podejrzanego, zadawać pytań, wysłuchiwać odpowiedzi, czegoś ustalać. Wszystko stało się prostsze: zebrało się trzech naczelników, wypili, zjedli, podpisali listę, i jadą pociągi, wiozą w bydlęcych wagonach winnych do tajgi i na daleką północ. Tyraj, kochany, przy wyrębie lasu czy w kopalniach niklu.

Pięć lat to, co prawda, malutko. Choć z drugiej strony, przecież nie każdy jest w stanie przetrwać pięć lat w kopalniach złota Dalstroju. Poza tym kto zabroni potem kolejne pięć dorzucić i kolejne?

Żelazny Gienrich długo forsował na górze ideę „trójek”. Przelforsował, zdając sobie sprawę, że rządzić we wszystkich setkach i tysiącach „trójek” będą ludzie z NKWD – jego ludzie!

Wszak to dopiero początek – skazać na pięć lat łagrów bez rozprawy i dochodzenia, skazać, nie widząc oskarżonego, nie rozmawiając z nim, skazać nie personalnie, nie człowieka, który na ciebie patrzy, a człowieka z bezosobowej listy różnej długości. Później i dziesięć lat wywalczymy, i dwadzieścia pięć, z karą śmierci włącznie. Gienrich postara się o to, żeby każda rejonowa „trójka” samodzielnie podpisywała listy egzekucyjne. Nie wszystko naraz. Przyjdzie czas.

Żelazny Gienrich jest miły dla przyjaciół – okrutny dla wrogów. Tego, który jest blisko jego oblicza, obdarowuje obficie sławą i chwałą. Na nim odbitym blaskiem łśni i mieni się sława Gienricha. Wielką pychę hoduje dookoła siebie Gienrich. Powiesz komuś: Czy wiecie, kim jestem? Jestem doradcą radcy zastępcy! A nad nami jest sam Gienrich Grigorjewicz!

Tu już czapki z głów! I umilnie zachwycone pytanko: JEGO SAMEGO spotkaliście? I niedbale protekcyjna odpowiedź: Zdarzało się.

Czasami mknie Gienrich po Moskwie limuzyną Lincoln, sfera motorów naokoło jak rybki piloty przy brzuchu rekina. Mknie Gienrich po Moskwie –

stójkowi gwizdzą w gwizdki, rozkazują pasiastymi pałkami moskiewskiej ludności w miejscu znieruchomieć i spokojnie czekać, aż przy dźwięcznym wyciu syren, pokrzykując i gwizdząc, przemknie obok stalowa kawalkada. Hajducy na motorach niedługo pewnie z pejcjami zaczną jeździć, strzelać nimi jak poskramiacze i na pospólstwo wrzeszczeć: Na kolana!

Syreny wówczas były inne, nie to, co teraz. Jakich szczytów sięgnęła nauka! Sygnał dźwiękowy samochodów dla możliwych tego świata jest delikatny i miły dla ucha. Płynie duża szucha po Moskwie, szeleści oponami, roztacza blask niebieskich świateł, ciesząc słodkimi dźwiękami obywateli. Sama przyjemność posłuchać i popatrzeć. A w czasach, o których mówimy, sygnał był wyjąco-kwaczący i niemiłosiernie drażnił słuch.

Sam Gienrich Grigorjewicz tonie na tylnym siedzeniu. Zawsze sam. Zawsze zamyślony. Popielaty mundur z cieniutkiej szkockiej wełny, na niebieskich naszywkach – gwiazdy pierwszej wielkości. Na czole – myśl państwowa.

Zameldowano mu o innowacji ludowego komisarza spraw wewnętrznych Ukrainy, komisarza bezpieczeństwa państwowego 1 rangi, towarzysza Wsiewołoda Apollonowicza Balickiego. Przyjechał wspomniany Wsiewołod na Dnieproges z wizytacją. Obejrzał z satysfakcją turbiny przywiezione z Ameryki. Transformatory śpiewają i dźwięczą – nie pachnie sabotażem. Później zobaczył gruby amerykański kabel i wpadł w absolutny zachwyt. Poleciał odciąć pół metra. Potrzywał w rękę: jak nic, gumowy drąg. A w środku miedziany drut. Zdzielił tym drągiem po drewnianej skrzynce z napisem „Made in USA”, rozleciała się w drobny mak. Poprawił się humor towarzyszowi Balickiemu jeszcze bardziej. Natychmiast rozkazał olbrzymią rolkę kabla rozwinąć, pociąć na kawałki, a w Ameryce zamówić więcej kabla. A w narzędzia gumowo-miedziane uzbroił towarzysz Balicki ukraińską milicję.

Gdy więc natknęliście się w tekście na gumowe pałki, którymi wymachiwali milicjanci w konotopskim parku, nie podejrzewajcie mnie o nieznamość rzeczy, nie posądźcie o ignorancję i przesadę. Niczego nie

zmyśliłem i niczego nie pomyliłem. Opowiadam tak, jak było, niczego nie dodaję i nie koloryzuję. Zastrzeżenia co do dokładności i prawdopodobieństwa zdarzeń mogą się pojawić po prostu dlatego, że mój lud ma krótką pamięć. Mój lud pamięta, że w gumowe pacyfikatory wyposażył milicję towarzysz Chruszczow w lipcu 1962 roku. Ale pałki Chruszczowa były tylko powtórką z rozrywki. Pionierem był towarzysz Balicki, który wyprzedził Nikitę o całe dziesięciolecie.

Pałki później wycofano, ale dopiero wtedy, gdy się okazało, że sprzedajna swołocz Balicki jest wrogiem ludu i brytyjskim szpiegiem. Jednak to nastąpi w przyszłym, 1937 roku. My mówimy o 1936 roku, gdy kabli z Dnieprogesu w celach wychowawczych używano dość powszechnie. W tym czasie w wielkim i potężnym języku rosyjskim pojawiło się specjalne słowo – drynowanie, czyli wychowywanie szerokich mas za pomocą dryna, dużego, ciężkiego kija.

Przelatują obok towarzysza Jagody moskiewskie osiedla, a jedna myśl nie daje spokoju: Czy nie spopularyzować wielkiego dzieła Balickiego w całym kraju, od morza do morza? Dobra idea, ale czy mściwi i zawistni ludzie nie wykorzystają tego przeciwko Gienrichowi? Nie wiadomo przecież, jakie będą skutki. Nie wiadomo, jak ukryci wrogowie to przekręcą, w jaki sposób wielką ideę wypaczą, zniszczą i wykorzystają przeciwko niemu. Żelazny Gienrich ma wielu ukrytych wrogów. Na przykład dzwonił wczoraj Kolka Jeżow, taki niepozorny człowieczek, sekretarzyna z Komitetu Centralnego, który domagał się protokołów przesłuchań i konfrontacji Zinowiewa, Kamieniewa, Smirnowa i całej reszty. Też sobie wymyślił! Do spraw NKWD nos wściubiać! Żelazny Gienrich machnął ręką i sekretarzowi Pawłowi Pietrowiczowi Bułanowowi zezwolił od niechcienia: Daj cokolwiek temu wypierdkowi, niech się odzepi. Coś, czym by dziecko się nie bawiło... Ech, dobrze by było zakpić z tego nicponia Kolki Jeżowa! Właśnie wczoraj na kremlofskim korytarzu Żelazny Gienrich spotkał swego dawnego wroga, towarzysza Michaiła Pawłowicza Tomskiego, byłego członka Politbiura, byłego wszechwładnego pana i gospodarza całego Turkiestanu, i zażartował:

– A was, Michaile Pawłowiczu, jeszcze nie aresztowano? Dziwne. Bo moi chłopcy was rozpracowują.

Dzisiaj rano zameldowano: Towarzysz Tomski się zastrzelił.

Niektórzy ludzie nie znają się na żartach.

2

W 1922 roku na samym szczycie znalazła się siódemka: Lenin, Trocki, Zinowiew, Kamieniew, Stalin, Bucharin, Piatakow.

W tym czasie rozrósł się i rozkwitł kult towarzysza Lenina. Ale on sam, oficjalnie wielbiony i ubóstwiany, był odizolowany od całego świata i odsunięty od władzy. Po to, żeby chronić jego cenne zdrowie. Towarzysz Stalin tak obrócił sprawę, że Komitet Centralny właśnie jemu polecił troszczyć się o spokój drogiego Włodzimierza Iljicza.

Towarzysz Stalin podporządkował się decyzji partii i troszczył się o niego. Albo pilnował. Sam już nie wiem, jak to powiedzieć.

W trosce o bezcenne zdrowie towarzysza Lenina lekarze Stalina zabronili drogiemu Iljiczowi wszelkich spotkań oprócz spotkań ze Stalinem. Leninowi nie dawano książek i gazet. Żeby nie martwił się bez potrzeby, wnikając w nasze zwycięstwa i dokonania. Lenin nie mógł już pisać. Prawa ręka i prawa noga były sparaliżowane. Dlaczego sparaliżowane, nie wypadało wówczas o tym mówić. A dla młodego pokolenia nauczka: Nie bierzcie przykładu z drogiego Iljicza, bo inaczej nie tylko na ręce i nogi paraliż się rzuci, ale i nos się zapadnie.

Towarzysz Stalin, gdyby mógł, w ogóle przerwałby wszystkie kontakty Lenina ze światem zewnętrznym. Ale nie udało mu się tego dokonać. Nie miał wtedy towarzysz Stalin jeszcze takiej mocy. Leninowi pozwolono dyktować pięć, najwyżej dziesięć minut dziennie.

No i podyktował *List do zjazdu*.

Towarzysz Stalin otoczył Lenina jak niedźwiedzia w barłogu. Ale jednego

nie upilnował. Przeoczył to. Przegapił.

Treść listu stała się znana towarzyszom na czele partii. Lenin w tym liście scharakteryzował przywódców.

Stalin, zdaniem towarzysza Lenina, skupił w swych rękach olbrzymią władzę. Towarzysz Lenin nie miał pewności, czy towarzysz Stalin zdoła zawsze z należytą ostrożnością korzystać z tej władzy.

Trockiego, według oceny Lenina, cechowały wybitne zdolności, ale pociągały wyłącznie kwestie administracyjne, czyli był bezdusznym biurokratą. Co więcej, towarzysz Trocki walczył z Komitetem Centralnym Partii Komunistycznej. Lenin mu to wypomniał. W liście znalazło się jeszcze jedno, miażdżące stwierdzenie: niebolszewizm Trockiego. Po prostu strasznie zdolny towarzysz, ale nie nasz. W naszej partii – obcy. A kto nie jest z nami, ten... I z KC walczył.

Przy odrobinie woli leninowską ocenę Trockiego można wyrazić jednym słowem: Wróg! Wróg o wybitnych zdolnościach. I nie była to jedyna taka ocena dawnego towarzysza broni. Lenin publicznie wyzywał Trockiego od judaszków.

Towarzysze Zinowiew i Kamieniew w październiku 1917 roku, kiedy podjęto decyzję o przejęciu władzy, stchórzyli i postanowili udaremnić przewrót, żeby nie trafić w karzące ręce sądu polowego. Ale jak można udaremnić zamach stanu? Nie było to trudne: plany przejęcia władzy opublikowano w gazecie. Gdyby wtedy na czele Rosji stali ludzie z głową na karku i o mocnych nerwach, to dowiedziawszy się o planach przewrotu, powiesiliby na latarniach wszystkich bolszewicków. Ale na czele Rosji stali wybitni impotenci. Tylko dlatego przewrót się udał. Zinowiew i Kamieniew natychmiast przyłączyli się do zwycięzców i wykreowali na przywódców. Ale pięć lat po przewrocie Lenin, charakteryzując towarzyszy, pamiętał o przeszłości i stwierdził, że październikowy wyczyn Zinowiewa i Kamieniewa nie był przypadkowy. Inaczej mówiąc – zdradę i tchórzostwo mają we krwi. Oprócz paniki i zdrady nie ma się czego po nich spodziewać.

Bucharin – według oceny Lenina – jest nie tylko najcenniejszym i największym teoretykiem komunizmu, ale też pupilką całej partii. Jednak jego teoretyczne poglądy z dużą dozą wątpliwości można określić jako marksistowskie. Ponadto Lenin dodał: Nigdy się nie uczył i nigdy nie zrozumiał do końca dialektyki.

Trafne stwierdzenie: najcenniejszy i największy teoretyk marksistowskiej partii to wielka pomyłka. Wymyśla coś, co z pozoru tylko można odnieść do marksizmu. A co tworzą inni teoretycy pomniejszej rangi? Ponadto ulubieniec partii nigdy się nie uczył...

A Piatakow to człowiek o wybitnej woli i wybitnych zdolnościach. Nieprzypadkowo można na nim polegać w poważnej politycznej sprawie.

W Biurze Politycznym Komitetu Centralnego znajdowali się wówczas jeszcze towarzysze Rykow i Tomski. Ale Lenin o nich nie wspomniał. Wszyscy wszystko rozumieli i bez komentarzy Lenina.

Z listu Lenina wynikało, że tylko Stalin nie ma politycznych wad i braków. Lenin tylko intuicyjnie czuł, że towarzysz Stalin w przyszłości nie zawsze dość ostrożnie będzie korzystał ze swojej nieograniczonej władzy.

Stalina nikt wówczas nie uważał za przywódcę, ale Lenin z niewiadomych powodów właśnie jego umieścił na pierwszym miejscu. I właśnie o nim powiedział: Stalin skupił w swoich rękach bezgraniczną władzę. Według oceny Lenina Stalin był jedynym, którego nie można nazwać wrogiem, tchórzem, zdrajcą, słabeuszem, histerykiem. I można na nim polegać w poważnej politycznej kwestii. Miał jedno zastrzeżenie: jest zbyt potężny. I obawę: nie narobiłby głupstw.

W liście zawarto jedno zalecenie dla towarzyszy z partii: Usunąć Stalina ze stanowiska sekretarza generalnego Komitetu Centralnego! Wrogów, zdrajców, tchórzy, słabeuszy, histeryków i tych, na kim w poważnej politycznej sprawie nie można polegać, zostawić. A Stalina usunąć!

Oczywiście po takim liście towarzysz Lenin niczego istotnego i ważnego już nie podyktował. Być może podyktował, ale do towarzyszy to nie trafiło.

I po napisaniu takiego listu towarzysz Lenin nie mógł długo żyć. I nie żył. Zrozumiał towarzysz Stalin: chowa Lenina, a ten ciągle listy próbuje pisać. Nie wiadomo, co jeszcze mu do głowy przyjdzie. Dlatego towarzysz Stalin zapewnił mu całkowitą izolację: Lenin zamilkł na wieki, a kukłę Lenina wypełniono trocinami i wystawiono na widok publiczny w kamiennej piramidzie na placu Czerwonym jak zdechłego faraona.

Po Leninie pozostało trzech przywódców: Trocki, Zinowiew i Kamieniew.

Towarzysz Stalin nie pchał się do władzy, nie wygłaszał haseł z trybun, nie wzbogacał genialnymi dziełami skarbnicy marksizmu. Towarzysz Stalin zajmował się pracą u podstaw, taką, do której przywódcy nie mieli głowy. Towarzysz Stalin przejął pod stanowczą bolszewicką kontrolę Uczraspred KC, Ewidencję i Zarządzanie Kadrami: Iwanowa – awansować, Pietrowa – zdymisjonować, Uszkina z powiatu przenieść do guberni, a Chriuszkina – przeciwnie.

Każdy kierownik rejonu to nomenklatura KC. Czyli o jego losie decyduje tylko Komitet Centralny. A dokładniej, jeden z wydziałów Komitetu Centralnego – Uczraspred. Również każdy dowódca dywizji to nomenklatura KC. Każdy dyrektor dużych zakładów. I każdy czekista dość wysokiej rangi – w nomenklaturze. Na górze towarzysz Trocki wywrzaskuje przemówienia, towarzysz Zinowiew układa plany rewolucji światowej, pupilek partii towarzysz Bucharin, który nigdzie się nie uczył, tworzy traktaty, a na dole partii, w powiatach i guberniach, już rozumiano, kto tu rządzi i decyduje o ich losach.

Tymczasem towarzysz Stalin jest zajęty rutynową pracą. Organizuje wszystkie partyjne konferencje i zjazdy, i dlatego też organizuje wszystkie wybory. Również kontroluje liczenie głosów. Dlatego towarzysz Stalin zawsze wie, kto jest za nim, kto przeciw, a kto się jeszcze waha. Towarzysz Stalin wie, kto jest za Trockim, a kto przeciwko, kto za Zinowiewem i za Trockim, a kto tylko za Zinowiewem, ale przeciwko Trockiemu. Przydatna wiedza, żeby szczuć wrogów na siebie.

A jeszcze w ręku towarzysza Stalina – kontrola partyjna. Ktoś ma lepkie

ręce, ktoś ma słabość do spódniczek, a ktoś do gorzałki. Ktoś planu nie wykonał, a ktoś zgubił tajny dokument. Wszystkich, którzy zawinili, oddać pod sąd partyjny! To towarzysz Stalin ostatecznie decyduje, kogo ukarać, a kogo oszczędzić. Dobremu człowiekowi można wybaczyć. A złego ukarać z całą surowością! W ten sposób awansuje się dobrych, usuwa się, eliminuje, wyrzuca złych. Chwasty precz z pola!

Ale można wybaczyć złemu, uprzedzając: Jeśli będziesz się trzymał niewłaściwej linii, to popamiętasz.

Tymczasem towarzysz Stalin zbudował „trójkę” – Zinowiew, Kamieniew i on sam. Wspólnie pozbyli się Trockiego. Potem towarzysz Stalin zawarł sojusz z Bucharinem. Razem z Bucharinem odsunął od władzy Zinowiewa i Kamieniewa. Później przyszła kolej Bucharina.

I oto minęło 13 lat od chwili, kiedy Lenin napisał *List do zjazdu*. Wszystko się zmieniło.

Teraz w kraju był tylko jeden wódz – towarzysz Stalin.

Trocki okazał się wrogiem ludu. Nieprzypadkowo wielki Lenin ostrzegał: Nie jest z nami! Trockiego wyrzucono z partii i kraju. Został skompromitowany i wyklęty. Tylko dziwne, po co go towarzysz Stalin wypuścił z kraju?

Okazało się, że byli przywódcy Zinowiew i Kamieniew też są wrogami ludu, mordercami, terrorystami, spiskowcami. Toczy się ich proces. I mało kto wątpi, że nasz najsprawiedliwszy na świecie wymiar sprawiedliwości skaże ich oraz ich zwolenników na najwyższy wymiar kary.

Były przywódca Bucharin został usunięty ze wszystkich stanowisk. Żałuje i skamle. Wzywa partię do zjednoczenia się wokół towarzysza Stalina. Oświadcza wszem wobec, że strasznie się ucieszy, jeżeli Zinowiew i Kamieniew zostaną rozstrzelani. Nazywa ich psami, najobrzydliwszymi z ludzi, ludzką padliną.

Były przywódca Piatakow, człowiek o wybitnej woli i wybitnych zdolnościach, był kiedyś szefem rządu Ukrainy. Teraz został zdegradowany

do pierwszego zastępcy komisarza ludowego przemysłu ciężkiego. Ma na sumieniu grzech. Dawno temu opowiedział się za Trockim przeciwko Stalinowi. Rozumie, że towarzysz Stalin kiedyś mu to przypomni. Dlatego Piatakow się stara. Publicznie domaga się śmierci Zinowiewa i Kamieniewa. Tymczasem aresztowano żonę Piatakowa. I Piatakow poprosił Komitet Centralny, żeby pozwolił mu osobiście rozstrzelać wrogów ludu: od Zinowiewa i Kamieniewa do własnej żony włącznie.

Człowiek o wybitnej woli i wybitnych zdolnościach nie zrozumiał, że i bez niego ma kto rozstrzeliwać wrogów. Wy tłumaczono mu to dobitnie.

I tu znalazł rozwiązanie! Jest państwowy oskarżyciel, towarzysz Wyszynski. Na procesie Zinowiewa, Kamieniewa, Smirnowa i im podobnych oskarża w imieniu państwa. Dlaczego więc on nie może wystąpić w imieniu społeczeństwa, w imieniu szerokich mas ludu! Dlaczego nie może opowiedzieć całemu światu o tym, jak Zinowiew, Kamieniew, Smirnow, Mraczkowski szpiegowali i szkodzili, jak zamordowali towarzysza Kirowa, jak zorganizowali zamach na najukochańszego, wielkiego towarzysza Stalina, jak szykowali obalenie władzy robotników i chłopów. Dlaczego nie może zdemaskować całej reszty spiskowców, którzy siedzą na czarnej ławie obok Zinowiewa, Kamieniewa, Smirnowa?

Piatakow napisał list do towarzysza Stalina i dostał odpowiedź: Zuch, dobrze, działaj!

To była możliwość, żeby się odznaczyć! Ma szansę odpokutować za grzechy przeszłości. Towarzysz Piatakow ułożył demaskatorskie przemówienie i wysłał do towarzysza Stalina. Przemówienie spodobało się towarzyszowi Stalinowi. Rozkazał towarzysz Stalin zapoznać z treścią przemówienia oskarżonych Zinowiewa, Kamieniewa i Smirnowa. A im nie spodobało się wcale. Powiedzieli chórem: Ty łajdaku! Postanowiłeś nas utopić? Nie uda się! Razem z nami, szuj, utoniesz.

I cała trójka oznajmiła, że sam Piatakow to wróg, zdrajca, spiskowiec, trockista, truciciel studni i podpalacz pól, szpieg niemiecki, japoński, polski i rumuński.

Piatakow jeszcze o tym nie wiedział. Dostał od towarzysza Stalina podziękowania za bezwzględną postawę, za żarliwe piętnowanie wrogów, pojechał poprawić zdrowie do Jałty, do sanatorium Rady Komisarzy Ludowych.

3

Praca pomocnika wykonawcy nie jest ciężka. Najpierw trzeba wyprowadzić klienta z celi i dostarczyć na miejsce weryfikacji. To 55 par kroków po korytarzu i 13 schodków w dół. Żeby klient się nie denerwował, należy go prowadzić nie z całym zastępem, a tylko z jednym dozorcą, niby nie na egzekucję, a dla złożenia dodatkowych wyjaśnień.

Cele śmierci w Lefortowie są zamykane na dwa rygle i dwie kłódki. Jeden klucz ma naczelnik więzienia, drugi – korpusowy. Nawet więc gdyby naczelnik zechciał wypuścić więźnia, to sam tego zrobić nie może. Potrzebna jest zgoda drugiej osoby.

Klucza naczelnik nikomu nie daje, żeby nie zrobiono kopii. Korpusowy też nikomu nie daje, nawet swojemu naczelnikowi. Jakie tu zaufanie: skazaniec zwieje, to znajdziesz się na jego miejscu, zamiast niego zaciągną cię do piwnicy z trocinami.

Każdego skazanego i naczelnik więzienia, i korpusowy przekazują specgrupie za pokwitowaniem. Pokwitował Żmijojad w dwóch dziennikach. Naczelnik i korpusowy, każdy własnym kluczem, otwierają zamki i wychodzą. Co będzie dalej – to ich nie dotyczy. Specgrupa w Lefortowie pracuje, ale nie podlega naczelnikowi więzienia. Specgrupa podlega bezpośrednio wydziałowi porządkowo-ochronnemu NKWD.

Żmijojad z dozorcą otwierają ciężkie drzwi, za nimi jest krata zamknięta na kłódkę. Wymyślona po to, żeby więzień nie rzucił się na tego, który wejdzie pierwszy.

Kiedy tylko szczękną kłódki, więzień powinien bez poleceń odwrócić się twarzą do ściany, ręce za głowę, dłonie otwarte, odwrócone w kierunku

drzwi. Ważne, żeby niczego w tych dłoniach nie schował. Nie ma nic do stracenia, może zdzielić po głowie czymś ciężkim.

Nie każdemu od razu udaje się tak jak trzeba trzymać otwarte dłonie. Ale w Lefortowie są dobrzy nauczyciele. W sekundę wytłumaczą: Kłaść dłonie na uszy. Teraz odwrócić dłonie do tyłu. Proste? Proste. I pałką gumową, którą towarzysz Balicki wprowadził do NKWD, po wątrobie! Żeby lepiej zapamiętał.

Zresztą nie ma nic do ukrycia. Cella jest zupełnie pusta. Wzdłuż ściany – szeroka drewniana ława na betonowych nogach. To jest i kanapa, i fotel, i łóżko. Materac, poduszka, kołdra – niczego takiego nie ma. Żeby pluskiew nie hodować. Ściany wyłożono deskami. Drewno jakiegoś miękkiego gatunku. Po to, żeby na życie się nie targnął. Znalazło się kilku sprytnych, co sami sobie roztrzaskiwali głowy o ściany albo o podłogę. Tu ten manewr nie przejdzie. Za pierwszym razem zabić się nie da. Drugiego podejścia nie będzie – założą kaftan bezpieczeństwa. Kaftan skórzany. Ręce i nogi skrepują, żebyś się nie rzucał. Dodatkowo wyleją parę wiader wody. Dopóki skóra jest wilgotna – w porządku. A kiedy zaczniesz schnąć, zawyjesz jak wilk, całego skręca.

Każdego, kto trafia do takiej celi, ostrzegają, że lepiej nie walić głową w ścianę, bo będzie gorzej.

Klucz od wewnętrznej kraty jest u dozorca. Gdyby nawet naczelnik i korpusowy umówili się, że więźnia wypuszczą, i tak im się to nie uda. Ponieważ nie mają dostępu do trzeciego klucza.

– Więzień Smirnow, podejść!

Podszedł.

– Odwróć się! Dawaj ręce!

Odwrócił się plecami, wsadził oba nadgarstki pomiędzy pręty. Żmijojad zapiął lśniące bransoletki. Jeszcze raz pokwitował. Dopiero po tym dozorca szczęknął kłódką, zaskrzypiał kratą: Wyjdz.

Milczy więzień Smirnow. Żmijojad i dozorca też milczą. Tylko Żmijojad

delikatnie szturchnął Smirnowa: Idź. Idzie. Przeszli korytarzem, zeszedli schodami w dół. Żmijojad popchnął drzwi do gabinetu, skinął do dozorczy: Wolny, dalej sami.

W gabinecie jest dwoje drzwi. Przez jedno się wprowadza, przez drugie wyprowadza, a dokładniej – wyciąga. W murowanej ścianie olbrzymie okno. Cały gabinet tonie w świetle słonecznym. Więzień Smirnow zmrużył oczy i skrzywił się od tego światła. Odzwyczytał się.

Pomiędzy dwiema ramami do potężnych murów przymocowana jest krata. Ale nie psuje widoku. W oknie firaneczka w wyblakłe wzory. Na parapecie kwiatek geranium. Na środku gabinetu jak potężny bastion kancelaryjne biurko. Przy biurku w fotelu – szef porządkowej specgrupy, towarzysz Krajni. W rogu – sejf. Nad towarzyszem Krajnim wisi olbrzymi portret ludowego komisarza spraw wewnętrznych, generalnego komisarza bezpieczeństwa państwowego Gienricha Grigorjewicza Jagody. Przed towarzyszem Krajnim – akta Smirnowa. Przy prawej ręce – paczka korbeków i zapalniczki. Przy lewej – inna paczka. Towarzysz Krajni wcinając piernika.

Żmijojad rozpiął kajdanki, popchnął Smirnowa do taboretu przykręconego do podłogi: Siadaj.

Sam stanął z tyłu. Przy ścianie. Obok niego jeszcze dwójka pomocników – Ryndin i Reut.

Towarzysz Krajni odłożył nadgryziony piernik, przeżuł w zamyśleniu, otworzył akta.

– Imię i nazwisko...

– Iwan Nikiticz Smirnow.

Żmijojad zbladł, wbił się w ścianę: przecież zaraz, dosłownie za kilka minut tego człowieka zabiją.

– Rok urodzenia...

– 81. Gubernia rizańska.

Sania Reut mruga do kolegów, pokazuje na Żmijojada: zaraz biedaczek

zemdleje, biały jak łabędź.

- Ostatnie stanowisko?
- Ludowy komisarz łączności ZSRR.

Kola Ryndin też zerka na Żmijojada: słabowity towarzysz, nie jego praca, nie dla Sieńki czapka, nie dla Julia sombrero...

- Kim byłeś wcześniej?

Smirnow rozprostował ramiona, dumnie rzuca słowa:

– Ja, Iwan Smirnow, byłem przewodniczącym Syberyjskiego Komitetu Rewolucyjnego!

Towarzysz Smirnow słynął w całej Syberii z bestialskiej krwiożerczości. Cały kraj go znał jako Syberyjskiego Trockiego. Egzekucji Smirnowa Syberia nigdy nie zapomni. Na Jeniseju Smirnow puszczał z prądem rzeki, jak stateczki, tratwy z powieszonymi. Wsie lubił palić w zimie, żeby ten, kto nie spłonął, zdechł na mrozie.

- Po Syberii?
- Po Syberii skierowany przez partię do Piotrogradu. Byłem sekretarzem Piotrogradzkiego Komitetu i Północno-Zachodniego Biura KC.
- U Zinowiewa?
- U Zinowiewa.

Towarzysz Smirnow czyścił Piotrogród nie gorzej jak Syberię. Na rozkaz Zinowiewa pozbywał się z miasta elementu wyzyskiwaczy. Przy okazji zwalniał dla nowych władców mieszkania carskich generałów i ministrów. Uderzał w byłych burżujów, ale jednocześnie dostało się całej reszcie, od marynarzy z Kronsztadu do byłych oficerów, od inżynierów do ulicznej hołoty. Z bezdomnymi dziećmi, spekulacją, z epidemią syfilisu walczył Smirnow swoimi ulubionymi metodami – masowymi egzekucjami.

A teraz siedzi na taborecie plecami do Żmijojada. Ten zna towarzysza Smirnowa prawie osobiście. Wsie syberyjskie są ogromne. Gdy podpali się z jednego końca – tak żeby wiatr płomienie rozrzucał – długo się palą,

szczególnie niegaszone. Wieś Fierlujewo, gdzie wolni ludzie Szyrmanowowie mieszkali za czasów cara Aleksieja Michajłowicza, Smirnow spalił lekką ręką, jakby od niechcienia. W Fierlujewie z siebie tylko znanego powodu Smirnow nie wziął zakładników i nikogo nie rozstrzelał. Tylko jego chłopcy seriami z cekaemów kosili tych, którzy próbowali gasić pożar. Wszystkich Szyrmanowów skosili. Został jeden, najmłodszy. Przyłączył się do leśnych ludzi, razem z nimi chwycił czekistów, komisarzy, członków zbrojnych oddziałów aprowizacyjnych, wypruwał im flaki, a brzuchy wypychał zbożem: Żryjcie, swołocze, chleb syberyjski! Tak go okrzyknięto Żmijojadem. Za szczególne okrucieństwo. Oddział poległ w nierównej walce, a Żmijojad wywinął się i wycofał wilczymi tropami. W Pitrze dołączył do dzieci ulicy. A tam znowu Smirnow. O mały włos trafiłby Żmijojad na jedną z tych obław, które niezmiennie kończyły się egzekucją.

Gdyby tylko towarzysz Smirnow wiedział, kto zgrzyta zębami za jego plecami!

Źle Żmijojadowi. Mdli go jak przed utratą przytomności. Nie wie, co zrobić z rękoma, to odepnie kołnierzyk, to sam sobie zamknie dłońią usta... Wymacał ręką na pasie skórzany pokrowiec z czymś twardym, przypomniał sobie, że to francuska łamigłówka, jakoś ulżyło...

Tymczasem przesłuchanie toczy się dalej.

– Karany?

– Pierwszy wyrok w 1927. Trzy lata zesłania za trockizm. Z trockizmem zerwałem i publicznie go potępiłem. Drugi wyrok w 1933 roku. Za zinowiewską opozycję. Pięć lat SŁONia – Sołowieckiego Obozu Robót Przymusowych Specjalnego Przeznaczenia. Nie odbyłem kary do końca – kolejny proces. Razem z Zinowiewem i Kamieniewem – najwyższy wymiar kary...

– No, to jeszcze zobaczymy. Mamy władzę ludową, humanitarną... Prosiłeś o łaskę u robotników i chłopów?

– Prosiłem...

Żmijojad widzi: kark Smirnowa stężał.

Towarzysz Krajni uspokoił go:

– Nie ma jeszcze odpowiedzi... Nie palisz?

– Nie palę.

– No to poczęstuj się piernikiem.

Smirnow nie uwierzył nawet. Tyle lat nie jadł pierników.

– No, bierz!

Podniósł się Smirnow, wyciągnął rękę, pochylił się nad stołem. To najdogodniejsza pozycja dla atakujących z tyłu. Bo stół jest szeroki. Żeby sięgnąć po paczkę, trzeba zgiąć się wpół, skłonić się całym ciałem. Równowaga jest prawie całkowicie zachwiana. Jest to najbardziej niestabilna pozycja ciała. Można brać gołymi rękoma. Dla palących – kzebki, dla niepalących – pierniki. A dla pomocników sygnał: kiedy tylko wyciągnie rękę przed siebie, rzucajcie się, wykręćcie łapy za plecy i krępujcie drutem.

Smirnow nie dosięgnął piernika. Żmijojad jak ryś skoczył mu na plecy, rąbnął kastetem po paluchach i od razu w żebra. Lewą ręką szarpnął za ramię, odwracając do siebie znieawidzoną mordę, i przyłożył w nasadę nosa. Smirnow runął. Żmijojad chwycił taboret za nogę – żeby roztrzaskać głowę. Ale taboret był mocno przykręcony do podłogi.

Nie muszą już pomocnicy krępować Smirnowa, nie ma po co. Leży jak wór ziemniaków w kałuży krwi. Rzucili się na Żmijojada, wykręcili ręce: Oszalałeś?

Towarzysz Krajni wyskoczył zza biurka, strącił paczkę z piernikami, rozsypując po podłodze.

Za egzekucyjnych drzwi wygląda dyżurny wykonawca, towarzysz Złydzień: Co to za hałas?

Złydzień strojem przypomina trochę pilota i trochę rzeźnika. Od pilota ma skórzany hełm, gogle, rękawice z wyłogami do łokcia. A od rzeźnika –

szeroki długi skórzany fartuch.

Klnie towarzysz Krajni. Jak tu nie kłąć, skoro cała podłoga zachlapaną krwią? Do przedśmiertnego mordobicia wyznaczono celę obok. Po co paskudzić w gabinecie?

Dowódca plutonu egzekucyjnego dotknął twarzy więźnia czubkiem buta, odwrócił do światła. Nie oddycha. A żyje czy nie – nie wiadomo.

Żmijojada pomocnicy przycisnęli do ściany, pochylili głowę w śmiertelnym uścisku. Pytają spojrzeniem dowódcę: Co robimy?

Skinął towarzysz Krajni: Puśćcie go. Do Złagodnia, kopiąc Smirnowa:

– Chyba zabity. Strzel dla pewności.

Złapali pomocnicy ciało Smirnowa, powlekli w dół po schodach do piwnicy z trocinami.

4

W dużym czystym więziennym pokoju z dwoma wysokimi oknami zebrano całą porządkową specgrupę.

Stoją, pospuszczali głowy.

Towarzysz Krajni tryska złością.

– Towarzysze, mamy w specgrupie sytuację nadzwyczajną. Nasz nowy kolega Żmijojad, łamiąc instrukcję, rzucił się na więźnia i zadał mu ciosy, które doprowadziły do utraty przytomności lub do śmierci. Egzekucję trzeba było wykonać w sytuacji, kiedy więzień był w stanie nieprzytomności albo nawet po jego śmierci. Zgodnie z instrukcją mamy obowiązek w ostatniej chwili już na schodach zapytać, czy więzień nie chce wydać oświadczenia. Żmijojad pozbawił nas takiej możliwości. Za brak opanowania, za złamanie instrukcji udzielam Żmijojadowi surowej nagany. Będę wnioskował do przełożonych o wydalenie ze specgrupy. To wszystko. Na dziś jesteście wolni.

Towarzysz Krajni wyszedł, trzaskając drzwiami.

Za nim rzucił się dyżurny wykonawca, towarzysz Złydzień, szczelnie zamykając za sobą drzwi:

– Coś ty, baranie, zrobił?

– A co?

– Zastanów się: Skazano Zinowiewa, Kamieniewa i ich współników. Łącznie szesnastu wrogów. Wszyscy dostali zasłużoną i od dawna przez cały lud pracujący oczekiwaną najwyższą karę. Dzisiaj Zinowiewa i Kamieniewa kropną na Łubiance w obecności towarzysza Jagody. Ale z jakiegoś powodu resztę wysłano do różnych punktów egzekucyjnych Moskwy. Po co?

– Nie wiem.

– Na procesie okazało się, że Smirnow jest zastępcą Trockiego w Związku Radzieckim. Przyznał to. Przywieziono go do nas na wykonanie wyroku. A my mamy w grupie nową osobę. Przysłaną do nas osobiście przez Jagodę. Po co, pytam?

– Nie wiem.

– Bałwan! Dla kontroli! A ksywę ma Żmijojad! Powiedział, że nigdy nikogo nie zabił, a ty uwierzyłeś. Spójrz na jego gębę. Na ruchy. Tak po prostu z kastetem paraduje? Tak po prostu zbladł i się trząśł? Nie mógł się doczekać, kiedy dorwie się do mordowania! Pochlapał ci gabinet krwią Smirnowa, a ty mu dałeś naganę i wniosek o wydalenie. Masz absolutną rację! Gdy każdy, kto ma wyrok śmierci, połapie się, że trafił do celi egzekucyjnej, że to koniec, może powiedzieć coś bardzo ważnego, coś, co wcześniej zataił. Dlatego w instrukcji stoi, żeby w ostatniej chwili zapytać, czy skazaniec chce jeszcze coś oświadczyć. Żmijojad złamał instrukcję. Ukarłeś go w obecności całej grupy absolutnie słusznie. Ale do nas na pewno przysyłają agentów, żeby na każdego zbierali haki. Jako dowódca masz rację. Ale przecież można twoje działania odebrać tak, że trockistowską szychę bronisz przed gniewem ludu. A on zamelduje samemu Jagodzie, że w Lefortowie klienci przed egzekucją nie są katowani, a tych,

k którzy katują, mogą z grupy wyrzucić. Zamelduje, że ty, towarzyszu Krajni, jesteś ukrytym trockistą, zinowiewcem, kamieniewcem i smirnowcem. Sympatyzującym. Zgadnij, jakie będą kosekwencje. Nie to jest najgorsze. Do diabła z tobą, półgłówku. Szkoda, że całą naszą grupę z twojego powodu, durniu, będą podejrzewać o sympatie dla trockistów i zinowiewców.

Towarzysz Krajni osunął się ciężko na przykręcony do podłogi taboret, złapał się za serce:

– Złydniu, jesteś mądrzejszy, poradź coś!

– Dzwon na portiernię, żeby nie wypuszczać nikogo z naszych za bramę. Daleko zejść nie mogli. Pilnie zbieraj grupę. Kierownik gospodarczy niech zajmie się zagrychą...

5

Zebrano grupę w tym samym pokoju. Stoją zwartym szeregiem.

Towarzysz Krajni jest wściekły.

– Żmijojad.

– Jestem!

– Wystąp z szeregu!

– Tak jest!

Żmijojad zrobił trzy kroki do przodu, zamarł.

Milczy grupa. Milczy towarzysz Krajni. Powoli kroczy wzdłuż szeregu. Patrzy każdemu w oczy jak wygłodniały wampir. Nagle się zatrzymuje, robi gwałtowny obrót.

– W naszej grupie jest sytuacja nadzwyczajna. Tym razem – prawdziwa. Kraj walczy z sabotażystami, szpiegami, dywersantami, trockistami, zinowiewcami. Przypadł nam honorowy obowiązek postawienia ostatniej kropki w każdej sprawie. Przywieziono do nas na egzekucję łajdaka Smirnowa. W bandzie Zinowiewa i Kamieniewa był trzeci według rangi.

Nasz nowy młody towarzysz Żmijojad, pałając proletariacką nienawiścią, zadał bydlakowi kilka ciosów. Gdzie była reszta? Cooo? Gdzie, pytam, reszta? Co robiła? Zamiast pomóc Żmijojadowi, rzucili się, żeby go odciągnąć! Postanowiłem sprawdzić, jak kto będzie reagował. Udzieliłem Żmijojadowi nagany. To nie była prawdziwa nagana. Tak tylko powiedziałem. Myślałem, że cała specgrupa się oburzy, stanie w obronie młodego towarzysza. Ale wszyscy milczeli! Cooo? Tylko towarzysz Złydzień wykazał się świadomością klasową i czujnością rewolucyjną. Wdarł się do mojego gabinetu i o mało nie porwał mnie na strzępy. Wtedy wytłumaczyłem mu, że sprawdzam grupę na czujność. Dlaczego nikt inny nie wdarł się do mojego gabinetu? Cooo? Kim jesteście? Trockistami? Zinowiewcami? Smirnowcami? Dywersantami? Czy po prostu przyzwyczailiście się żyć na zasadzie: ja się nie wtrącam?

Towarzysz Krajni przywalił w stół pięścią.

– Dziękujcie mi, że jestem dla was dobry. Nikogo nie zawiadomię o waszym podłym zachowaniu. A naszemu nowemu koledze Żmijojadowi za okazaną nienawiść do wrogów klasy robotniczej, za gorliwość w służbie wyrażam podziękowania. Będę wnioskował u przełożonych o premię pieniężną i bezpłatny wyjazd do sanatorium. W naszej grupie, towarzysze, pojawił się nowy żołnierz, w którym gotuje się i szuka ujścia nienawiść klasowa. Niektórzy z was nie docenili należycie proletariackiej surowości. A przecież on mógł po prostu nie doczekać chwili, kiedy trzeba będzie rzucić się na wroga. My, towarzysze, wykończymy trockistowsko-zinowiewską bandę. Potrzebujemy więcej takich gorących i odważnych ludzi jak nasz nowy kolega. Jest nas więcej. Proszę go kochać i szanować jak jednego z nas!

Otworzyły się szeroko drzwi do pokoju obok – na długim stole cała bateria butelek i skromny kawalerski poczęstunek: ogórki, pomidory, kiszona kapusta, smażone ziemniaki, kiełbasa, paski różowej słoniny, śledzik z cebulką, szprotki w oleju, pajdy czarnego chleba.

Żmijojad wyszedł za bramę Lefortowa. Gdzie się udać? Jeszcze nie zdecydował. Wskoczył na stopień tramwaju: gdzie poniesie. Wiatr sierpnia – w twarz. Dzwonek tramwaju z naprzeciwka – w duszę. Nigdy nie jeździł jednym tramwajem od jednego przystanku do drugiego. Zawsze wskakiwał w czasie jazdy i w czasie jazdy wyskakiwał. Wskakiwał do innego. Zawsze mylił trop. Sam nie wiedział dlaczego. Tak go służba nauczyła.

Zeskoczył z jednego. Wskoczył do drugiego, trzeciego. Znalazł się gdzieś niedaleko Kremla. Usiadł na ławeczce. Zamyślił się. Potem zdecydowanym krokiem skierował się do Ogrodu Aleksandrowskiego. Wiedział: Przy Bramie Borowickiej w cichym zaułku, gdzie z jakiegoś powodu nie ma ochrony, wisi zwyczajna skrzynka pocztowa. Na niej widnieją słowa: „Do towarzysza Stalina”.

Mówię od razu, że tak w ogóle są tam cztery skrzynki. Na jednej jest napis „Moskwa”, na drugiej – „krajowe”, na trzeciej – „zagraniczne”. A czwarta właśnie jest na listy do towarzysza Stalina. Skrzynki zawieszono tak, żeby każdy mógł do nich podejść i żeby nikt niepowołany nie zobaczył, do której skrzynki wrzucany jest list. Lud moskiewski ten zaułek zna i wrzuca listy do skrzynek. Ale wszystkich nie upilnujesz.

Przez trzy dni Żmijojad nosił kopertę za pazuchą. Teraz się zdecydował. Zbliżył się. Uniósł zieloną klapę, obejrzał się i wrzucił swoją szarą kopertę. Nikt nie widział? Najwyraźniej nikt. Teraz trzeba jak najszybciej się wycofać. Myląc trop. Wskoczył do dorożki: Szybko! Dokąd szybko? Do przodu szybko! Sypnął garść srebra, zeskoczył i pobiegł zaułkami! Na stopień tramwaju!

Później, łapiąc oddech, zrozumiał, że nie bez powodu skrzynka pocztowa znajduje się w zacisznym miejscu. To dla durniów, dla tych, którzy myślą, że tu nie ma obserwacji. A tak naprawdę jest. Bez niej, i to w takim miejscu, się nie obejdzie. To jasne jak kwietniowy świt, że obserwują każdego, kto do tej skrzynki wrzuci list. Żmijojad rozumie, że również za nim ruszyli szpicle. Ale

nie na byle kogo trafili. Oderwał się od nich tylko sobie znanymi, od dawna wytyczonymi i sprawdzonymi trasami. Nikogo za nim nie ma. Jest o tym przekonany. Tylko sam nie rozumie, po co miałby gubić ogon. Przecież to skrzynka pocztowa Stalina. Żmijojad wysłał list, podpisał się i podał swój adres zwrotny. Ale Stalin ma licznych wrogów. Jagodę, dajmy na to. Wrogowie też mogą to miejsce obserwować, wyłapując tych, co nadają Stalinowi sygnały. Ci właśnie są niebezpieczni. I przed nimi trzeba się ukryć.

7

Cicho jest w koszarach i na WPP. Ktoś chrapie po nocnym dyżurze. Ktoś, przeciwnie, przed służbą. Ale większość łóżek jest pusta – ludzie są w pracy.

W kącie siedzi tylko okularnik Świerszcz. Zobaczył Żmijojada i podchodzi do niego z książką. Jakby postanowił pokazać coś ciekawego. Usiadł obok. I cicho tak:

– Czekają na ciebie. Jeśli komuś o mnie piśniesz, zabiję.

– Kto czeka?

– Wyjdź za bramę. Na stacji przejdź przez tory. Między składami sprawdź, czy nie masz ogona. Po tamtej stronie za magazynami jest budka z piwem. Znasz?

– Znam.

– Tam będzie na ciebie czekał facet na motorze. Powiesz, że jesteś od Świerszcza.

– Zrozumiałem.

Żmijojad wyszedł za bramę. Przeszedł się wzdłuż ogrodzenia. Schylił się, żeby zawiązać sznurówkę. To jest dogodna pozycja, żeby się rozejrzeć, ale przy tym nie oglądać się jak złodziej. Chyba nikt za nim z bramy nie szedł. Naokoło nie ma nikogo. Stacja jest wypchana po brzegi składami towarowymi. Ale cicho. Zanurkował pod wagon, pod drugi. Tu już można oglądać się otwarcie, nie wzbudzając podejrzeń. Przecież rozglądają się

wszyscy normalni ludzie, kiedy przechodzą przez tory kolejowe.

Żmijojad się dziwi: nie zdążył obrócić od Kremla na Krasną Priesnię, a już ktoś na niego czeka. Pierwsza grupa bojowa Piątego Wydziału GUGB, a i w niej przyczał się człowieczek od Stalina. Kto by zwracał uwagę na okularnika Świerszcza? Cichy, cichy, a tu: zabiję, mówi!

Pokrążył Żmijojad zaułkami, znalazł się przy budce. Stoi tam olbrzymi chłop w skórzanym hełmie, goglach, długim czarnym płaszczu. Bardzo podobny do dyżurnego wykonawcy.

Nie czekając, aż Żmijojad wypowie umówione słowa, podał hełm, gogle i skinął na motor: Siadaj, tylko trzymaj się mocno.

Żmijojad jest nie do poznania w tym hełmie i tych goglach.

Chłop uderzył prawym obcasem w starter, motor zawył jak nieposkromiony diabeł, podskoczył, kichnął benzynowym smrodem. Pomknęli po kocich łbach. Huk na całą okolicę. Wiatr gwizdże w uszach. Złapał się Żmijojad za potężne ramiona, tłumiąc przerażenie.

Rozdział 4

1

Swawolna dziewczuszka prześlizguje się od drzewa do drzewa, od krzaka do krzaka. Interesuje ją bardzo, gdzie mieszka Jaszczur. Trzasnął furtką. Spuścił psa z łańcucha. Powłókł się do sadu i tam położył pod drzewem.

Niebo już szarzeje. Czasu jak na lekarstwo. Na szczęście, jak się okazało, Jaszczur jest prawie jej sąsiadem. Rzuciła się do domu. Przeskoczyła przez płot. I na strych. Wyrzuciła odważnik na łańcuchu. Teraz potrzebuje innej broni. Potężniejszej.

Znalazła w kącie pod skrzynkami przerdzewiały łańcuch. Takimi łańcuchami przywiązuje się traktory do słupów telegraficznych, żeby same z siebie na pole nie pojechały, póki traktorzyści piją. Dobry łańcuch. Leży tu pewnie od dawna. Łańcuch to potęga. Uzbroiła się w łańcuch jak proletariusz na wielką bitwę. A tam gitara w kurzu. Gitara to romantyka. Ale nie czas na romantykę.

Zawsze ją uczono: Źle jest zabijać. Ale zabijać jest źle tylko w przypadku, kiedy abstrakcyjny X zabija równie abstrakcyjnego Y. A gdy komsomolcy-ochotnicy-gorące serca zabijają chłopą, to jest bardzo dobre. Dlaczego nie zabić w imię sprawiedliwości społecznej? A jest jeszcze lepiej, kiedy nasi dobrzy zabijają złego w romantycznym rytmie: „Źe ziemię w Grenadzie ja oddać chcę chłopom”. Swoim chłopom ziemię zabieramy, a hiszpańskim obiecujemy oddać. Dialektyka.

Zerwała strunę gitary, zeszła ze strychu – i do dziadka.

Śpi dziadek Makar w ogrodzie jak Newton pod jabłonią. Obudziła dziadka, roztarosiła. Podskoczył zaniepokojony:

– Co? Machnowcy w mieście?

– Nie, dziadku, uspokój się. Cicho. Cały czas mamy czerwonych. Lepiej

powiedz mi, dziadku, jak uspokoić psa, żeby się nie rzucał?

Rozczarowany dziadek odwrócił się i westchnął, zasypiając:

– Do byczego rogu naładuj masło, ciemnoto. Czego was w tej szkole uczą.

Rzuciła się znowu na strych. Znalazła wśród mnóstwa rzeczy przepiękny byczy róg. Skoczyła do piwnicy, napakowała do rogu masło i przez płot.

2

Jeden zaułek. Drugi. Szkoda, że niebo już jest szare z zielonym prześwitem na wschodzie.

Dom Jaszczura. Pies zachłystuje się z wściekłości. Nie pies, a ohyda na łapach. Łaciaty. Nie od jednego ojca pochodzi, a od całego zgranego kolektywu. Nic ciekawego, sukinsyn, czego się spodziewać. Rzuciła mu byczy róg. Czuje pies masło, liże językiem, gryzie zębami. Ale pamiętajcie, kończąc moje dzieło, że pies nie da rady przegryźć byczego rogu. To jasne, że szanujący się pies służbowy, stróżujący czy ratowniczy jest wytresowany i nie weźmie jedzenia z cudzych rąk. Tresowany pies tak się zwieść nie da. Pies Jaszczura był tak zły jak on sam, ale nietresowany, dlatego zajął się byczym rogiem, nie podejrzewając, że przedsięwzięcie jest beznadziejne: sprężystość i lepkość byczego rogu jest większa od zdolności gryzienia każdego sukinsyna.

Ona mija psią, śliniąc się mordę, drobne ostre zęby, a oczy zwraca ku niebu: delikatna dziewczeczka, nieśmiała. Zawarczał pies straszliwie. Przeraziła się wiotka dziewczyna. Boi się tak, że nie da się tego opowiedzieć. Tak się boi, że za chwilę chyba całe przedsięwzięcie rzuci i na tańce więcej się nie wybierze. Nastroszył się pies, zjeżył sierść na karku i toczy pianę z pyska. Syczy, porwałby dziewczynę na strzępy, ale bardzo mu się chce masełko polizać, więc za żadne skarby ze swych psich łap tego rogu nie wypuści. Nie zabiera dziewczyna zdobyczy i dobrze, idziesz, to idź, a mojego przysmaku nie tykaj.

Skrada się obok psa, a łańcuch trzyma w ręku: Tylko, piesku, skocz, to dzielę między uszy – więcej się nie pozbierasz.

Ale pies nie skoczył. W ten sposób znalazła się w sadzie. Jaszczur śpi pod drzewem, cichutko pochrapując. Piękna jabłoń nad Jaszczurem. Papierówka. Z tej odmiany jabłek słynie Konotop. Pod koniec sierpnia od aromatu konotopskich jabłoni szaleją dziewczuchy jak wiosną od upajającej słodyczy czeremchy.

Zerwała źdźbło trawy, połaskotała Jaszczura w nos. Jaszczur zamachał rękami. Jeszcze połaskotała. Znowu się odwrócił, zamachał rękami. Ona jeszcze raz. Przeklął siarczyście, podniósł głowę, obejrzał się. Właśnie wtedy ona mu na gardło narzuciła pętlę. I zaciągnęła.

Uważam za swój obowiązek poinformować, że pętla z gitarowej struny na gardle może zepsuć sen, jeśli się ją szybko i mocno zaciśnie.

– Och, Jaszczur, kotku, nie rzucaj się.

Jaszczur charczy.

– Rączek nie wyciągaj. Nie wyciągaj. Miałeś swoją szansę. Teraz moja kolej. Posłuchaj i zapamiętaj. Za jakieś pięć godzin ockniesz się w szpitalu miejskim numer siedem. Na oddziale urazowym. Nie masz po co opowiadać, jak cię urządziła szesnastoletnia dziewczyna. Po co szargać opinię? Powiesz, że było dużo potężnych facetów. Banda obcych.

– Khhrh – charczy Jaszczur.

– A więc jak się ockniesz, zawołaj milicjanta Waškę. Przez niego przekażesz mi swoje przeprosiny. Jeżeli o ósmej wieczorem na tańcach nie dostanę twoich przeprosin, nie dożyjesz północy. Teraz dobrze mnie znasz. Dotrzymuję obietnic.

– Khhrh – charczy Jaszczur.

– Twoje żarty o gwałcie bardzo mi się nie spodobały.

– Żarthhowałem – charczy Jaszczur.

– Bardzo niestosowny żart. Tak się nie żartuje. Nie dla siebie się staram, a

dla wszystkich innych dziewczyn. Dlatego teraz zrobię tak, że żarty o gwałtach nie wpadną ci więcej do głowy. Masz poduszkę w zęby. Bądź mężczyzną, postaraj się nie drzeć. Będzie to twój ostatni akt jako mężczyzny. Nie będziesz już nim więcej. Zagwarantuję ci wieczną neutralność. No to się trzymaj. I nie obudź sąsiadów.

Jedną ręką zaciska strunę na szyi, w drugiej trzyma łańcuch. Niezbyt wygodnie. Dlatego postanowiła, że pierwszy cios powinien być uspokajający. Sieknęła łańcuchem od traktora. Jaszczur dostał konwulsji, wykrzywił mordę, zsiniały mu usta, krzyk zamarł w gardle, nie mogąc się wyrwać.

Wydawałoby się: nieopierzona nastolatka. No, jaki tam cios? Słuszna uwaga. Ale należy wziąć pod uwagę ciężar łańcucha i pomnożyć go przez natchnienie, które czasami nawiedza delikatne poetyckie dusze. A cios był natchniony.

Ponadto długość łańcucha należy pomnożyć przez celność ciosu. Przecież nie tyle jak go walnęła, a z porządną znajomością anatomii. Te kolejne razy były bezładne, jak uderzenia cepem w stodole, żeby jak najwięcej ziarna wymłócić, ale pierwszy był wymierzony: neutralizujący.

Spuściła Jaszczurowi takie lanie, że męskie imię stało się w jego przypadku nie do końca dokładne, i poszła do domu. Mijając gryzącego róg sukinsyna, śpiące domy i wysokie mury. Na strych. Spać.

3

Zasnęła od razu i głęboko.

Spała długo i spokojnie. Obudziła się dopiero wieczorem. Tym razem włożyła jaskrawą sukienkę: Po co jej żałoba? Trzeba się bawić. Życie jest takie krótkie. Wzięła do ręki ołowiany odważnik na skórzanym pasku. Westchnęła i położyła z powrotem. Postanowiła, że pójdzie na tańce bez żadnej broni. Odważnik był dobry do niespodziewanego uderzenia. Drugi raz nie przejdzie: zanim się zamachniesz, już cię trzy razy potraktują kosą.

Tak więc bez odważnika i nawet bez torebki.

Park. Zna tu wszystko do ostatniego listka. Idzie przez park, rozstępuje się łobuzeria, szepcze między sobą. Z każdego kąta oczy ją świdrują. W mistycznym przerażeniu. Idzie przez park i smutno jej: ani Aspida nie widać, ani Jaszczura, ani wielu z ich bandy. Tylko milicjant Waśka jak zawsze na posterunku. Co prawda, pet już się odkleił i odpadł. Waśka zobaczył naszą dziewczeczkę i śpieszy na powitanie.

– Dzień dobry.

– Witaj, Waśka.

– Czy mogę się dowiedzieć, czym wczoraj potraktowałyście Aspida?

– Sam się pośliznął i przewrócił. O drzewo się podrapał.

– Właśnie. Na to wygląda. Dobrze mu tak. Chłopcy chcieli pogadać. Zapoznać się. A ten dureń chciał się bić. Prokuratura miała sprawę wytoczyć, ale Aspid prosił, żeby się wstrzymać. Mówi, że sam jest wszystkiemu winien. Przekazuje pozdrowienia. Ma złamane żebra i jeszcze coś. Jednym słowem, zapalenie ucha.

– Jaka szkoda.

– Właśnie tak to wygląda. A Jaszczur życzył sobie, żeby przekazać przeprosiny. Wczoraj go jakaś banda złapała i spuściła mu lanie, tkniesz naszą dziewczynę, powiedzieli, to zabijemy. Delikatnie poturbowali. Ledwo go odratowali. Lekarz mu tak powiedział: „Będziesz żył, ale całować się nie będziesz miał ochoty”.

Tutaj powinienem zaznaczyć, skoro już o tym mowa, że tak naprawdę milicjant Waśka nic wówczas o całowaniu nie mówił. Powiedział coś zupełnie innego, ale tyle lat minęło, że już nie pamiętam dokładnie co.

W innej sytuacji nasza delikatna dziewczeczka speszyłaby się, zaczerwieniła jak czerwone jabłuszko. Ale sytuacja była inna. Teraz w niej kipiała spokojna lodowata furia. Patrzy pod nogi, lekko się do siebie uśmiecha.

– No to jak postanowiłyście? Wybaczyście Jaszczurowi? Co mu przekazać?

Tu ona uniosła głowę, otworzyła oczy i smagnęła milicjanta Waśkę spojrzeniem niebieskich oczu. Waśka się cofnął. W gardle mu zaschło tak, jak gorący wiatr suszy goły step. Zrozumiał, że teraz jego zdzieli tym nie wiadomo czym. Byłoby za co! Chce jej spojrzeć na rękę. I strach odwrócić wzrok od jej oczu. Waśka nigdy tyle złości w jednych oczach nie widział. Chciałby rzucić ulotne spojrzenie na jej rękę. Strach. Niby nic w jej dłoniach nie widział, nawet torebki. Ale przecież magik w cyrku też niby nic w rękę nie ma, a potem bach – pistolet. Waśkę obleciał strach. Zrobił coś nie tak. Nie rozumie właściwie co. Wydaje się, że w żaden sposób jej nie uraził. Tylko przyszedł z pozdrowieniami, z przeprosinami od Jaszczura. I masz ci los. Cofnął się jeszcze o krok, potknął się i jakby kucnął, a może na kolana padł. Są we dwoje. Nikogo obok. Ale ze wszystkich alejek setki par oczu teraz ich pożerają. Wręcz bezczelnie. Upokorzenie. Ale Waśce nie wstyd w głowie. Waśka musi ratować skórę. Rozumie, że wczoraj żartowała, a dziś zabije. I jakaś banda w okolicy się pojawiła, kto ją tknie, temu jaja urywają. I za co! Za co, pytam? Doznał olśnienia. Zrozumiał nagle, że ona nie potrzebuje przeprosin. Kazała Jaszczurowi przeprosić tylko po to, żeby jemu, Waśce, dać do zrozumienia: I ty, bałwanie, musisz przeprosić, a nie przekazywać tylko czyjeś przeprosiny. Zrozumiał sugestię. Zrozumiał i ulżyło mu. Cóż, ma przeprosić, to przeprosi. To nic takiego, język nie odpadnie:

- Obywatelko, wy już mi jakoś... Proszę mi wybaczyć, jakby coś nie tak...
- Wstań, Waśka. Przykro patrzeć. Ludzie naokoło.

Waśka się obejrzał. To prawda, ludzie naokoło i milczenie nad parkiem. Wszyscy na niego się gapią. Dlaczego się gapią? Przecież nie jest na kolanach. Po prostu noga się podwinęła. Potknął się.

- Waśka, wiesz, że po nocach lubię samotnie spacerować.
- Wiem. Wiem. Jak mam nie wiedzieć?
- Więc dla urozmaicenia będziesz mnie wieczorami odprowadzał do domu. Jako warta honorowa.
- Zrozumiałem. Nie inaczej, odprowadzę.

– I przekaz swoim, że nie żywię urazy. Dzisiaj moi chłopcy nikogo w Konotopie bić nie będą. To wszystko. Możesz iść.

Odskoczył Waśka, a ona poszła tańczyć.

Był to jej pożegnalny wieczór. Nigdy w życiu więcej nie tańczyła. Tak postanowiła.

4

Pociąg pasażerski Odessa-Moskwa. Zielone wagony. Lokomotywa serii IS. Dla opornych – Iosif Stalin. Potężna lokomotywa. Dla pociągów towarowych – czarny FD – Feliks Dzierżyński, dla pasażerskich – zielony IS. Czerkasy, Złotonosza, Pyriatin, Pryłuki, Bachmacz, Konotop. Pociąg stoi 10 minut. Pasażerowie są proszeni o zajęcie miejsc, odprowadzający są proszeni o wyjście z wagonów.

Przytulił dziadek wnuczkę. Machnęła mu przez okno niebieską chusteczką.

Trafił się jej ładny wagon. Inny niż wszystkie. A ona przyzwyczajona jest do ładnych. W przedziale znalazła się sama. Bez sąsiadów. Dziwne. W ostatnich dniach sierpnia wszystkie pociągi są zatłoczone. Szczególnie te, które kierują się do Moskwy.

Tylko zdążyła się zdziwić, a cała gromada pasażerów wpadła do wagonu. Potężne chłopcy, głośne, z ciężkimi walizkami. Zablokowali przejście. Czy to są miejsca dziesiąte, jedenaste i dwunaste? To nasze! I od razu ścisk jak na Rynku Centralnym. Jakby stado słońi wdarło się do trzeciego przedziału. I do tych obok – też. Nie sposób się przepchnąć. Zaryczała lokomotywa, szarpnęły wagony, trzasnęły drzwi do przedziału, zamknęły się.

– Obywatelka Strzelecka? Anastazja Andriejewna? Urodzona 13 kwietnia 1920 roku? Jesteście aresztowana.

Ręce jej – trzask – zapieli.

Pociąg dopiero ruszył z dworca i od razu zazgrzytały hamulce.

Na jej ręce narzucono szary sweterek, tak żeby nie było widać stalowych bransoletek. Grzecznie wyprowadzają ją z wagonu.

– Pasażerowie, proszę opuścić korytarz! Do kogo, kurwa, mówię! Opuścić! Zamknij drzwi, parchaty! Nos przytrzasnę!

Obok pasażerskiego pociągu sapie inna lokomotywa – też serii IS. Tylko z jednym wagonem. Bez okien. Nastię z jednego pociągu – do niego. I jej walizkę też. Hałaśliwa gromada podąża za nią. Ich walizki wyglądały na ciężkie, póki ładowano je do wagonu. Taka maskarada. Bo wynoszono je z lekkością, jak puste kartonowe pudełka.

Teraz niech sobie pociąg pasażerski Odessa-Moskwa zaczeka. Lokomotywa z jednym wagonem ostro ruszyła ku Moskwie. Bez przystanków.

5

Więzienny wagon jest nowiutki. Czyściutki. Cały w środku pachnie farbą. Jest zupełnie pusty. Nie licząc konwoju. Konwój – sześciu dużych chłopów i trzy baby.

Oraz jedna aresztowana.

Połowa wagonu jest dla ochrony, druga połowa została podzielona na sześć klatek. Ale zajęta jest tylko jedna. Zajęta przez jedyną aresztowaną, lat szesnaście. Zrewidowały Nastię dwie baby w niebieskich beretach Bezpieczeństwa Państwowego. Zrewidowały ją po mistrzowsku. Z rozkoszą. Jedna baba – niczego sobie. Druga – istna wiedźma. Pierwsza ma jeden romb na naszywkach. Druga – dwie belki. Przełożona.

Po rewizji nikt nie przesłuchiwał Nastii. Nikt z nią w ogóle o niczym nie rozmawiał. Milczenie było odpowiedzią na kilka jej pytań.

Nikt jej również nie postawił zarzutów. Ale Nastia i tak zna swoje grzechy: dwóm zadała ciężkie uszkodzenia ciała, jednego okaleczyła, zrobiła inwalidą.

Od dawna wiedziała: Jeśli pomylisz się podczas dyskusji, swój błąd należy uznać szybko i zdecydowanie i nie trwać w uporze. Ale jeśli zrobisz coś złego, to nie wolno się przyznawać. Przyznanie się zmniejsza wyrzuty sumienia, ale zwiększa karę. Ile w jednym miejscu ubędzie, tyle w innym nieuchronnie przybędzie. To odkrył wybitny rosyjski uczyony Michaił Łomonosow. Jest to prawo zachowania masy. Uczą go w szkole. Więc po co ulżyć sumieniu, zwiększając przyszłe kary?

Michaił Wasiljewicz był mądrym człowiekiem. Nazwisko też miał odpowiednie. Zwyciężał we wszystkich naukowych dysputach; przeciwnicy wiedzieli: Lepiej z nim nie zadzierać – złamie nos albo i roztrzaska czaszkę.

Jednego nie rozumie, jak o jej wyczynach mogła się dowiedzieć bezpieka państwowa? o tym, że okaleczyła Jaszczura, wie tylko on sam. I nie w jego interesie o tym gadać. Świadców brak. Jeżeli Jaszczur coś takiego rozpowie, kto mu uwierzy?

Z Aspidem i jego bandą też wszystko jasne. Tu Nastii trudno coś zarzucić. Była to samoobrona w najczystszej postaci. Napaści, co prawda, nie było. Ale wyraźnie ją planowano i przygotowywano. Ona tylko zadała cios wyprzedzający. Jeżeli Aspid i jego kompani opowiedzą, jak się sprawy miały, to ich wyśmieją. I jak jedna dziewczyna mogła ich pokonać? Jaki sąd im uwierzy?

O bandzie, która rzekomo ją chroni, Nastia sama rozpuściła pogłoskę. Jeżeli zapytają, również tu ma gotową odpowiedź. Jaka banda? Czy ktoś tę bandę widział? I kto udowodni jej związek z jakąś mityczną bandą? Skąd się ta banda wzięła i gdzie się podziała, jeżeli nie ma jej śladu ani w Konotopie, ani w okolicy?

6

Sprytny śledczy natychmiast zaczyna działać, nie dając aresztowanemu możliwości ochłonać. Ale nie ma śledczego w więziennym wagonie. Dlaczego? Dlaczego nikt jej nie przesłuchuje?

Dokąd ją wiozą? Po co? Jeśli przestępstwo popełniono w Konotopie, to tu należy się tym zająć. Znowuż dziwne: w Konotopie, jak zresztą wszędzie u nas, mordobicia nie zalicza się do kategorii przestępstw. Wielka rzecz – ktoś kogoś pobił, ktoś komuś żebro złamał, wybił zęby albo na przykład poturbował jakieś delikatne narządy. I co, za to od razu trzeba zamknąć w pudle? Wtedy wszystkich należałoby capnąć. Ale wszystkich nie zamkniesz!

Coś tu jest nie tak.

I dlaczego jej sprawą nie zajmuje się milicja, a bezpieczeństwa? I dlaczego tylu konwojentów? Po co maskarada z przebieraniem? Dlaczego aresztowali ją ludzie w cywilu? Dlaczego zgarnęli ją tak, że nikt nie zobaczył? Łatwiej było milicjantom o świcie zapukać do domu dziadka Makara. A tu cała operacja: sprzedano jej taki bilet, żeby w przedziale nie było obcych. Pociąg zatrzymano dopiero wtedy, gdy ruszył z dworca.

Skąd tyle honorów? Osobista lokomotywa z osobistym więziennym wagonem? Dlaczego wagon jest całkiem nowiutki?

Nowiutki jest widocznie dlatego, że gdzieś u ludowego komisarza spraw wewnętrznych stoi specrezerwa transportu więziennego. Na wypadek nagłych masowych aresztowań moce są zawczasu przygotowane. Czasami w szczególnym przypadku można pożyczyć jeden wagonik ze specrezerwy.

Skoro tak, rysuje się dziwny obraz. Kursują po kraju po nieznanym trasach, według nieznanym rozkładów więzienne wagony. Przypuszczam, że nie są puste. A skoro tak, to powinny być w środku zupełnie czyste. Powinny roztaczać odpowiednie aromaty.

A kto ma prawo pobrać wagon więzienny ze specrezerwy Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych?

Tu dwa niezrozumiałe komponenty połączyły się w jeden zrozumiały.

Pierwszy niezrozumiały komponent: Dużo ochrony, ale nie ma śledczego, który mógłby, wykorzystując zaskoczenie i zmieszanie aresztowanej, dowiedzieć się wielu takich rzeczy, jakich nie wyciągnie się z człowieka, który miał czas, żeby dojść do siebie, zebrać się z myślami,

oswoić z sytuacją.

Drugi niezrozumiały komponent: Lokomotywa i cały wagon ze specrezerwy do transportu jednego więźnia.

Zrozumiały wniosek: Jej sprawą zajmie się osobiście bardzo ważna szucha, która nie ufa ani szeregowym, ani nawet bardzo ważnym śledczym.

Skoro tak, pojawia się nowa wiadomość. Po co ma się nią zajmować wielka szucha? Jak dotąd nie popełniła żadnych przestępstw przeciwko państwu.

Wytłumaczenia mogą być tylko dwa.

Pierwsze: Pomyłono ją z kimś innym.

Drugie wytłumaczenie: Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Gdzieś odbywa się coś wielkiego, z czym ona nie ma nic wspólnego. Ale proces historyczny porywa również tych, którzy chcieliby odpłynąć w bok. Rozcinają w tartaku olbrzymi dębowy bal, na balu ślimak... Żadnej krzywdy nikomu ten ślimak nie zrobił. Po prostu znalazł się w nieodpowiedniej chwili na nieodpowiednim balu.

Nastia wyobraziła sobie, że jest ślimakiem, mięczakiem. Bardzo jej się to nie spodobało. Wtedy ujrzała siebie jako zwinną rudą wiewiórkę. Taka nie będzie siedziała na balu do czasu, aż ją poćwiartują. Taka bez pośpiechu ucieknie lekkimi skokami: hop-hop.

Ucieczka z wagonu więziennego nie wypali.

Dlatego postanowiła oszczędzać siły do chwili, która się może nadarzyć.

Dlatego trzeba spać. Spać na gołych deskach.

Potrafiła zasypiać. Jest na to mnóstwo sposobów. Ale nie na wszystkich i nie zawsze działają. Ona miała niezawodny sposób. Trzeba wyobrazić sobie czyste leśne jezioro z sitowiem i białym piaskiem na dnie. Trzeba wyobrazić sobie lekkie zmarszczki na przezroczystej wodzie, żółty liść płynący jak stateczek. I spadający do wody kamień... Plusk! I na dno. Kręgi na wodzie. Ten obrazek trzeba trzymać przed oczami, nie pozwalając, żeby inne myśli i

obrazy go wyparty. I jeszcze jeden kamień. Leci... Dotknął wody... Bryzgi wody... Idzie na dno... Idzie... Idzie... I kręgi... I krę...

7

Żmijojad zapukał do drzwi. Otworzył nieśmiało. Na spotkanie – Stalin. Zupełnie inny niż na portretach.

- Dzień dobry, towarzyszu Żmijojad.
- Dzień dobry, towarzyszu Stalin.
- Wejdźcie, siadajcie.

Pokój na dacy Stalina jest taki zwyczajny. Stalin uściśnął Żmijojadowi rękę. Żmijojad odwraca się nieznacznie, daje towarzyszowi Stalinowi sposobność, żeby niepostrzeżenie wytrzeć chusteczką rękę i niezauważalnie cisnąć chusteczkę do kosza na śmieci. Ale towarzysz Stalin nie wyciera dłoni.

– Dostałem wasz list. Napisaliście do mnie dziwną epistołę. Słowo i czyn. Cóż to za słowo? I jaki czyn? Chcecie się napić?

Żmijojad oblizał nagle wyschnięte usta.

- Chcę.
- Czego nalać? Jest gruzińskie wino, ormiański koniak, rosyjska wódka z jarzębiną, ukraińska gorzałka z pieprzem...
- Gorzałki, towarzyszu Stalin.
- Napiję się z wami. Na zdrowie.
- Na zdrowie, towarzyszu Stalin.

Niektórzy myślą, że gorzałka to taka malutka małpka. Trzeba przyznać, że tak jest. To prawda. Ale nie cała. Gorzałka to jeszcze napój leczniczy. Leczy depresję, chandrę i nieśmiałość, odpędza w kąt troski i zmartwienia, pomaga w nawiązywaniu kontaktów międzyludzkich. Najważniejsze, żeby ta gorzałka była zimna, żeby było jej pod dostatkiem i żeby było czym zakąsić.

Jędrny ogóreczek małosolny, talarki cebuli i kawałek różowej słoninki sprzyjają absorpcji. To wszystko na dacy Stalina przygotowano ze znajomością rzeczy.

Wznieśli kieliszki, wypili haustem. Zakąsili ogórkami.

– Jeszcze po jednym?

– Ja z przyjemnością, towarzyszu Stalin, ale wy nie pijecie.

– Jak to nie piję? Wypiłem z wami.

Żmijojad wskazał głową czarkę Stalina. Stalin nie zrozumiał. Przyjrzał się. I pojął. Czarka Żmijojada nieco zaparowała od lodowatej gorzałki. A Stalina – nie.

Sprytny jest towarzysz Stalin. I ręce ma zręczne. Żmijojadowi nalał gorzałki, sobie wody. Jak zdążył to zrobić, Żmijojad nie zauważył, ale gdy wypił i sięgnął po ogóreczka, dostrzegł niezauważalną różnicę. Życie nauczyło Żmijojada zwracać uwagę na najbardziej błahe drobiazgi. Można było pominąć milczeniem sztuczkę Stalina. Ale budzi się złość: Nie z durniem masz do czynienia, towarzyszu Stalin!

Uśmiechnął się Stalin, przeprosił: Sprawy wagi państwowej, nie czas na picie, ale skoro już, towarzyszu Żmijojad, przyłapaliście mnie na sztuczce, polejcie mi karniaka.

Polał Żmijojad. Stalin wypił. Teraz i jego czarkę odrobinę jakby mgła złapała.

– A teraz razem?

– Razem, towarzyszu Stalin.

Stalin nie bierze więcej butelki do rąk, skoro dał się złapać. Polał Żmijojad. Wypili. Teraz do sedna:

– Tak więc co to za słowo? I jaki czyn?

– Przecież wiecie, towarzyszu Stalin, co to znaczy.

– Ja wiem. A wy wiecie?

– Teraz też wiem. Pozwolicie po kolei?

– Pozwalam.

– Pięć dni temu na Dworcu Jarosławskim zaginął czekista, który przyjechał z Kołomy. W cywilnym ubraniu. Miałem służbę na pierwszym peronie. Wezwał mnie do siebie na daczę ludowy komisarz spraw wewnętrznych, towarzysz Jagoda. Zażądał odnalezienia zaginionego. Rozmawialiśmy w ogrodzie, żeby nikt nie podsłuchał. Siedzieliśmy przy stole. Podczas rozmowy on jedenaście razy dotknął ręką twarzy, lekko muskając ucho. Przez resztę czasu ręce trzymał pod stołem. Czasami jego spojrzenie na chwilę uciekało w bok.

– I co to oznacza?

– Jak to co? – zdumiał się Żmijojad. – To oznacza, że kłamał.

– A ja nie trzymam rąk pod stołem. Lewą ręką podparłem policzek. To też coś znaczy?

– Oczywiście. Gdybyście podparli ręką brodę, odebrałbym to jako utratę zainteresowania. Ale wy, towarzyszu Stalin, przycisnęliście dłoń do policzka, palcami do góry, dotykając skroni. Czy z tego nie wynika, że was, towarzyszu Stalin, zaciekały moje słowa?

– Dobrze. Zaciekawiliście mnie. Dlaczego zaciekawili was działania ludowego komisarza spraw wewnętrznych?

– W Moskwie zaginął człowiek. Człowiek na tyle ważny, że zajmuje się tą sprawą osobiście szef NKWD. Ale zajmuje się nią jako osoba prywatna, nie robiąc hałasu, nie włączając do sprawy całej potęgi NKWD, nie angażując wszystkich, których można i należy zaangażować.

– Co to waszym zdaniem ma oznaczać?

– To znaczy, że zaginiony jest związany z jakąś tajemnicą, ale nie państwową. Jeżeli nie państwowa, to jaka? Antypaństwowa, tak przypuszczam.

– Może to po prostu tajemnica osobista.

– Niemożliwe. Zaginął ważny czekista, szuka go główny czekista kraju. Jaka może tu być osobista tajemnica?

– Skąd wiecie, że zaginiony był czekistą?

– Poznasz popa w worku, a czekistę w sutannie. Na lewym boku pod marynarką wyraźnie miał pistolet. Właśnie dlatego zwróciłem na niego szczególną uwagę. Recydywa nie nosi pistoletów. Recydywa ma kosy, przepraszam, noże. Wojskowi mają pistolety, ale są w mundurach. Kto u nas chadza w kapeluszu i z pistoletem? Inkasent? Inkasenci, kurierzy dyplomatyczni, posłańcy i w ogóle wszyscy, którzy wożą coś wartościowego, nie chodzą sami. I co inkasent robił w pociągu, który przyjechał z Władywostoku?

– Dlaczego sądzicie, że zaginiony czekista przyjechał z Kołymy?

– Twarz spierzchnięta jak u polarnika. Ale pociąg nie przybył z Murmańska, z Archangielska, z północy, a ze wschodu, z Dalekiego Wschodu. Towarzyszowi Jagodzie delikatnie tak, między innymi, podrzuciłem sugestię, że człowiek jechał jedenaście dni pociągiem, a przedtem być może trzy czy cztery dni płynął na statku. Gdyby było inaczej, to towarzysz Jagoda powinien zaprotestować. Powinien powiedzieć coś w rodzaju: Nie, tylko pięć dni jechał pociągiem.

– A towarzysz Jagoda nie zaprotestował?

– Nie, towarzyszu Stalin, towarzysz Jagoda nie zaprotestował.

– Co czekista może wieść z Kołymy ludowemu komisarzowi spraw wewnętrznych?

– Ważny meldunek albo złoto. Z Kołymy więcej nic nie można przywieźć.

– Ważny meldunek albo złoto – powoli powtórzył Stalin.

– Ale meldunek można przekazać drogą radiową, przez telefon, telegraf. Prawie wszystkie środki łączności są w rękach NKWD. Wszystkie służby szyfrujące również. Ostatecznie kurier mógł przylecieć samolotem. NKWD ma własne lotnictwo. Po co ważny meldunek przez piętnaście dni wieść

drogą lądową?

– Więc złoto?

– Więc złoto, towarzyszu Stalin.

– To kradzież. W dużych ilościach. A jednak to tylko kradzież. A gdzie spisek?

– Jak to gdzie? Tu jest spisek. Ludowy komisarz spraw wewnętrznych państwa robotniczo-chłopskiego ma zapewniony dostatek wedle potrzeb. To, czego sobie zażyczy, dostanie. Nie potrzebuje pieniędzy. Wyjechać z kraju nie ma możliwości ani prawa. Po co mu kilogramy złota, a może dziesiątki i setki kilogramów złota? Dla jakich potrzeb?

– Dobre pytanie, towarzyszu Żmijojad. Wracajcie do domu. O naszym spotkaniu wie trzech ludzi: wy, ja i mój asystent, który was tu przywiózł. Teraz powtórzcie mu wszystko, co mi opowiedzieliście. Dziękuję. Do widzenia.

– Do widzenia, towarzyszu Stalin.

– Chwileczkę, a jak brzmi wasze nazwisko?

– Moje nazwisko to Szyrmanow.

Rozdział 5

1

- Nazywam się Chołowanow. Dla swoich – Gryf. Zrozumiałeś?
- A ty mi tu nie rozkazuj! Zrozumiałeś?
- Za co nazywają cię Żmijojadem?
- Tak jakoś wyszło.
- Bo ja pamiętam czasy, kiedy Żmijojadem nazywano tylko tego, kto zabił czekistę. Chociaż jednego. Zabiłeś?
- Zdarzało się. Wczoraj jednego musiałem. Dodałem do kolekcji. Co prawda ten z wyroku.
- Kto to był?
- Iwan Nikiticz Smirnow.
- Temu się należało. Bez wyroku też się zdarzało?
- Zdarzało. Coś ty, towarzyszu Chołowanow, taki ciekawski.
- Taki już jestem. Bardzo mnie zaciekawiłeś: kiedyś zabijałeś czekistów, a teraz sam należysz do GUGB NKWD. Zmieniłeś orientację?
- Ty mnie tu nie pouczaj. Spójrz na swojego szefa Dupalina! Patroszył z kolesiami tyfliskie banki, trzymał nafcjarzy w Baku pod ciepłym skrzydłem, ściągał obfite haracze, a teraz Dupalin stał się sekretarzem generalnym Partii Komunistycznej. Dlaczego chłapiasz na mnie ozorem, a swojemu Dupalinowi nie wygarniesz?
- Dobra, Żmijojadzie, nie rzucaj się. Musimy razem rozwikłać sprawę.

2

Ten, który na placu Trzech Dworców podawał się za Iwana Iwanowicza, leży skulony. Twarz sinoblada.

Ta, która nazywała się Jolanta, skinęła do Arkaszki-Chlusta: Gotowy.

Arkaszka drapieźnie wyszczerzył czarne zęby, wsadził łapsko do kieszeni marynarki nad sercem klienta i wyciągnął niespotykany wcześniej w moskiewskich melinach wypchany portfel z krokodylej skóry.

Łupy nadzwyczajne.

Jedno spojrzenie na paczkę banknotów: oszacował i w myślach szybko obliczył wydatki. Trzeba się ze swoimi podzielić – wrzucić coś do kasy wzajemnej bandyckiej pomocy. Trzeba posmarować milicji, żeby się nie czepiali. Nawalonego klienta trzeba wywieźć jak najdalej i wyrzucić. Tym się zajmie Szajtan. Za transport dodatkowo trzeba dorzucić. Luśce Serojadce – za owocną pracę. Tłustego klienta tym razem złowiła. Wydatków dużo, ale i tak sporo Chlustowi zostanie. Przecież ani Szajtan, ani Luśka nie wiedzą, ile jest kasy. Można uszczknąć-schować-zabunkrować. Na dodatek nawalony klient jest w pięknym garniaku i buty ma zagraniczne. Zegarek rudy, czyli inaczej złoty na złotym łańcuszku. Jedyne rozczarowanie – w teczce same papiery. Po kieszeniach się przelecimy. Tu drobne skarby – papierośnica może ze srebra, pozłacana, a może ze szczerego złota. Z obrazkiem – myśliwi odpoczywają. Plus żółta zapalniczka z czerwonymi kamykami.

A co w kamizelce? W kamizelce coś twardego.

Obejrzyjmy.

Spojrzał i zgasło światło w oczach Chlusta. Znalazł tam dwie czerwone książeczki. Na każdej złota tarcza i miecz. Nazwisko w obu to samo i ta sama gęba. Jedyne różnica: w pierwszej legitymacji – Dalstroj NKWD ZSRR, w drugiej – GUGB NKWD ZSRR.

Dalstroj to Kołyma. Dalstroj to tysiące więźniów. Dalstroj to samodzielne, największe, najbogatsze, pełne grozy i prawie niezależne królestwo w imperium GUłagu. Dalstroj to złoto. Dużo złota. Największe na świecie złoża. Największe wydobywanie – niewolnicza praca jest za darmo. Klient to

wielka szucha z kierownictwa Dalstroju. Świadczy o tym bardzo poważny dokument. On ten dokument podsuwa pod nos komu trzeba na Kołymie. Ale w jego kieszeni jest jeszcze jeden dokument, znacznie bardziej poważny – GUGB! Którego na Kołymie zdecydowanie nikomu nie pokazuje. Ten facet to tajny kontroler Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego, wprowadzony do kierownictwa Dalstroju.

I wtedy rozjuszony Arkaszka-Chlust zapytał Luškę o to, kogo ona, suka, przyprowadziła. Odpowiedziała mu, że dostarczyła wzorowego klienta.

A on jej odpowiedział tak, że przelać na papier tego nijak nie mogę. I dodał:

– Żebyś od kosy zdechła!

3

– Co słysząc, Żmijojad?

– Jak to na Kremlu, zależy gdzie ucho przyłożyć.

– Żmijojadzie, po co napisałeś list do Stalina? Jaki miałeś cel?

– Towarzyszu Chołowanow, nie będziemy mogli razem pracować. Jesteś wścibski jak baba na targu.

– A jednak.

– Stalin mnie o cel nie pytał. Bez pytania zrozumiał. Więc zapytaj Stalina.

– I tak to wiem.

– Na zdrowie. Ja ci jeszcze co nieco dołożę.

– Kiedy Jagoda tę sprawę załatwi, zlikwiduje cię jak zbędnego świadka. Zrozumiałeś to, Żmijojadzie, więc przyszedłeś do nas ratować skórę.

– Długo, mój drogi, myślałeś. Pokaż mi takiego, co w naszym ukochanym kraju nie ratuje skóry. Sam taki nie jesteś? Ze swoim Stalinem-Dupalinem?

– Dobra, bez fochów. Opowiedz lepiej o tej kici, która sprowadziła doświadczonego czekistę na manowce. Znalazłeś jej akta?

– Znalazłem. Z zawodu – złodziejka. Z bezdomnych. Nazywa się Luśka Serojadka. Alias Jolanta, Ewelina i Andżelika.

– prostytutka?

– Nie. Mają swój kodeks: kradnę, ale się nie puszczam. Jeżeli swoi przyłapią, wyrzucą z hukiem. Czasami służy jako przynęta, kiedy klienta łapią.

– Rozpoznałeś ją na zdjęciu i akta oddałeś Jagodzie... Teraz ją zgarną, a przez nią trafią do współników.

– Nie, towarzyszu Chołowanow. Rozpoznałem ją, zapoznałem się z aktami, zapamiętałem wszystko, a towarzyszowi Jagodzie podsunąłem inną.

– Inną złodziejkę?

– Nie jestem mordercą! Jeżeli złodziejka albo dziwka trafi teraz w łapy Jagody, to zginie, nieważne, czy jest winna czy nie. Nie chciałem mieć jej na sumieniu. A musiałem mu kogoś wskazać. Bo inaczej mogłem nie wrócić z jego daczy. Wskazałem mu grzeczną dziewczynkę z dobrego domu. Ojciec – dowódca korpusu w Sztapie Generalnym. Podsunąłem Jagodzie taką, która wyraźnie nie miała z tym nic wspólnego. A ja mam wymówkę: pomyliłem się. Specjalnie wybrałem taką, której nic złego się nie stanie. Jagoda zrozumie, kim ona jest, i wypuści.

– Oj, bardzo się mylisz, Żmijojadzie.

4

Opowiedziałem wam, że praca pomocnika wykonawcy nie jest ciężka. Bez dwóch zdań. Powiedziałem prawdę. Nie jest ciężka, ale krwawa. Co może się stać wykonawcy? Sam jest w fartuchu, hełmie, goglach, rękawicach z wyłogami do łokcia. Krew czasami tryska jak fontanna. A mu co? Ma strój roboczy. Strzelił w jedną potylicę, w drugą, trzecią. I na tym koniec. A kto ciała wynosi? No właśnie. To praca pomocników. Nadwozie samochodu obito płytami cynowymi, założono brzegi. Żeby się nie łało.

Piwnicę po pracy trzeba posprzątać, przygotować do następnego roboczego dnia. Sprzątaczek tu się nie wpuszcza. Kto ma sprzątać? Pomocnicy. I ciała dostarczyć tam, gdzie każą. Dobrze, jeżeli do krematorium: przekazać, pokwitować i do domu. A jeżeli na Wagańkowo albo do szpitala Botkinskiego, to tam trzeba zakopać. Ile to zachodu. Później umyć nadwozie samochodu i wrzucić świeżych trocin.

Ale Żmijojada bardzo tą pracą nie obciążają. Częściej go biorą na egzekucje: zdobywaj doświadczenie, przyuczaj się do zawodu, przygotuj się do awansu. Już przepowiadają mu wspaniałą karierę – nie będzie długo pomocnikiem. Tu jeszcze od towarzysza Jagody przyszło polecenie: nie obciążać ponad miarę nowego towarzysza, musi mieć czas na dodatkową pracę.

A co to za dodatkowa praca, nikt nie powinien się dowiedzieć, nawet szef specgrupy, towarzysz Krajni.

Skoro tak, to nikt więcej nie nazywa go Żmijojadem. Zamiast tego z szacunkiem: towarzysz Szyrmanow.

5

– Słuchaj, Szajtan, nie możemy wyrzucić tego klienta. Powinien zniknąć. Bez śladu.

– Chlust, to twoje zmartwienie. Ja się nie wezmę do mokrej roboty.

– Płacę.

– Płać za transport, a morduj go sam.

– Gdzie on może zniknąć?

– Kiedyś kolesie palili takich po nocach w dońskim krematorium. Ale ktoś podkablował. Koniec interesu.

– I co teraz?

– Mam rozwiązanie, tylko to będzie kosztowało.

– Mów.

– Znam miejsca, gdzie go nigdy nie wykopią. Czekiści rozstrzelali sporo ludzi w Moskwie. Często w samym centrum, na Łubiance, na Nikolskiej. Ciała palą albo zakopują. Znam miejsce na Wagańkowie. Tam zrzucają bez trumien. A ludzie, którzy pracują na cmentarzu, to nasi. Jeżeli zapłacisz. Wygląda na to, że są pod kontrolą czekistów, ale i o swój interes dbają. Więc rozkopią mogiłkę, rzucą twego golutkiego klienta do jednej kupy z rozstrzelanymi. Tam tego mnóstwo. Nikt potem nie odważy się tam czegoś szukać.

– Zgoda.

– Tylko ryzyko jest duże. Czekiści mogą w środku nocy zniecka się zwalić. Swoich umarłaków wywożą trzytonowymi ciężarówkami z fabryki imienia towarzysza Stalina.

– Płacę za ryzyko. Odpracuję.

– Jest lepszy wariant. Ale droższy.

– Nie przeginaj.

– Mam w zapasach na taką okoliczność trumnę z mahoni. Z podwójnym dnem. Jutro pochowają komandarma. Położymy twojego umarłaczka pod spód. Jak materac. Pochowamy za dnia. Z wieńcami purpurowych róż. Przy dźwiękach Międzynarodówki i salw z broni.

6

Luśka-Jolanta schroniła się, jak chroni się zraniony lis. Tak, żeby nikt go nie odnalazł. Potrafiła to robić. Na taki wypadek przygotowała dwie kryjówki. Dookoła Moskwy ogródki działkowe ciągną się na dziesiątki i setki kilometrów w każdą stronę. Na każdym moskiewskim dworcu można wsiąść do elektryczki podmiejskiej na chybił trafił, wysiąść po godzinie, dwóch, trzech drogi, a i tak znaleźć się wśród ogródków działkowych. W ostatnich latach ciągną z Moskwy trakcje elektryczne. Elektryczki zamiast pociągów

uwijają się koło Moskwy. Z zawrotną prędkością. Przez kilka godzin można daleko zajechać. A ze świata działek i ogródków wyrwać się nie sposób. Są wszędzie! Im dalej od Moskwy, tym częściej trafiają się domki dawno opuszczone, z wybitymi szybami, zerwanymi okiennicami, zapadniętymi dachami, z zapuszczonymi, porośniętymi pokrzywami działkami. Tu znajdzie kryjówkę nie tylko biedna mała złodziejka, tu cały oddział partyzantki czy innej leśnej braci ukryje się bez trudu. Miała szczęście – koniec sezonu, dzieci idą do szkół, działki się wyludniają, śpieszą działkowicze do Moskwy, nikt na innych nie zwraca uwagi.

Znalezienie kryjówki to połowa sukcesu. Przecież noce są coraz zimniejsze. A i głód doskwiera. Trzeba upatrzone miejsce przygotować do dłuższego pobytu, zaradzić coś na chłód i głód. Luśka zadbała o to w swoim czasie.

Ale na tym nie koniec. Schronienie musi posiadać dodatkowe tajne wyjście. Wypada mieć dobry punkt obserwacyjny, żeby widzieć, co dzieje się w okolicy. Powinno mieć źródło wody. Żeby móc jakoś się wykąpać. Trzeba mieć jakiś piec i opał w zapasie. Jak dym z komina schować? Trzeba w nocy palić w piecu. A jak noc będzie księżycowa? Należy zadbać o to, żeby szczury nie zżarły zapasów żywności. I o własnej ochronie przed ich atakami pomyśleć. Bo inaczej zjedzą. Ona przecież jest Serojadką.

O wszystko zawczasu zadbała. Znalazła, przygotowała, zaopatrzyła się.

I teraz Luśka-Jolanta-Ewelina siedzi w swej warowni, zablokowała wejście wszystkim, co wpadło w ręce: deskami, pustymi skrzynkami i beczkami, owinęła się kożuchem, który kiedyś przy okazji zgarnęła gamoniowatemu cieciewi, gryzie namoczone w wodzie suchary i rozmyśla o przyszłości. Tej najbliższej. Milicja rzuciła się na poszukiwania zaginionego czekisty. Nie uspokoją się, póki go nie znajdą. To dla Luśki stanowi największe niebezpieczeństwo. Śmiertelne albo prawie śmiertelne.

Czekistę zabił Chlust, a Szajtan pochował w trumnie z podwójnym dnem. Kiedy ich czekiści znajdą, nie będzie zmiłuj. Nie może być tak, że zwyczajnie rozstrzelają. Ale znalezienie Chlusta i Szajtana to też sztuka. Jeśli Luśkę

złapią i torturami wyrwą ich imiona, wtedy czeka ich śmierć po długim i dotkliwym szeregu innych kar. A dopóki Luśka jest na wolności, mogą spać spokojnie...

Stop! Przecież Chlust i Szajtan drżą o swoje skóry. Rozumieją, że kiedy złapią Luśkę...

7

– Towarzyszu Chołowanow, zapomniałeś o jednej rzeczy.

– Jakiej?

– Nie mógł człowiek z Kołomyjechać z jedną teczką.

– Nie mógł.

– Powinien mieć co najmniej walizkę ciepłych ubrań.

– Zgadza się.

– Gdzie jest ta walizka?

– Może w przechowalni?

– Nie, Gryfie. Dobrze pamiętam: wysiadł z wagonu z teczką. Na to też zwróciłem uwagę. Dziwne. Pociąg dalekobieżny. Z najdłuższą trasą na całym naszym globie, a ten bez walizki. Nawet jeżeli wsiadł nie w Chabarowsku, a w Irkucku czy Nowosybirsku, powinna być walizka. Przecież to kawał drogi.

– Być może zostawił w wagonie.

– Coś tu nie gra. Pociągi dalekobieżne rozładowują w Moskwie i zaraz potem kierują na boczny tor, tam robią przegląd techniczny, odkażają, myją, czyszczą, malują, przygotowują do nowej podróży. Nikt nie zostawia rzeczy w pociągu.

– A gdyby znaleźć konduktorów i z nimi pogadać?

– O tym mówię.

Rozdział 6

1

- Polej, Chlust. I opowiedz, jak się czujesz.
- Czuję się, Szajtan, wręcz doskonale. Pochowaliśmy ważnego czekistę i jest cicho jak na cmentarzu. Pijemy? Pijemy! Nasze zdrowie.
- I ja o tym samym: jesteśmy zdrowi, ale wszystko cicho.
- No to cieszymy się i nie zwracajmy sobie głowy.
- Nie da rady.
- A to dlaczego?
- Dlatego, że cicho.
- To źle?
- Zastanów się, Chlust: zniknął ważny czekista. Teraz psy powinny przeszukać wszystkie strychy, piwnice, pustkowie, wszystkie podziemne schrony, rowy i wąwozy. Gdzie łapanki? Gdzie rewizje? Gdzie aresztowania? Gdzie przesłuchania? Gdzie na dworcach zdjęcia zaginionego?
- Ano właśnie, gdzie?
- Jak to wytłumaczysz?
- Nijak. Nic nie rozumiem.
- A ja, Chlust, rozumiem. Szukają po cichu. I wiem kogo. Twojej Luśki, Eweliny-Jolanty-Andżeliki-Serojadki. To ich jedyny ślad. Znajdą ją – znajdą ciebie. Znajdą ciebie – zaczniesz śpiewać.
- Szajtan! Nigdy.
- Pęknieś do samej dupy. Znam cię. Tam potrafią rozwiązać człowiekowi język. Nie takim jak ty rozwiążali.

- Szajtan! Wyjadę. Jutro. Na Kaukaz.
- Pękniez – przyjdą do mnie. A za mną – poważni ludzie.
- Szajtan! Zwieję do Estonii.
- A więc poważni ludzie bardzo by nie chcieli, żeby po ciebie przyszli.
- Nie przyjdą!
- Zrozumiałeś mnie?
- Dziś wyjadę.
- Nie zrozumiałeś mnie.
- Rzeczywiście nie zrozumiałem. Gadaj.
- Powiedzieć? O to prosisz? Nie będę owijał w bawełnę. Prowadzi do ciebie jeden trop. Od twojej Luśki. Jeśli chcesz żyć, urwij... trop.

2

- Towarzyszu Chołowanow, na temat walizki myślę tak. Nie miał walizki.
- Dlaczego?
- Powiem więcej. Nie mógł podróżować sam. Powinien być jeszcze jeden. To długa droga: cztery, a nawet i pięć dni statkiem *Gienrich Jagoda* z Magadanu do Nachodki. Jeżeli będzie miał szczęście, od Nachodki do Władywostoku. I jeszcze jedenaście dni do Moskwy. Ponad dwa tygodnie z przesiadkami z portu na dworzec, z peronu na przystań, z kabiny do wagonu. A przecież chce się odpocząć w restauracji... A jakie wagony restauracyjne są w pociągu Władywostok-Moskwa! Albo po prostu postać na stacji na peronie, łyknąć świeżego powietrza, rozprostować nogi. Nawet zwyczajnie polecieć za potrzebą... A kto bagażu popilnuje? Zwłaszcza jeżeli są tam sztabki i monety?
- Słusznie. Z wartościowym ładunkiem nikt w pojedynkę nie jeździ, ani kurierzy dyplomatyczni, ani inkasenci.
- Myślę tak. Przedział na cztery osoby. Ich było trzech. Kupili cztery

bilety, żeby obcy się nie przyplątał. Mają furę pieniędzy. Wyjście z ciężkim ładunkiem na pierwszy peron Dworca Jarosławskiego w Moskwie – nie można wymyślić niczego głupszego. Dlatego tu nie wysiadają. Ostatnia przed Moskwą stacja pociągu Władywostok-Moskwa jest w Jarosławlu. Właśnie tam wysiada dwóch z ciężkim ładunkiem. Nikt nie zwraca na nich uwagi: geolodzy z Syberii z osprzętem. A jeden bez bagażu jedzie dalej. Tu, w Moskwie, ktoś go spotyka, wraca z nim samochodem do Jarosławla i odbiera posłańców z towarem. I żadnych telefonów i telegrafów, żadnych listów i szyfrówek. Z Władywostoku przyjeżdża tylko jeden pociąg na dobę. Tylko Jagoda pamięta datę, kiedy trzeba spotkać jedną osobę w Moskwie.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Usiadłem, wyobraziłem sobie, że jestem ludowym komisarzem spraw wewnętrznych, który kradnie złoto w olbrzymich ilościach u państwa robotniczo-chłopskiego, i opracowałem kilka wariantów łączności kurierskiej. Ten jest najprostszy. Najwłaściwszy. Najbardziej niezawodny. Coś więcej powiem. Kurier prawdopodobnie przekazuje również datę następnej dostawy.

3

Nagle otworzyły się drzwi. Jakby ktoś w nie uderzył czymś ciężkim. W drzwiach – Luśka Serojadka. Ta, która jest jeszcze Andżeliką, Ewelina, Jolantą. W dłoni ma nieduży, zgrabny pistolecik.

– Nie spodziewaliście się mnie?

– N-n-nie...

– O czym tak gruchacie?

– A cały czas o pogodzie.

– A ja o jakimś tropie słyszałam.

– Lusiał!

– Nie rzucaj się! Zastrzelę!

- Lusia! Ukryjemy cię...
- Na cmentarzu Wagańkowskim?
- Lusia! Zaczekaj. Spokojnie. Wyjedziesz. Tu są pieniądze. Zobacz ile. Masz papierośnicę. Myślisz, że pozłacana? Nie. Szczerze złoto. A tu zapalniczka. Spójrz, jaka ładna. Z rubinem. Lusia! Ostrożnie z tą bronią...
- Zawsze jestem ostrożna. Jak lisiczka.
- Skąd masz pistolet?
- Chlust, zawsze mnie oszukiwałeś. Ty też, Szajtan. Jak to zrozumiałam, sama zaczęłam was oszukiwać. Kiedy tylko klient był gotowy, otwierałam jego portfel, brałam sobie co nieco, chowałam z powrotem, a dopiero potem was wołałam. A tu rozpinam marynarkę, z lewej strony – nieduży taki pistolecik. Właśnie o takim marzyłam. Chwytam to – i w siano. Nie zdążyłam schować kabury. Chlust się pojawił. Twoje oczy płoną chciwością. Grzebałeś w portfelu. A ja w tym czasie udawałam, że tobie pomagam, rozpinałam mu pasek na brzuchu. Przy okazji zdjęłam i schowałam kaburę.
- Lusia! Złodziejki nie mają zgody na broń. Kto wziął do ręki broń, ten ginie. Wyrzuc ją. Nie powiem nikomu, że ją miałaś.
- Nie strasz mnie, Chlust. Zasady znam nie gorzej od ciebie. Broni nie można przyjąć z rąk władzy. Można zwinąć. A ze złodziejstwem postanowiłam skończyć.
- Wycofać się?
- Nie. Usamodzielić się. Będę sama.
- Lusia, dogadajmy się.
- Słucham.
- Masz tu pieniądze. Złoto. A my sobie pójdziemy.
- Dobra. Pieniądze wezmę. I złoto.
- No to umowa stoi.
- Ale wy zostanieie tu.

Rzucił się do niej Szajtan i osunął się z hukiem strzału. Chlust zasłonił się rękami: Nie zabijaj!

– Arkaszko, nie zabijam. Urywam trop.

4

– Gryfie, ta Luśka-Jolanta może zwiać daleko: na Syberię, Ałtaj, Krym, Kaukaz, albo za granicę: na Łotwę, Litwę, do Polski. Na granicy strzelają do intruzów, szczują psami, ale ona, jak widać, to twarda sztuka, wywinie się. Jeżeli zwieje przez granicę, nigdy jej nie znajdziemy. Cała nadzieja w jej sprycie. Złodzieje najważniejsze rzeczy chowają w widocznym miejscu. A jeśli ona ukrywa się tam, gdzie jej teraz nie powinno być, tam, gdzie nie będą jej szukać, tam, gdzie mieszkała wcześniej? Znam te miejsca – Kitajgorod i Choroszowka. Można się podpytać, może ktoś podpowie.

5

Konduktorzy pociągu kurierskiego Moskwa-Władywostok to gwardia całego konduktorskiego stanu. To nie Leningrad-Moskwa – jedna noc tam, druga noc z powrotem. To nie Woroneż-Kijów, nie Chabarowsk-Chasan i nawet nie Taszkient-Nowosybirsk z ich śmiechu wartymi odległościami. Moskwa-Władywostok to jedenaście dni tam, jedenaście z powrotem. W wagonie jest dwóch konduktorów. Każda doba – 12 godzin na osobę. Dzielą się tymi godzinami wedle swojego uznania. We Władywostoku – jeden dzień wolny. Po powrocie do Moskwy – od razu trzy dni wolnego i odbiór wszystkich nadgodzin. Później znowu w drogę. Nad nimi – kierownik pociągu. Oprócz konduktorów podlegają mu dyrektor wagonu restauracyjnego z kucharzami, bufetową i kelnerkami. Kierownik pociągu – szczyt kariery konduktora. Nie można marzyć o lepszej pracy. Za oknem wiatr łamie drzewa, deszcz siecze taki, że woda potokami leje się po oknach, albo szaleje zamieć, a ty masz malutkie, ciepłe, przytulne lokum. Niesie cię i kołysze, niesie i kołysze, stukając na rozjazdach. Naokoło

bajkowe krajobrazy. Ile jest warta sama tylko Kolej Bajkalska. Mawiano kiedyś, że ta część magistrali jest złotą sprzączką stalowego pasa Rosji. To najtrudniejszy w budowie odcinek kolei na całym naszym globie. I najwspanialszy. Z prawej – pionowe skały, czasami dwieście metrów wysokości, z lewej jezioro o nieprawdopodobnym uroku i krystaliczności. Po skarpie mknie pociąg. Tunel za tunelem. Na dzikich skałach stuletnie cedry i złote sosny. W wąwozach rzeki bajecznej urody, krystalicznie czyste, zmierzają do Bajkału jedna za drugą. Szumią na kamieniach. I mosty, mosty, mosty.

Przedział kierownika pociągu wypełniony jest sprzętem grającym. Dopiero co minęli Angarę, dopiero co załśnił przed nimi błękit świętego, najgłębszego i najczystsze jeziora na świecie, a kierownik ogłasza, że już się zbliżamy, i nastawia płytę o dzikich stepach Zabajkala, o włóczędze, co z katorgi uciekł, a potem o wietrze barguzinie i omulowej beczce.

Minąwszy Bajkał na 7031 kilometrze magistrali przy stacji Amazar, pociąg zwalnia, lokomotywa gwiżdże ze wszystkich parowych sił, kierownik pociągu uroczyście ogłasza: „Obywatele pasażerowie, nasz pociąg zbliża się do wyrąbanego w skale popiersia towarzysza Stalina. Popiersie jest najlepiej widoczne z okien po lewej stronie. Teraz proszę przejść na prawą stronę”.

Najwolniej jak się da pociąg mija popiersie, huczy ze wszystkich sił, oddając cześć najukochańszemu wodzowi.

Popiersie wykonał uwięziony wróg. Łagrów jest tu bez liku. Uprosił naczelnika obozu: Pozwól spróbować. Pozwolił. W nieprzystępnych górach, pionowo nad magistralą, jak świeczka wznosi się stumetrowa skała. Jej szczyt zmienił się w gigantyczne popiersie. Wróg trzy lata drążył skałę. W ubiegłym 1935 roku skończył dzieło i uzyskał przebaczenie grzechów. Syn, wrogie nasienie, mu pomagał. Syn nie dostał przebaczenia, dlatego że spadł ze skały przed samym zakończeniem prac. Tak. Wielu jest wrogów. Wzdłuż magistrali obozy to po prawej, to po lewej, to po prawej, to po lewej. Jak koraliki na wstążeczce. Następnie Amur. Potworny most przy Chabarowsku. Nad nim balony zaporowe. I można przypuszczać – działa

przeciwlotnicze na brzegach pod sieciami kamuflującymi. Daleko na dole przy podporach mostu widać przerażające siwe wiry. A kierownik pociągu nastawia na cały regulator *Fale Amuru*.

5 października 1916 roku pierwszy pociąg przetoczył się po moście przez Amur, było to uwieńczenie budowy magistrali. 9259 kilometrów i 216 metrów. 25 lat i 7 miesięcy przedzierali się przez Syberię. Skończyli, a tu runęło imperium... I powstało pod przywództwem towarzysza Stalina. Prawie w dawnych granicach. Od Petersburga do Oceanu Wielkiego. Szkoda, że oderwały się Polska, Litwa, Estonia, Łotwa i Besarabia. Ale to nie na długo. Przyjdzie na nie pora. Towarzysz Stalin zwróci! Kwestia czasu!

Pociąg Moskwa-Władywostok prawie dotyka fal oceanu. Po odpoczynku wraca ze stukotem przez Góry Jabłonowe, płynnie mijając popiersie największego z ludzi, pokonując tysiące wzniesień i stromych zboczy, setki mostów i tuneli, niewyobrażalne przestrzenie. I nagle: „Obywatele pasażerowie, nasz pociąg zbliża się do stolicy naszej wielkiej Ojczyzny i światowego proletariatu – Moskwy!” I na cały regulator – Międzynarodówka ze wszystkich głośników.

A jacy ludzie jeżdżą pociągiem kurierskim Moskwa-Władywostok! Marynarze floty Pacyfiku, pogranicznicy, geolodzy, uczeni, artyści cyrkowi, poszukiwacze, piloci i, ma się rozumieć, obozowi klawisze. Osobliwe towarzystwo – wolni poszukiwacze złota z wypchanymi kieszeniami. A skoro tak, to i karciani oszuści szukają tu szczęścia. I różne kurewki, od których się trzeba opędzać. Ponieważ nie wolno. Handlarze wszystkim czego dusza może zapragnąć. Kręcą się po wagonach. Oczywiście doliniarze. I żebracy z akordeonami. Tych też trzeba wyrzucać z pociągu na zbity pysk. A pewnego razu w wagonie urodził się chłopczyk. Kierownik pociągu jako przedstawiciel urzędu wystawił mu dokument: urodzony między stacjami Zaigrajewo i Chochotuj.

Czasami do pociągu przyczepia się czerwoną salonkę z szycią najwyższej rangi. Kierownik pociągu ma obowiązek mu się przedstawić: towarzyszowi marszałku Związku Radzieckiego, kierownik pociągu Kornilow.

Pociąg gotowy do odjazdu, możemy ruszać?

Ale najczęściej doczepia się wagoniki więzienne. Za nie kierownik pociągu nie odpowiada. Tam mają swoich odpowiedzialnych.

Łącznie są 24 pociągi Moskwa-Władywostok. W tym samym czasie dziesięć pędzi w jedną stronę, pierwszy już do Władywostoku się zbliża, a dziesiąty dopiero z Moskwy wyjechał. W drugą stronę zmierza im na spotkanie kolejne dziesięć. Reszta ma przegląd, jest remontowana, przygotowywana do nowego rejsu do oceanu.

Kierownikiem jednego z tych pociągów jest Aleksiej Aleksiejewicz Kornilow. Polał mu Gryf jeszcze jednego, sobie też dołał, trącili się.

Aleksiej Aleksiejewicz zbiera się w kolejny rejs do oceanu. Ale zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Jeden konduktor z szóstego wagonu wpadł pod kolejkę. W Puszkinie na peronie stał zbyt blisko brzegu, zagapił się. Drugi konduktor z tego samego wagonu utonął w rzece. Sierpień. W Moskwie jest gorąco. A woda przecież zimna. I nieszczęście gotowe. Skurcz złapał ciało i po nim. Kiedy go wyłowili przy moście, który prowadzi do Sieriebrianego Boru, był jeszcze ciepły. A pociąg jest w remoncie, chociaż nie nadszedł na to czas.

– Aleksieju Aleksiejewiczu, nieprzypadkowo wyznaczyłem spotkanie w takiej konspiracji. Chciałem pogadać z konduktorami z szóstego wagonu. Ale ktoś mnie uprzedził. Jeżeli ktoś dowie się o naszym spotkaniu, to i wy runiecie prosto pod tramwaj. Ale nawet jeśli nikt się nie dowie, wasze życie wisi na włosku.

– Mój panie szanowny, nie złamałem prawa, nie popełniłem zbrodni i przestępstwa, nikomu nie zrobiłem krzywdy. Nie boję się niczego. Nie trzeba mnie straszyć. Niejedno widziałem.

– Aleksieju Aleksiejewiczu, rozmawiam z wami już godzinę. Musiałem wyjaśnić pewne sprawy. Ustaliłem, że w rzeczy samej nic nie wiecie na temat interesujących mnie kwestii. Są jednak ludzie, którzy mogą pomyśleć inaczej. Mogą was uważać za niebezpiecznego świadka.

- Niech uważają.
- Rozumiem, że nie macie rodziny.
- Jaka może być rodzina przy takiej pracy?
- Mogę was uchronić przed niebezpieczeństwem. Wiele o was wiem. Sprawdziłem wszystko. Proponuję nową interesującą pracę zgodnie z waszym zawodem.
- Co może być lepszego od Moskwy-Władywostoku? Nie proponujcie. Nie przyjmę.
- Dobrze, Aleksieju Aleksiejewiczu. To jest mój numer telefonu. Proszę zadzwonić, jeżeli zmienicie zdanie. Zapytajcie o Chołowanowa.

6

Sama jest Luśka na świecie. Samiuteńka. Kto wie, że to ona wykończyła Szajtana i Chlusta? Nikt nie wie. Nie ma świadków. A kto wie, że to ona tego przeklętego dnia kręciła się na Dworcu Jarosławskim? Teraz na pewno nikt tego nie wie. Chociaż tam na każdym peronie powinni urzędować szpicle. Jeżeli tak, jeżeli tam byli, jeżeli ją zauważyli, to szukają. A skoro szukają, trzeba się schować. Gdzie?

Wiedziała, że nieuchronnie przyjdzie taki dzień, kiedy ziemia zapali się jej pod nogami. Tylko nie myślała, że tak szybko nastąpi.

O tym sądnym dniu myślała po nocach, przygotowywała się do niego. I już dawno stwierdziła, że sprytna lisica jest zawsze za myśliwym.

7

W ubiegłym 1935 roku najlepsi przedstawiciele ludów kraju rad uchwalili plan generalny rekonstrukcji Moskwy, opracowany z inicjatywy i pod kierownictwem towarzysza Stalina. Plan na 25 lat. Zgodnie z planem, centrum miast zachowa radialno-pierścieniowy układ ulic, a nowe osiedla

będą rozchodziły się pięcioma promieniami od starego centrum. To będzie miasto-gwiazda! Pomiędzy promieniami gwiazdy parki miejskie gigantycznymi klinami przetną osiedla mieszkalne. Park Izmajłowski imienia towarzysza Stalina i park Sokolniczeski imienia towarzysza Bubnowa staną się generatorami świeżego powietrza. Środkiem gwiazdy będzie Pałac Zjazdów – najwyższy budynek na świecie ze stumetrowym posągim Lenina na szczycie. Jedna z linii moskiewskiego metra imienia towarzysza Kaganowicza przebiegnie wprost pod tym budynkiem. Właśnie tak będzie się nazywała stacja metra – Pałac Zjazdów. Dla delegatów przyszłych zjazdów – prosta droga spod ziemi do okazałych sal, w których będą przyjmowali coraz to nowe republiki w skład Związku Radzieckiego. Razem ze stolicą rozkwitnie cały kraj. Od krańca po kraniec przetną go wielkie kanały żeglugowe i Moskwa stanie się portem pięciu mórz: Białego, Czarnego, Azowskiego, Bałtyckiego, Kaspijskiego. Majestatyczny dworzec rzeczny jest już wznoszony w Chimkach! Zostaną poszerzone stare i wytyczone nowe magistrale. Z Ochotnego Riadu nie zostanie nic, nawet nazwa. Przeobrażą się place przy Dworcu Saratowskim i Białorusko-Bałtyckim.

To przyszłość, a w tej chwili porządkuje się plac pod budynki Pałacu Zjazdów, Wszechzwiązkowej Biblioteki Państwowej imienia Lenina, Rady Komisarzy Ludowych, Akademii Wojskowej imienia Frunzego, hotelu Moskwa, Centralnego Teatru Armii Czerwonej. Tumany kurzu nad miastem. Rozpada się i znika stara Moskwa. Od Kitaj-gorodu i Zamoskworzecza do Sokolników i Łuźników niczym karawany niezmordowanych mrówek potężne ciężarówki wywożą tysiące ton tłuczonych cegieł i gruzu.

Kiedyś, za 25 lat, w odległym 1960 roku wszystko będzie dobrze, a nawet wspaniale, wszystkie problemy zostaną rozwiązane. A na razie wśród niewiarygodnego splotu starych uliczek i zaułków, w porzuconych, ale jeszcze niezburzonych budynkach, w piwnicach i lochach, podziemnych przejściach i galeriach jest królestwo szczurów i bezpańskich psów. I złodziejskiej braci. Fruwają ptaki przez wybite szyby stłoczonych domków i sklepików, ganiają koty przez wyłamane bramy i wyrwane drzwi

opuszczonych magazynów, fabryk, cerkiewek, manufaktur. Te wszystkie, obecnie niczyje tereny moskiewska milicja słabo kontroluje, a przeważnie nie kontroluje w ogóle.

Żmijojad udaje tutejszego. Na prawym uchu ma kaszkiet z guziczkiem na czubku. Spod kaszkietu wystaje kędzierzawy czub. Na nogach – buty chromowe w garmonijkę. Szara marynareczka. Skręt w kąciku ust.

– I kogo tu, wujku, zgubiłeś? – interesuje się umorusany chłopaczek. – Ciekawskim możemy porachować żebra, możemy upuścić krwi.

– Szukam swojej lali.

– A wujek przypadkiem nie z milicji?

Żmijojad szarpnął koszulę na piersi – spójrz na obrazki. Ale chłopaka nie przekonał:

– Dużo was takich. Kiedyś uczciwy złodziej w niebieskich obrazkach, a teraz – złodziej w niebieskich naszywkach.

– Nie żartuj, koleżko. Obiję mordę.

– Więc kogo szukamy?

– Luśki-Jolanty.

– Serojadki?

– Tak.

– I po co?

– To moja stara znajoma.

– Już nie pamiętam, kiedy ją ostatnio widziałem. Daj pieniążka, może sobie przypomnę.

Żmijojad rzucił, chłopak się ożywił:

– Chodź za mną! Wchodząc – nie bój się, wychodząc – nie płacz.

Raz skręcili, drugi. Bite szkło chrzęści pod stopami. Zeszli do piwnicy. Może kotłowni, a może piekarni czy pralni. Wszystko zniszczone, połamane, poszarpane.

Żmijojad zajrzał za jedne drzwi, za drugie, upewnił się, że za nimi nikogo nie ma. Tylko się odwrócił, a za jego plecami szczęknął zamek pistoletu.

Huknął strzał.

Kula wbiła się w ścianę przy prawym uchu, kurz z drobnymi odłamkami cegły smagnął w twarz. Żmijojad szarpnął głowę w lewo, ale natychmiast z lewej druga kula uderzyła w ścianę. Żmijojad wbił nos w ścianę, a odwrócić się nie może, bo został ostrzeżony: Gwałtowny ruch będzie ostatni.

– Więc powiadasz, psie, że Luśka-Jolanta to twoja znajoma, a ja ciebie, przystojnego, tylko raz widziałam na Dworcu Jarosławskim, a i to jedynie na horyzoncie.

Dotarło do Żmijojada, że wpadł. On jej szukał, a ona szła za nim. Złapała go tam, gdzie miał nadzieję ją odnaleźć. Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że dla niej najlepszy kamuflaż to chłopczyca? Jak mógł jej nie rozpoznać? Ostrzyżona głowa, brudna, ubrana jak żul, ale przecież twarz ta sama.

– Teraz, psie, muszę cię zabić. Trzymaj się.

– Nie jestem już psem.

– Na tamtym świecie to zameldujesz.

– Poczekaj. Nie śpiesz się. Mogę odwrócić się do ciebie twarzą?

– Po co?

– Strzał w tył głowy to podłość. Przecież nie jesteś katem z Lefortowa.

– A sam ludziom strzelałeś w tył głowy?

– Strzelałem.

– I tobie można?

– Moja dusza jest potępiona. A ty swoją ratuj.

– Moja też potępiona.

– Nie! Jeszcze nie. Kiedy dużo zabijasz, masz ochotę na więcej. Ilu w życiu zabiłaś ludzi?

– Będziesz trzeci.

– No to nie spiesz się, bo obudzisz pragnienie, nie będziesz mogła żyć bez nowych ofiar.

– A ty?

– Ja obudziłem. Dusi mnie. Nie mogę inaczej. Kiedy mam komuś w łeb strzelić, trzęsę się cały, dostaję gorączki, nie mogę się doczekać...

– Ja po dwóch tak nie mam. Jeszcze jeden nie robi wielkiej różnicy.

– Dobra. Zabij. Tylko pozwól się odwrócić. Pozwól spojrzeć śmierci w oczy.

– Dobrze. Odwróć się, tylko powoli. Strzelę ci między oczy. Niedługo przywiozą tu amerykańską koparkę parową, ciebie, psie, zgarną, wywiozą i wyrzucą na śmietnik.

Żmijojad powoli się odwraca, rozumie, że w prawej ręce ona ma pistolet, dlatego z prawej ręki nic nie wyczyta. A po położeniu lewej ręki można coś ustalić. Nie chciałby zobaczyć zaciśniętej pięści, kiedy duży palec jak zamek zamyka inne. Ale właśnie to zobaczył. Ręka w łokciu niezgięta, dłoń mocno ściśnięta. To oznaka zdecydowania. Taka palnie gorącym ołowiem w łeb, nie zawaha się. Żmijojad jest z tego samego gatunku zdecydowanych, więc nie miał wątpliwości.

Nie wywinie się śmierci. Oby miał siłę nie zlać się gorącym strumieniem. Z racji swojego zawodu wie, że człowiek jest słaby. Kiedy tylko zrozumie, że trafił do celi śmierci, że nie ma więcej nadziei, samoistnie puszczają wszystkie zwieracze, nie ma nad nimi już kontroli. Żmijojad rozumie, że nie ma wyjścia, ale zwieracze jeszcze trzymają. Ma inny problem. W obliczu nieuniknionej śmierci budzi się w człowieku dzikie seksualne napięcie. To normalna reakcja życia na zbliżającą się śmierć. Organizm musi się powielić, pozostawić po sobie coś żywego na tym świecie. Jednocześnie natura się domaga, aby właśnie teraz nasycić wszystkie żądze, dane na całe przyszłe życie.

W długim życiu każdy ma wyznaczoną własną miarę przyjemności.

Żmijojad miał ich ponad wszelkie miary. Ale życia więcej nie będzie. Nie da się zaspokoić namiętnych pragnień później. Dlatego one gwałtownie się wzburzyły. Oparł się plecami o ścianę, ścisnął powieki, zazgrzytał zębami, nie czując bólu, i wydał taki jęk, że ona się przestraszyła: Co ci jest, psie? Chyba nie stchórzyłeś.

Otworzył oczy bardzo powoli. Stoi przed nim. Porwałby ją, rozerwał na strzępy, zgniótł jak czeremchy kwiat, zacałowałby, udusił pocałunkami. Za taką chwilę nie pożałowałby życia. Niech później zabije.

– Ładna jesteś, Ludmiło Pawłowna. Nawet w tym stroju. Och, nieprzypadkowo byłaś przynętą...

– Ty mi tu nie opowiadaj bajek.

Mówi, a pięść lekko się rozluźniła, duży palec cofnął się od innych, jak samotny wilk odbił się od watahy.

– Skąd znasz moje imię?

– Znalazłem twoje akta, przeczytałem.

– Komu je pokazałeś?

– Nikomu. Nie chciałem twojej krzywdy. Wybroniłem. Zamiast ciebie wskazałem inną.

– Co z nią?

– Nie wiem. Myślę, że się połapią. Wypuszczą ją.

– Dureń. Stamtąd nie wypuszczają.

– Może tak być.

– Skoro wybroniłeś, to po co mnie szukałeś?

– Potrzebna mi jestteczka tego klienta.

– Jak oddam teczkę, co ze mną będzie?

– Odmienię twój los.

– Kłamiesz.

– Każdy człowiek ma w swoim życiu moment, kiedy może odwrócić swój los. Ale wtedy trzeba życie zaryzykować: życie to gra, albo pierś w krzyżach, albo głowa w krzakach.

– W Krzyżach, czyli w Pitrze? Mnie wystarczy Taganka z Butyrkami.

– Nie o tym mowa. Zaryzykuj. Zagraj o życie... Przegrasz. Uwierz mi... Zabiją ciebie. Albo może uwierzysz – wygrasz...

– A ty grałeś o własne życie?

– Tak.

– Dawno?

– Tydzień temu.

– I jak?

– Byłem w milicji. A teraz się wycofałem. Już cały tydzień cieszę się życiem.

Jej lewa ręka lekko dotknęła brody. Wszystko jasne. U kobiet ten gest jednoznacznie wskazuje na zamyślenie. U mężczyzn ten stan wygląda nieco inaczej: ręka delikatnie głaszcząc brodę.

– No dobra. Twojego klienta pochowano na Nowodzieviczym w trumnie z podwójnym dnem razem z jakimś komandarmem. A jego teczka jest tam pod kupą zgniłych desek. Zabieraj się stąd.

Żmijojad odwrócił się do sterty gruzu. Schylił się. Wtedy huknął strzał.

Światło w jego oczach zgasło nie od razu, a stopniowo. Jakby od niechcienia. Powoli.

Rozdział 7

1

Aleksiej Aleksiejewicz Kornitow, kierownik pociągu Moskwa-Władywostok, nie potrzebuje zbytków. Wszystko, co ma, mieści się w przedziale. Jego dom to droga. Wszystko, co ma, zabiera zawsze ze sobą. A kiedy skład jest na przeglądzie, ma zapewniony nocleg w domu kolejarza.

Ludowy komisarz transportu towarzysz Kaganowicz zapewnił brygadam kolejowym komfortowe warunki. Dom kolejarza to dawna kupiecka willa pod starymi lipami w cichym zakątku Moskwy: blisko do centrum, naokoło parki i cisza jak na daczce. Ciepły wieczór. Prawie noc. Pod koniec sierpnia wczesnie się ściemnia. W zaułku zanocował tylko jeden samochód przy krawężniku. Nic w tym dziwnego. Stoi i niech stoi. Chociaż w nocy tu raczej nikogo nie ma.

Minął Aleksiej Aleksiejewicz ten samochód, a serce drgnęło. Siedzi w nim tylko kierowca. Niby nic takiego. Ale siedzi zbyt wyprostowany. Obojętnie patrzy przed siebie. Nie odwraca głowy. Nie mruga. Zbyt poważny. Tak w ostatniej ławce nie najlepszy uczeń demonstruje wzorowe zachowanie, kiedy na lekcji gra w karty.

Aleksiej Aleksiejewicz idzie do głównego wejścia, zastanawia się. Jak wejdzie do środka, to już nie wyjdzie. Dlatego nie wchodzi. Powoli, jak na spacerze, idzie dalej. Przecież zdarzają się małe święta w duszy nawet kierownika pociągu. Nie może człowiek spać. Po nocnej Moskwie dla przyjemności spaceruje, jak najedzony kot, który cały dzień spał na piecu. Skręcił za róg, gwizdże melodyjkę. Zaułki te pamięta z dawnych lat. Za nowym zakrętem zerwał się. Biegnie, słyszy – biegną za nim, a wydawało się, że nikogo wokół nie ma. Za kolejnym zakrętem odwrócił się całym ciałem i tego, który wyleciał za nim, z impetem grzmotnął pięścią w pysk – trzask! Tamten pędził z całych sił. Więc dostał w szczękę i tylko mlasnął,

biegł dalej, ale już załamany torem, zwalniając i odwracając się na plecy.

Drugiego, zdyszanego, który wyskoczył zza rogu, Aleksiej Aleksiejewicz chwycił jak dziecko na ręce, uśmiechnął się do niego, złapał olbrzymią łapą głowę i chlastnął mordą o ceglany winkiel.

W czasach jego młodości nie było takich zwyczajów, żeby ludzie na arenie lali się po pyskach ku uciechu publiczności. W tamtych wspaniałych czasach na arenach cyrków zapaśnicy w uczciwym pojedynku mierzyli się bez mordobicia. W tamtych latach Aleksiej Aleksiejewicz był cyrkowym zapaśnikiem. Stamtąd po przewrocie październikowym wzięto go do kremlowskiej ochrony. Pracował sumiennie, służył uczciwie. Tylko po morderstwie towarzysza Swierdłowa postanowił powoli się wycofać z ochrony, udając, że jest chory. Bardzo łatwo tam, w słoiku z pajakami, tak po prostu za nic, zostać winnym. Ale wiele lat później los go i tutaj odnalazł. Ktoś kręci szemrane interesy, ktoś gdzieś zawinił, a szpicle na niego polują.

Kierownik pociągu Moskwa-Władywostok z biegiem lat nie stracił wprawy zapaśnika. Mógł sam wyrzucić chuliganów z pociągu, nie czekając na milicję. Nie lubił się bić. Nigdy się tego nie uczył. Ale gdy trzeba było komuś dać w mordę, to jakoś samo wychodziło.

Aleksiej Aleksiejewicz złapał za fraki jednego leżącego, potem drugiego. Chyba oddychają, ale jeszcze nie wracają do tego świata, lekko tylko przebiegają nogami. Wywrócił kieszenie: dwa rewolwery Nagant, dwa portfele z dokumentami. Wyrzął zza rogu – w oddali za zakrętem biegnie jeszcze jakieś pięć osób. Ta leżąca dwójka – pierwsza para patrolu. Reszta brygady trzymała się nieco w oddali.

Aleksiej Aleksiejewicz nie czekał. Podwórkami i zaułkami, przez ogrodzenia i dachy, zrywając pranie ze sznurków, rozrzucając sterty drewna, po drabinach i rynnach, przez znajome ulice i nieznane zaułki rzucił się w przestworza wielkiego miasta.

Złapał oddech, sprawdził kieszenie, znalazł kawałek papieru z numerem, wrzucił monetkę do automatu telefonicznego i spokojnie, z godnością

należną kierownikowi pociągu kurierskiego Moskwa-Władywostok, poprosił towarzysza Chołowanowa. Ten odebrał natychmiast, jakby przy telefonie siedział i czekał:

– Chołowanow.

– Towarzyszu Chołowanow, niepokoi was Ciech Ciechowicz. Spotkaliśmy się dzisiaj.

– Słucham, towarzyszu Korniłow.

Kierownik pociągu beznamiętnym głosem przypomniał:

– Mówiliście coś o jakiejś nowej pracy. A ja nie wysłuchałem do końca.

– Tak, Ciech Ciechowiczu. Mam propozycję. Jutro wytłumaczę. Spotkajmy się o tej samej porze w tym samym miejscu. Pasuje?

– Pasuje! Wspaniale. Jutro się spotkamy. W tym samym miejscu. Świetnie.

– Więc do jutra.

– Do jutra, towarzyszu Chołowanow! A nie moglibyście teraz podjechać na swoim motorze?

2

Każdy człowiek ma doskonałą pamięć. Tylko nie wszyscy potrafią z niej korzystać. Pamięć to jak inteligentny wóz, który każdy z nas dostał w prezencie przy narodzinach, ale nie każdy wie, jakie pedały i guziczki wciskać. W naszych szkołach, nie wiadomo dlaczego, nie uczy się, jak należy zapamiętywać, jak rozwijać pamięć, jak ją wykorzystywać. A przecież to powinien być najważniejszy przedmiot w szkole. Naucz się zapamiętywać, a dopiero potem ucz się całej reszty. Wtedy nauka ma sens.

Natura obdarzyła Gienricha Grigorjewicza Jagodę potężną i chwytną pamięcią. Ale darami natury on się nie zadowolił. Nie czekał na jej łaski. Wytrwale rozwijał i ćwiczył pamięć tak, jak bokserzy, zapaśnicy i ciężarowcy

ćwiczą swe ciała. Żelazny Gienrich opracował dla siebie system ćwiczeń rozwijających pamięć według czterech głównych umiejętności: szybkość zapamiętywania, dokładność, zakres przechowywanej informacji i długość jej przechowywania. Dla rozwoju każdej z tych umiejętności miał swoje metody. Oprócz tego kilka rozwiązań kompleksowych. Najprostsze z nich: kiedy zasypiał wieczorem, starał się przypomnieć sobie cały dzień, ale nie od rana do wieczora, a odwrotnie od wieczora do rana, ze wszystkimi szczegółami i detalami: położyłem się do łóżka i przykryłem się, a przedtem myłem zęby, a wcześniej... I tak do chwili przebudzenia. Metoda też jest dobra do tego, żeby zasnąć. Nie zdążył sobie przypomnieć, jaką wczoraj przeglądał książkę, a już pogrążył się w głębokim spokojnym śnie.

Był to system, w którym nie ma przegranej: albo słodko śpisz, jak pijany Cygan na białym obrusie, albo ćwiczysz pamięć, nie pomstując na bezsenność, a czując wdzięczność. Jeżeli cały dzień tyłem do przodu we wszystkich szczegółach już sobie przypominał, ale nie zasnął, przypominał sobie cały ubiegły rok. Też od końca, zaczynając od 31 grudnia.

Gienrich nie może spać. Przewraca się z jednego boku na drugi, odświeżył sobie ubiegły, 1935 rok. Jaki wspaniały to był rok. Jaki grudzień! A wcześniej – jaki listopad! W listopadzie pięciu najwyższym dowódcom Armii Czerwonej nadano stopnie wojskowe marszałków Związku Radzieckiego. Oprócz tego jednemu czekaście, a ściślej, jemu, Nieugiętemu Gienrichowi, nadano stopień generalnego komisarza bezpieczeństwa państwowego. Marszałkom ofiarowano duże gwiazdy na czerwone naszywki, Gienrichowi – na niebieskie.

A wszystko zaczęło się dużo wcześniej. We wrześniu Prezydium Rady Najwyższej w rozporządzeniu przywróciło stopnie wojskowe w Armii Czerwonej i specjalne stopnie NKWD, których nie było przedtem. Wcześniej wszyscy wojskowi i czekistowscy dowódcy byli po prostu towarzyszami dowódcami.

Rozporządzenie nie pojawiło się samo z siebie. Poprzedziło je spotkanie Gienricha z towarzyszami Woroszyłowem, Budionnym i Tuchaczewskim 13

kwietnia tegoż roku, tu na dacy ludowego komisarza spraw wewnętrznych w Kommunarce.

Gienrich zaprosił czerwonych dowódców w celu omówienia kwestii szczególnej wagi: poprawienia dyscypliny w armii. Macie w Armii Czerwonej sporo ludzi, ja w NKWD też mam nie mniej: samych tylko pograniczników jest cała armia, a do tego dochodzi łączność rządowa, ochrona obozów i więzień, obiekty państwowego znaczenia trzeba pilnie chronić i mężnie bronić. A tych obiektów jest mnóstwo – od mostów, tuneli i siłowni elektrycznych do ambasad zagranicznych i samego Kremla. Mamy wspólne problemy, więc i rozwiążmy je wspólnie.

Żelazny Gienrich ugościł wojskowych dowódców, jak to w NKWD potrafią. Omówili, co mieli, nakreślili wytyczne, a już pod sam koniec Gienrich mimochodem rzucił, że brakuje dyscypliny, bo nie ma subordynacji, a subordynacji nie ma, ponieważ nie ma stopni wojskowych. I zamilkł.

Oj, trafił w dziesiątkę! Stopnie wojskowe zniosła rewolucja, czyniąc wszystkich towarzyszami. A bez stopni jaka może być, u diabła, dyscyplina? Jaka, u diabła, subordynacja? Jakie podporządkowanie?

Gdyby obok czterech facetów siedziała stenografistka, to bez wątplenia odnotowałaby poruszenie na sali. Ale stenografistki nie było w tej historycznej chwili na dacy NKWD. Dlatego uwierzcie mi na słowo: było poruszenie i była masa pytań.

Woroszyłow: To jak, wracamy do złotych szlifów i generalskich stopni?

Tuchaczewski: A lud zrozumie?

Budionny: I towarzysz Stalin?

I dalej we trójkę jeden przez drugiego: Wprowadzamy podoficerów? To powrót do przekłętego caryzmu, który z powodzeniem pokonaliśmy. A razem z podoficerami wprowadzimy chorążych, podporuczników i poruczników? Kapitanów sztabowych, podpułkowników i pułkowników? I będą u nas generałowie? Jak przekłęci Dienikin i Judienicz! I admirałowie?

Jak przebrzydły Kołczak?

Przebiegły Gienrich przygotował wcześniej wszystkie odpowiedzi: Nie będziemy mieli podoficerów! Będą sierżanci. Nie będzie chorążych i poruczników! Będą lejtnanci – młodszy i starsi!

A oni, przerywając sobie nawzajem: Jak to, lejtnanci? Lejtnant to marynarka. Będziemy mieć w piechocie i kawalerii marynarskie stopnie?

Dlaczego nie? – broni się Gienrich. – Żeby tylko nie przypominały starych kontrrewolucyjnych stopni.

Nad lejtnantem – kapitan. Nic w tym stopniu strasznego. Dlaczego nie? Przecież jest kapitan statku. Jest kapitan drużyny piłkarskiej. Dalej – major. Był w Rosji dawno temu taki stopień. Później go zniesiono. W armii cara Mikołaszki Krwawego nie było takiego stopnia i biali go nie mieli. A my go wprowadzimy. Obejdziemy się bez podpułkownika. Wyżej od majora – pułkownik. Co w tym złego? Mamy pułki, niech będą i pułkownicy. Ale generałów nie będzie. Generał i admirał to krwawe psy kontrrewolucji. Będą dowódcy brygad, dywizji, korpusów, armii. Wymyślimy ładne mundury, ale na razie bez lampasów i złotych szlifów. Nie wszystko naraz. To przeforsujemy później.

Powiedział to Przebiegły Gienrich i znowu zamilkł.

Dzwoniąca cisza nakryła werandę. Tuchaczewskiemu oczy płoną jak gwiazdy niebieskie, ale milczy. A towarzysz Woroszyłow nie wytrzymał: A ja kim będę? I w tej chwili się poprawił: A kim my będziemy?

Gienrich tylko czekał na takie pytanie. Miał miażdżącą odpowiedź: Będziecie feldmarszałkami! W czasie trzech rosyjskich rewolucji u Mikołaszki nie było feldmarszałków. I biali ich nie mieli, więc dlaczego nie...

I znowu milczenie swym skrzydłem otuliło czterech mędrców.

Stalin nie pozwoli. Lud nie zrozumie. W feldmarszałku jest mimo wszystko podejrzane niemieckie brzmienie.

Zgoda, dobrze, będziecie marszałkami. Marszałkami Związku

Radzieckiego!

Doskonale. Wszyscy się zgadzają? Nie ma sprzeciwów? Tylko jak tę tak ważną propozycję przeforsować przez kamienną górę o imieniu Stalin?

Ale i o tym Mądry Gienrich pomyślał: Oddolna inicjatywa! Trwa narada dowództwa gdzieś na Dalekim Wschodzie, wstaje dowódca pułku (tylko bardzo dobrego, wzorcowego pułku) i rzuca propozycję... Później na podobnej naradzie na kole podbiegunowym dowódca przodującej dywizji wypowiada opinię. Potem ktoś w Sztabie Generalnym... Niezależnie od siebie. Czy możecie, towarzysze, zorganizować oddolną inicjatywę? Możecie. A sami trzymajcie się z boku od tej sprawy, niby to macie wątpliwości, wahacie się... A ja po linii NKWD zorganizuję oddolną inicjatywę... W Komitecie Centralnym pracę przeprowadzimy delikatnie...

– Zgoda – powiedział Budionny, podkreślając wąsiska. – A co od nas, Gienrichu Grigorjewiczu, chcesz zyskać w zamian?

– Nic nie chcę zyskać. Wzmacniam dyscyplinę w armii.

– Z dyscypliną jasne. Poprzesz nas w tym słusznym poczynaniu, my ci pomożemy w twoich działaniach. Jakiego stopnia wymyśliłeś swoim chłopcom?

– Najwyższe dowództwo – komisarze ludowi bezpieczeństwa państwowego 1, 2 i 3 rangi.

– Zgoda. A sam jaki będziesz miał stopień? Marszałek NKWD, czy jak?

– Wystarczyłby mi generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego.

I na tym stanęło...

3

Luśka bije Żmijojada po policzkach: Ocknij się, piesku.

Ocknął się. Rozejrzył, zastanawiając się, gdzie jest.

– Przecież żartowałam. Jeszcze raz strzeliłam. Znowu obok.

Luśka Serojadka nie wiedziała, ile przeszedł Żmijojad w ostatnich dniach: nagłe skierowanie do specgrupy porządkowej więzienia lefortowskiego, spotkanie z Jagodą, gorączkowa praca bez snu na jego dacz, list do Stalina i spotkanie z nim. Nie wiedziała, gdzie pracuje Żmijojad, nie mogła sobie wyobrazić, za co płacą szalone pieniądze nie tylko wykonawcom z Lefortowa, ale nawet ich pomocnikom. A płacą im za ukochaną, uwielbianą, ale mimo wszystko bardzo, ale to bardzo ciężką i nerwową pracę.

Napięcie tych dni skumulowało się w wielką ciężką kulę i nagły strzał za plecami w chwili, kiedy nie powinno go być, stał się tym słabym dźwiękiem, które zrywa tysiąctonowe lawiny ze skał. Padł strzał i Żmijojad stracił przytomność. Omdlenie było głębokie i długotrwałe. Omdlenie to jak ciężki sen, ale bez snów. Słyszał jakieś szmery naokoło, nie czując swojego ciała.

Otworzył oczy. Długo spoglądał na zapadnięty sufit i pochyloną nad nim twarz. Następnie, prawą ręką łapiąc za kark, zbliżył tę twarz do siebie.

– Ludmiło Pawłowna, Ludmiłoczka, Luśka, można na tobie polegać?

– Można – odpowiedziała zupełnie cicho.

4

Lokomotywa IS dostarczyła wagon więzienny na Dworzec Kijowski w Moskwie i odstawiła go na ślepy tor. Długa limuzyna podjechała pod same drzwi wagonu. Aresztowaną Strzelecką wepchnięto na tylne siedzenie między dwie nadzorcynie. Ręce w kajdankach, na głowę narzucono brezentowy płaszcz. I gdzieś wiozą. Bardzo szybko.

Jechali dziesięć czy piętnaście minut. Ale być może i nie. Gdy nie widzisz, co się dzieje wokół, to percepcja, w tym również czasu, zostaje zachwiana.

Potem długo stali. Zapewne przed wartownią. Później znowu jechali. Ale całkiem krótko. Zatrzymali się. Trzasnęły drzwiczki. Dwie baby pod rękę wyprowadziły Nastię. Ona nadal nic nie widzi. Ostrożnie weszły po schodach na ganek. Stopnie, ustaliła Nastia, są wyraźnie z kamienia. Razem

osiem. Poszły prosto, skręciły. Ostrożnie gdzieś zeszyły. Nastia naliczyła 24 stopnie. Jeszcze do przodu, na lewo. Trzasnęły drzwi. Z jej głowy zdarto płaszcz i popchnięto ją do przodu. Drzwi skrzypnęły, zatrzasnęły się, szczęknięły rygle, trzasnęły zamki.

Rozejrzała się.

Więzienną celę wyobrażała sobie zupełnie inaczej. Tu jest duży pokój o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych. Sufit kamienny sklepiony, jak w kremlowskich komnatach. Jedno okno. Zdecydowanie typu więziennego. Bardzo wysoko pod sufitem. Dawna krata, kuta, ładny rzeźbiony wzór. Grubość ścian niesamowita – z półtora metra, a może i dwa. Okno niby głęboki pochyły tunel, który ktoś wyciął pod samym sklepieniem, przedzierając się do przodu i góry do światła. Ale nie ma światła w oknie – krata, za nią matowa szyba, za szybą zarys jeszcze jednej kraty. Drzwi żelazne, kute, masywne, wpuszczone w ścianę. Tej wewnętrznej ściany też nie można opisać bez zachwytu. Otwór drzwi – coś w rodzaju małego tunelu w niezniszczalnych granitowych blokach. Co ciekawe, w drzwiach nie ma judasza do podglądania więźniów. Dlaczego? Podłoga z klepki, lśniąca. Żołnierska metalowa prycza przy ścianie. Stół zupełnie malutki, wbudowany w ścianę. Taboret przykręcony do podłogi. W prawym rogu od wejścia za parawanem – toaleta. Nie ma nieprzyjemnych zapachów. Wszystko czyste. Za oknem noc. Pod wysokim sufitem – jedna żarówka, ale nie ma wyłącznika. Z pewnością jest tam, w korytarzu. Światła widocznie nie wyłącza się na noc. Ale światło nie oślepia. I cisza.

Nastia usiadła na brzegu łóżka, zamyśliła się: Gdzie ją przywiało?

5

Mieszkanie konspiracyjne Chołowanowa jest ruchome, a ściślej – pływające. W Chimkach przy wznoszonym Północnym Dworcu Rzecznym stolicy wśród dużych parostatków, dźwigów pływających, bagrownic, holowników i barek przyczał się zupełnie nieduży, niepozorny, umorusany

stateczek spacerowy związku zawodowego pracowników Naczsprembudu. Na statku – kapitan, mechanik i jeden marynarz. Na pozór statek to nic szczególnego, ale w środku jest przytulnie.

Właśnie tu Chołowanow przywiózł kierownika pociągu Moskwa-Władywostok: Ciech Ciechowiczu, twoja kabina, prysznic, ubrania do wyboru. Ale na początek wszystko opowiedz.

Co opowiadać?

Kierownik pociągu Moskwa-Władywostok wyłożył na stół zawartość kieszeni: dwa rewolwery, dwa portfele. Chołowanow otworzył legitymacje. Pierwsza – GUGB NKWD ZSRR i druga – GUGB NKWD ZSRR.

– Więc tak, Ciech Ciechowiczu. Nie milicja cię ściagała, nie wydział kryminalny, a bezpieczeństwa.

– Jestem skończony.

– To jeszcze zobaczymy. Polej i przejdźmy na ty.

Wypili. Chołowanow przedstawił sytuację: kapitan, mechanik i marynarz są uzbrojeni. Mają karabin ręczny DP – *Diegtiarow Piechotnyj* – trzy strzelby, zapas naboju i granatów. Sam Chołowanow ma pistolet Lahti. Sterownia od wewnątrz do poziomu okien została wyłożona płytami pancernymi. Jedna kabina za sterownią to duża opancerzona skrzynia. Nie tylko ściany są osłonięte pancerzem, ale jeszcze podłoga i sufit. Z tej kabiny prowadzą wyjścia do sterowni, do maszynowni i do ładowni. W opancerzonej skrzynce – otwory strzelnicze do prowadzenia ognia okrężnego. Z zewnątrz ich nie widać. Udają wentylację. Na wypadek zbrojnego ataku ta kabina jest punktem zbiórki i obrony. Bronić się jest czym. Ale zbrojny atak nie jest największym zagrożeniem. Żeby zaatakować, najpierw trzeba to miejsce znaleźć. Nie jest to łatwe. Konspiracja. Są jednak większe problemy. Załoga nie jest wtajemniczona w nasze sprawy. W przypadku ataku załoga tylko pomoże się obronić albo wycofać. Nam dwóm grozi coś znacznie bardziej poważnego. Naszym wrogiem jest Jagoda. Kradnie złoto na Kołymie, przez przypadek dowiedzieliśmy się o

jego tajemnicy. Nie pozwoli nam żyć.

– Nie znałem jego tajemnic. I nie chcę znać.

– A co komu do tego? Najlepszy wagon w pociągu – szósty. Tam jest dwóch konduktorów i sam kierownik pociągu. W tym wagonie kurierzy wieźli swój ładunek. Tu masz komfort i większe bezpieczeństwo. Póki wszystko szło gładko, nikomu, Ciech Ciechowicz, nie przeszkadzałeś. Ale zniknął jeden kurier, cała afera może zostać ujawniona, więc Jagoda sprząta wszystkich, którzy mogli choćby cokolwiek wiedzieć. Mogli wiedzieć konduktorzy. Ich już nie ma. Jesteś następny w kolejce.

– No to problem.

– Przypuszczam, że w jednym przedziale jechało trzech facetów z czterema biletami. Czy tak?

– Tak. Zwróciłem na nich uwagę. Zakup dodatkowego biletu z Władywostoku do Moskwy to drogi luksus. Zwykłego radzieckiego człowieka na to nie stać. I to w szóstym wagonie!

– No właśnie. Dwóch wysiadło w Jarosławlu. Z bardzo ciężkimi walizkami. Tak?

– Dokładnie tak było. Gryfie, skąd ty to wszystko wiesz?

– Jeden bystry chłopak mi podpowiedział. A trzeci pasażer przyjechał do Moskwy. Bez bagażu. Tylko z teczką.

– Dokładnie.

– Dobrze by było zdobyć tę teczuszkę!

6

Generalnemu komisarzowi bezpieczeństwa państwowego nie jest do śmiechu. Wezwał sekretarza NKWD Pawła Pietrowicza Bułanowa:

– Teczkę mają złodzieje, mogą ją sprzedać.

– Niewykluczone, że ostatecznie ta teczka może trafić do samego

Dupalina.

– Co zrobimy?

– Musicie, Gienrichu Grigorjewiczu, pójść do Dupalina, uprzedzić uderzenie. Powiecie, że ktoś wrabia kierownictwo NKWD, opowiada bajki, urządza prowokacje.

– Racja. Pójdę. A co ze Żmijojadem?

– Dziewczynę, którą rozpoznał, już przywieźli.

7

– Gryfie, wytłumacz mi: skoro przeciwko mnie działa bezpieka, skoro sam Jagoda jest moim śmiertelnym wrogiem, to dlaczego u ciebie mam szukać ochrony? Czy nie lepiej pójść do lasu? Albo do recydywy, zapuszczając brodę? Albo przez granicę zwiąć. Coś ty za jeden? Jak możesz mnie obronić? Nie boisz się bezpieki? Postanowiłeś zmierzyć się z samym Jagodą? I co to za służba z karabinem DP?

– Od samego początku ci tłumaczyć?

– Od samego, nie inaczej.

– Obalono stary ustrój, zniszczono albo wyrzucono z kraju szlachtę, kupców, dyplomatów, ministrów, oficerów, generałów, admirałów, policjantów, inżynierów, dziennikarzy, właścicieli fabryk, kopalni, gazet, parowców, kolei – wszystkich, którzy zarządzali. Powstała przerażająca pustka. Do tej pustki rzucili się łajdacy i łotry różnego autoramentu, rzucili się zarządzać i dowodzić. Mamy jedną partię. Jest u władzy. Żadnych innych nie ma i nie będzie. To jasne, że szubrawcy, kombinatorzy i cwaniacy wszelkich maści i odcieni rzucili się do tej partii. Towarzysz Stalin oczyszcza partię, wyrzuca z niej cwaniaków, wichrzycieli i ciemnych typków. Ale oni wciąż leżą. Wyrzuconych z partii jest już półtora miliona. To drobna swołocz, która nagle wskoczyła na szczyty, ale bardzo szybko stamtąd została usunięta. Do niedawna to były szychy od brygadzystów do

komisarzy ludowych, aż tu nagle stracili pracę. To trockistowsko-leninowska swołocz. To cała klasa niezadowolonych. To dynamit. I może wybuchnąć. Ale nawet to nie jest najważniejsze. W samej partii są całe tabuny nicponi, cwaniaczków i sukinsynów. Jeszcze ich nie wywalono, ale wiedzą, co ich czeka. Ostatni, 17 zjazd partii odbył się w lutym 1934 roku. Nazwano go Zjazdem Zwycięzców. Robotnicy i chłopi przysłali zjazdowi setki prezentów, w tym pierwszy radziecki trolejbus. Tulscy rusznikarze dali w prezencie towarzyszowi Stalinowi karabin snajperski z celownikiem optycznym. Towarzysz Stalin z prezydium oglądał delegatów przez celownik snajperski. Zjazd burzliwie się śmiał. Ale nie do żartów było towarzyszowi Stalinowi i delegatom. Towarzysz Stalin ma zbyt wielu wrogów. Przeciwno niemu jest cała tak zwana „leninowska gwardia” – prawie całe kierownictwo partii. Przeciwno niemu jest wielu w dowództwie Armii Czerwonej. Przeciwno niemu – kierownictwo NKWD. Stalina jeszcze nie zjedzono tylko dlatego, że te trzy siły są ze sobą skłócone. A wewnątrz tych sił toczy się walka koterii. Poza tym na czele NKWD stoi Jagoda. Prowadzi swoją linię, ale jest ona pożyteczna dla Stalina. Tydzień temu zakończył się proces Zinowiewa, Kamieniewa, Smirnowa i innych. To wrogowie Stalina. Zostali zniszczeni. Proces przygotował Jagoda. Przygotowuje nowe procesy przeciwko byłym członkom Biura Politycznego, Bucharinowi, Rykowowi, Piatakowowi i innym. Stalin nie chce mu przeszkadzać.

– A jaka jest w tym twoja rola?

– Ponad aparatem państwowym towarzysz Stalin potajemnie buduje aparat swojej własnej władzy, z własną armią, dyplomacją, policją, statystyką, systemami kontroli, transportem, łącznością. Ten statek należy do osobistej floty Stalina.

– A ty, Gryfie, kim jesteś w tym aparacie?

– Kimś w rodzaju szefa wywiadu.

– No a...?

– A tobie proponuję stanowisko kierownika bardzo ważnego pociągu i

jedyne w tym pociągu konduktora.

– Trasa?

– Od Moskwy po najdalsze krańce. Od południowych gór do mór
północy. Skład jest zakamuflowany jako remontowy, w rzeczywistości –
kurierski. Lokomotywa – najpotężniejsza w kraju. Pasuje?

– Pasuje. A bezpieka?

– Ukryjemy cię przed nimi.

Rozdział 8

1

- Dzień dobry, towarzyszu Stalin!
- Dzień dobry, towarzyszu Jagoda.
 - Towarzyszu Stalin, operacja zlikwidowania wrogów ludu Zinowiewa, Kamieniewa, Smirnowa i całej ich szajki została zakończona powodzeniem.
 - Gratuluję, towarzyszu Jagoda. Proszę o pilne przedstawienie listy szczególnie wyróżniających się śledczych oraz wszystkich, którzy przyczynili się do rozplątania tego kłębowiska węży. Nie zapomnijcie o wykonawcach wyroku i ich pomocnikach. Ci ludzie stawiają ostatnią kropkę w każdym przedsięwzięciu. O nich trzeba szczególnie zadbać. Wszystkich uczestników tego wielkiego przedsięwzięcia odznaczmy orderami, wysokimi stanowiskami i stopniami, nagrodami pieniężnymi, mieszkaniami, skierowaniami do kurortów i sanatoriów.
 - Jutro listy zostaną dostarczone.
 - A co wy, towarzyszu Jagoda, chcielibyście otrzymać w nagrodę za błyskotliwie przeprowadzoną operację?
 - Niczego nie potrzebuję, towarzyszu Stalin. Walczę z wrogami ludu. Na tym polega moje szczęście. To jest moja nagroda. Teraz przyszła kolej na byłego kandydata na członka Biura Politycznego Sokolnikowa i byłego członka KC Radka. Dobierzemy się do Bucharina, Rykowa, Kriestinskiego, Rakowskiego.
 - Dobrze, towarzyszu Jagoda, bardzo dobrze.
 - Towarzyszu Stalin, co robić z Piatakowem?
 - Jakiś problem?
 - Jest problem, bo członek Komitetu Centralnego, pierwszy zastępca

ludowego komisarza przemysłu ciężkiego Piatakow przesadził. Podczas przygotowań do procesu Zinowiewa, Kamieniewa, Smirnowa i innych Piatakow publicznie żądał dla nich najwyższej kary za przestępstwo kryminalne, ogłosił, że gotów jest ich wszystkich rozstrzelać.

– Bardzo dobrze zrobił!

– Tak, ale...

– Co za ale?

– Oskarżeni Zinowiew, Kamieniew i Smirnow obrazili się na Piatakowa i ogłosili, że i Piatakow, i jego żona też są członkami ich bandy. Miesiąc temu aresztowaliśmy żonę Piatakowa. Do wszystkiego się przyznała.

– A sam Piatakow?

– Piatakow oświadczył, że jest gotów osobiście rozstrzelać własną żonę razem z resztą wrogów.

Towarzysz Stalin wymierzył dwadzieścia kroków wzdłuż gabinetu. Zawrócił, zapalił fajkę. Długo milczał. Wrócił na swoje miejsce.

– Gotów jest rozstrzelać wrogów. Ale wrogowie uznali go za swojego. Aresztujcie go, towarzyszu Jagoda, uzyskajcie przyznanie się do winy i wyprowadźcie jako oskarżonego na następnym procesie. Gdzie jest teraz?

– Wypoczywa w Jałcie w sanatorium Rady Komisarzy Ludowych.

– Ale żona jest w więzieniu. A on?

– Daliśmy mu dziewczynę do uciech.

– Dobrze. Niech wypoczywa. Kiedy wraca?

– 23 września.

– Aresztujcie go w wagonie w chwili przybycia pociągu do Moskwy. Zablockujecie korytarz tragarzami. Wszystkich wypuścicie z wagonu, a jego zatrzymacie. Kiedy wagon będzie pusty, okażecie nakaz.

– Zrozumiałem. Pozwolicie osobiście pojawić się z przedziału obok?

Roześmiał się towarzysz Stalin bezgłośnie: Pozwalam!

Stalin lubił żarty. Doceniał żarty podwładnych. Sam był wielkim kawalarzem. Mały żart, a energii dodaje!

– Wracamy do pytania o waszą nagrodę. Czego chcecie?

– Towarzyszu Stalin, powtarzam: nic nie trzeba.

– A jeżeli po naradzie z towarzyszami zrobimy was członkiem Biura Politycznego?

– To wielki honor, towarzyszu Stalin. Chyba nie jestem godzien.

– Jesteście. Przygotujcie się. Najpierw dla zachowania procedury – kandydatem na członka Biura Politycznego, a za pół roku – pełnoprawnym członkiem!

– Można w osobistej sprawie, towarzyszu Stalin?

– Można.

– Towarzyszu Stalin, mam wielu wrogów. Boją się mnie, wielu aż się pali, żeby mi zaszkodzić. Przeciwno mnie plotą intrygi, rozpuszczają plotki, urządzają prowokacje...

– Towarzyszu Jagoda, to nie jest sprawa osobista. To jest kwestia ogromnej wagi państwowej. Wykonujecie zadanie, którego nie potrafią wykonać inni. Nie damy was skrzywdzić. Nie będziemy wierzyć plotkom. Odrzucimy oszczerstwa. Rozstrzelamy oszczerców. Idźcie i spokojnie pracujcie. Życzę powodzenia.

2

Żmijojad nawiązał łączność: Towarzyszu Chołowanow, zabierz z Kitajgorodu. Tylko nie jestem sam, jest nas dwójka.

Proste. Nie może sam jechać motorem, trzeba do kogoś zadzwonić, wysłać samochód.

Żmijojad przywiózł ze sobą kobietę. Przedstawił: Ludmiła Pawłowna, dla swoich – Luśka.

Jest wolna kabina i dla Luśki. Tylko brakuje kobiecych ubrań. Nie są potrzebne, skoro jest na chłopczycę obcięta. Na razie lepiej niech będzie chłopakiem. Bluza marynarska. Co prawda trochę przyduża. Kurtka. Podkasać rękawy. I nogawki. Zuch dziewczyna. Teraz do stołu. Częstuj, kapitanie.

Przy stole czwórka: Gryf, Ciech Ciechowicz, Żmijojad i Luśka Serojadka.

Poczęstunek skromny: tuzin butelek piwa w wiadrze z lodem, pajda czarnego chleba, wiązka suszonych ryb, żelazna miska ogórków i pomidorów, półmetrowe pęto twardej kiełbasy. Takim pętem można wbijać gwoździe w ścianę, można rozpędzić manifestację w Dniu Niezgody. Nieważne, że u nas teraz wszyscy są zgodni.

Jutro będzie zupa z fasolą i smażone ziemniaki. A dzisiaj wybaczenie – suchy prowiant. Nie spodziewano się gości.

Goście spojrzeli po sobie: I tak ujdzie. I nagle przypomnieli sobie wszyscy, że nic dziś nie jedli. Rzucili się. Kiełbasę zjedli do samego ogonka. No i piwem nieco się raczyli.

Teraz do roboty.

– Co u ciebie, Żmijojad?

– Ano Ludmiła Pawłowna znalazła jakąś teczkę. Być może coś ciekawego. Tu coś na temat wydobywania jakiegoś metalu na Kołymie. Dokładnie jakiego, nie powiedziano. Nie wiem, jaki tam metal się wydobywa.

– Zobaczymy. A gdzie znalazła?

– A tak poniewierła się w śmieciach.

– Dobra. Otwieraj.

Żmijojad pstryknął zatrząskami, wyrzucił zawartość na stół: papiery, papiery, papiery. W papierach – liczby, liczby, liczby. Jeżeli teczka jest z Kołymy, to liczby mogą oznaczać wydatki, koszty, wydobywanie. Posiedzieć, pogłównkować, zastanowić się i można się połapać. Damy radę.

– Co u ciebie, Ludmiło Pawłowna?

- Na razie nic.
- A potem?
- A potem zobaczymy.

3

Pole Chodyńskie jest zupełnie niedaleko od Kremla. Na Chodynce – Centralne Lotnisko Moskwy. Jak wynika z nazwy, Centralne Lotnisko znajduje się prawie w centrum stolicy naszej wielkiej Ojczyzny i całego światowego proletariatu. Dookoła – zakłady lotnicze i biura konstrukcyjne.

Dziś na Chodynce nie tylko samoloty, ale też szybowce, czołgi, działa, samochody opancerzone, karabiny maszynowe, spadochrony, sprzęt inżynieryjny, działa morskie, miny, torpedy, środki łączności i ostrzegania, przyrządy kierowania ogniem, wzory mundurów dla rejonów upalnych i dla kręgu polarnego, pociski przeciwbetonowe, siatki maskujące, optyka, środki przeprawowe, balony zaporowe, reflektory przeciwlotnicze, ciągniki artyleryjskie, miotacze ognia itd., itp. Dziś jest pokaz najnowszego sprzętu bojowego. Pokaz dla Stalina.

Pokazują nie tylko to, co jest, ale i co będzie.

Niewidzialny samolot! Stworzony prawie całkowicie z przeźroczystych materiałów. Widoczni pozostają tylko pilot, silnik, śmigło i karabiny maszynowe, ale i je zasłonimy lustrami.

Projekt superciężkiego czołgu przełamania. 300 ton! Składał się z trzech sekcji, z których każda może poruszać się samodzielnie.

Wiatrakowiec! Samolot z olbrzymim poziomym śmigłem. Może wznieść się do góry prawie pionowo. Nie potrzebuje lotnisk.

A tu jest to, co już istnieje i walczy.

Nasłuchownik ZUR-4 wykrywa samoloty wroga jeszcze za horyzontem!

Latający lotniskowiec. Olbrzymi bombowiec TB-3, pod skrzydłami

zawieszono dwa myśliwce I-16. Każdy myśliwiec ma po dwie 250-kilogramowe bomby. Bombowiec, operując nad morzem, nad słabo zaludnionymi terenami albo w nocy przed świtem, dostarcza myśliwce na olbrzymie odległości, zrzuca je i wraca. Myśliwce podczas ostrego nurkowania nagle pojawiają się z maksymalnej wysokości i prowadzą punktowe bombardowania szczególnie ważnych celów. Starczy im paliwa na powrót, prawie go nie zużywały na lot do celu.

Jeszcze jeden TB-3 z zawieszonym czołgiem-amfibią T-37. Czołg dostarcza się na tyły nieprzyjaciela, z bardzo małej wysokości zrzuca się do jeziora. A dalej radzi sobie sam. Dywersantom i desantowi nawet z najłżejszym czołgiem jest raźniej niż bez niego. A prowadzą operację przeciwko ważnym, ale słabo osłoniętym celom. Jaką ochronę mają elektrownie, ropociągi, linie przesyłowe, mosty i rozjazdy kolejowe na głębokich tyłach nieprzyjaciela? A gdyby to wszystko osłonić, to ile dywizji trzeba wycofać z frontu?

Gwóźdź programu – przyjęty do uzbrojenia w zeszłym, 1935 roku szybki czołg BT-7. Ma jeszcze nitowaną cylindryczną wieżę. Ale już pracuje się nad nową, spawaną, stożkową. Ten czołg ma najpotężniejszy na świecie silnik pancerny – 500 koni mechanicznych! Pozbywszy się gąsienic, może na szosach rozwijać olbrzymią prędkość. Szkoda, że nie mamy autostrad. Ale za to mamy pas startowy Centralnego Lotniska! Mamy gdzie zademonstrować potencjał.

Czołg zamarł na starcie. Zamarło lotnisko. Ryknęła pancerna maszyna i zerwała się z miejsca, przeleciała cały pas startowy w kłębach spalin. Na tamtym końcu zuchwały kierowca zakręcił, nie hamując, tak że z dzikim piskiem zakręciło ten cud techniki burtą do przodu. Kierowca wyrównał czołg, poskromił jak dzikiego rumaka i znowu rozpędził prawie do prędkości samolotu. Koniec pasa startowego. Dzielny woj wcisnął hamulec, zamarły koła, ale czołg jak po lodzie jeszcze kawałek przeleciał, zostawiając na pasie startowym czarne ślady. Aż dym poszedł z gąsienic! Czołg zamarł u stóp towarzysza Stalina. Umorusany kierowca szeroko otworzył górne

włazy. Cały promienieje uśmiechem. Towarzysz Stalin – do niego. Ściska dłoń, obejmuje: Zuch! Zuch chłopak!

Teraz kolej na samoloty. Bombowiec dalekiego zasięgu. DB. Piękny, psia mać. Och, jaki piękny.

– Z tym zasięgiem dociągniemy do Berlina?

– Dociągniemy, towarzyszu Stalin!

– A do Ruhry?

– I do Ruhry, towarzyszu Stalin!

– Tylko maszynę trzeba przygotować do produkcji seryjnej. Do ładu. Chcemy testy jak najszybciej zakończyć.

– Zakończymy, towarzyszu Stalin!

– Ile zostało?

– Cztery miesiące, towarzyszu Stalin!

– A za miesiąc nie można?

– Nie można, towarzyszu Stalin.

– Dlaczego nie?

– Ograniczenia organizmu, towarzyszu Stalin. Oblatywacz pracuje pod nieludzkim obciążeniem. Każdy lot jest śmiertelnym ryzykiem. Nie wiesz, kiedy umrzesz. Lądujesz po trzech godzinach lotu – trzęsą się ręce, zęby szcękają. Gramolisz się z kabiny, padasz na trawę, nie trzymają nogi. Po locie trzy dni dochodzisz do siebie. Trzęsie w czasie lotu. Och, jak trzęsie. Silniki albo przy starcie odmówią posłuszeństwa, albo w powietrzu się palą. Pierwszą załogę oblatywaczy pochowaliśmy – w czasie lotu odpadło skrzydło.

– A gdyby się postarać, to, jeśli nie za miesiąc, może za dwa można skończyć?

– Nie, towarzyszu Stalin. To ponad ludzkie możliwości. Narodziny maszyny to jak narodziny człowieka. Przecież nie mówimy kobiecie: postaraj

się i ródź szybciej. Jeżeli się postara, co z tego wyjdzie? Wyskrobka, jasne, można wyprodukować. Albo martwą maszynę...

– Dobrze, nie za dwa miesiące, a za trzy można zakończyć testy?

– To nie od nas zależy, towarzyszu Stalin. Jak byś nie próbował, przez przepaść nie przeskoczysz. Nie dała natura takich możliwości człowiekowi.

– Dobrze – powiedział towarzysz Stalin. – Dobrze.

I nagle zmienił temat:

– Ile pilot dostaje za pełny cykl testów?

– Dwadzieścia pięć tysięcy, towarzyszu Stalin.

Towarzysz Stalin nic na to nie odpowiedział, tylko pokręcił brodą, wyrażając prostą myśl: Oho!

I oblatywacze nic nie powiedzieli, okazując całym swym wyglądem ubolewanie: Nie marnujemy państwowych pieniędzy, przed trzydziestką siwi są wszyscy, a ilu naszych braci-oblatywaczy odchodzi z powodu kalectwa, ilu na wieki do łóżek jest przykutych, ilu z nas straszy dziewczyny spalonymi mordami, doprowadza dzieci do płaczu, a jeszcze więcej spoczywa na cmentarzach.

– Dobrze – powtórzył towarzysz Stalin. Ucisnął dłonie, życzył powodzenia i udał się do transportowo-desantowego szybowca konstruktora Gorochowskiego.

I nagle się odwrócił:

– A gdyby za pełny cykl testów zapłacić po sto tysięcy?

– Ha! – powiedzieli chórem oblatywacze. – Ha! Za sto tysięcy my to, towarzyszu Stalin, w trzy tygodnie zrobimy!

– Nie trzeba w trzy. Naradźcie się. Za miesiąc zrobicie?

– Nie musimy się naradzać, towarzyszu Stalin! Trzy tygodnie! Słowo komunisty!

Towarzysz Stalin poweselał, odwracając się od bombowca. Tu, korzystając z momentu, zza ramienia zmaterializował się Chołowanow:

– Na Jagodę mamy poważny materiał. Kradnie złoto na Kołymie.

Pomilczał Stalin, patrząc w ziemię, odwrócił się do Chołowanowa i odpowiedział tak cicho, żeby nawet pozahoryzontalny nasłuchiwaniec nie mógł dosłyszeć:

– Nie ruszać Jagody. Nie wierzyć pogłoskom i plotkom.

Stalin odczekał chwilę:

– Czy mam to powtórzyć, towarzyszu Chołowanow? Powtórzę: zaniechać jakichkolwiek działań przeciwko Jagodzie.

5

Gienrich Grigorjewicz Jagoda też dziś uczestniczy w pokazie. W innym. W pokazie na dacy NKWD w Kommunarce. Projektanci zdają relację. Nowe mundury dla dowództwa NKWD! Rysunki naturalnej wielkości powieszono na ścianach. Mundury robocze, polowe, galowe, wyjściowe. Zimowe i letnie.

Ale są tu nie tylko obrazki. Są też gotowe modele. Ubrano żołnierzy w bluzy, mundury, płaszcze. Prężą się jak grenadierzy Katarzyny na placu. Jedno – rysunek, co innego – żywy człowiek. Zrzędzi Żelazny Gienrich. Ogląda uważnie każdy model, dotyka ręką, sprawdza detale, naradza się z fachowcami.

Bluzy – białe z niebieskimi wypustkami. I niebieskie z malinowymi. Jest popielaty kolor z purpurowym wykończeniem. Mundury w odcieniu szarostalowym i jeszcze jakimś, którego żadne słowa nie mogą opisać, poza tym koloru morskiego. Jeden absolutnie wspaniały: czarny z białymi wypustkami. I taka sama czapka. Czapek niebywały wybór: biały otok – malinowa góra, bordowy otok – niebieska góra. Wszystkich nie spamiętasz. Wybieraj, Gienrichu Grigorjewiczu! Oczy ci się rozbiegają? Właśnie!

Dla więziennych dozorców – jedno, dla oddziałów konwojowych – co

innego, dla ochrony obozów – coś trzeciego, dla ochrony pogranicza – jeszcze coś innego. Dla pograniczników czarny aksamitny otok na czapkę i zielona góra.

Bezpieczeństwo państwowe, każdy rozumie, szczególna sprawa. To najwyższa kasta. A w niej – najwyżsi kapłani bezpieczeństwa. Oto niezwykle mundury dla najwyższego dowództwa. Dla komisarzy bezpieczeństwa państwowego. Ma ich Żelazny Gienrich w całym Związku Radzieckim 41 osób: 20 komisarzy 3 rangi, 13 – 2 rangi, 7 – 1 rangi. Nad nimi – generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego towarzysz Jagoda.

Komisarze bezpieczeństwa to ludzie z mądrymi, trochę zmęczonymi oczyma. Chronią kraj przed wrogami. Ci ludzie cieszą się wyjątkowym szacunkiem, mają szczególne mundury: biały z najcieńszej wełny mundur na niebieskiej jedwabnej podszewce, niebieskie spodnie z niebieskimi kantami, lakierowane buty, na rękawie – mały złoty miecz otoczony zielonym wieńcem laurowym, na lewym boku – kordzik ze szlachetnej złotoustowskiej stali w złotej oprawie, rękojeść z kości słoniowej! Insygnia – romby i gwiazdy na pagonach – można by wykonać z jakichś czerwonych kamieni szlachetnych, a wieniec laurowy na rękawie wyłożyć szmaragdami... Ale nie dla wszystkich. To dla najważniejszych.

Sekretarz NKWD, starszy major bezpieczeństwa państwowego Pawieł Pietrowicz Bułanow kwitnie. Potrafił sukinsyn dogodzić szefowi. Pod kontrolą Bułanowa projektanci wykonali wszystko jak należy i przed czasem. Teraz należy tylko wybrać i zatwierdzić najlepsze.

A jak wspaniale mundury leżą na modelach! Wszyscy są z doborowej kompanii. Dziś w Kommunarce jest tylko jedna drużyna z czwartego plutonu. Tę kompanię Żelazny Gienrich zebrał osobiście. Każdego osobiście wybierał z tysięcy kandydatów. To nawet nie jest kompania. Tylko się tak nazywa. Gdyby się przyjrzeć... W każdej drużynie – 15 żołnierzy z karabinami, granatami, rewolwerami i karabinem ręcznym DP. W plutonie – pięć drużyn i dowódca z zastępcą oraz kilku snajperów. W kompanii – cztery plutony, dowództwo, administracja, łączność, jednostka medyczna,

tyły, pluton karabinów maszynowych, drużyna transportowa... Wszyscy w kompanii są wysocy, dobrze zbudowani, wysportowani. Żelazna dyscyplina, ostre szkolenie: strzelanie ze wszystkich rodzajów broni, walka wręcz, rzuty granatem na odległość i celność, tor przeszkód, całodobowe marsze w pełnym rynsztunku, jazda samochodami i motorami, prace minerskie i jeszcze wiele różnych rzeczy. Najważniejsza jest gotowość do bohaterskiego czynu. Ci chłopcy biegają, skaczą i czołgają się tylko pod prawdziwym ostrzałem z karabinów, między prawdziwymi wybuchami granatów, walczą w zamkniętej celi z prawdziwymi kryminalistami, i to na śmierć i życie. Paweł Pietrowicz Bułanow podrzucił pomysł: A gdyby naszych wojów nie wykorzystywać przy wykonywaniu wyroków, może skazanych na śmierć nie tłuc butami, gumowymi pałkami, żelaznymi prętami, ćwiczyć u żołnierzy specjalnej kompanii zdrową złość i wściekłość. Zameldowano Pawłowi Pietrowiczowi: W lefortowskim areszcie śledczym pomocnik wykonawcy ciosem kastetu w nasadę nosa zabił wroga ludu Smirnowa, skazanego według pierwszej kategorii. Bułanow tę nowinę natychmiast przekazał Gienrichowi.

Zainteresował się Żelazny Gienrich: Kim jest ten pomocnik?

Bułanow odpowiedział: Przecież to Żmijojad! Gdyby tak jego doświadczenie wykorzystać w celach wychowawczych dla naszych chłopaków!

Gienrich się zgodził: Rozszerzyć doświadczenie! Skazanych według pierwszej kategorii wykorzystać jako materiał szkoleniowy do rozwoju i wzmocnienia ducha bojowego kompanii specjalnej.

A Żmijojada odznaczyć i awansować.

6

Na statku wycieczkowym związku zawodowego Naczspecrembudu odbywa się narada zakładowa. Dwa dni i dwie noce przeglądali papiery, na liczydłach stukali kamykami, w zeszytach pisali i skreślali liczby, dodawali,

odejmowali, mnożyli, dzielili, od nowa pisali, od nowa skreślali, liczyli i przeliczali. Tylko Luśka próbowała się od tego wymigać, tłumacząc, że jest nieuczona. Usiadła w kącie, wyciągnęła karty, tasuje, tasuje, a później nagle wyciąga z talii cztery asy jednego po drugim. Zechce damę pikową – wyciągnie. Powiedz jej tylko, jakiej karty potrzebujesz, w jednej chwili rzuci na stół. Utalentowana dziewczyna. Gryf nie uwierzył w to, że nieuczona. W którym roku uciekałaś z kołchozu? W 33? Znaczący, skończyłaś cztery klasy. Siadaj przy nas, masz papier – jak się czegoś doszukasz, melduj!

Tak wszyscy razem się głowili. Te same papiery każdy z nich oglądał kilka razy: najpierw ty czytaj, może coś zauważysz, potem ja spojrzę fachowym okiem, później Ciech Ciechowiczowi damy, spojrzenie ma ostre, może coś wyhaczy. Długo pracowali, aż zielona mgła zaczęła zasłaniać wzrok i popłynęły słupki z cyferkami.

I czego się doszukali?

Dowiedzieli się, że wszystko się zgadza. W każdej kołymskiej kopalni złota i na każdym odcinku wydobywania wszystko się zgadza bez oszustwa i matactw.

Zrozumiałe, że sporo złota się rozkrada. Ale to drobnica. Załóżmy, że wycieńczony wróg mówi do klawisza: Ty mi dasz bochenek chleba, ale prawdziwego, bez trocin, a ja ci – garść złotego piasku. A za kawałek słoniny – grudkę. Kto się oprze?

Z tym trudno walczyć. A nawet jest to niemożliwe. Dureń rozumie: połowa kołymskiego złota ucieka na lewo ziarenkami i cieniutkimi strumykami. Ale to nic. Bo inaczej wszyscy wrogowie tam już dawno by z głodu zdechli, zanim przywieźliby nowych, i całe wydobywanie zamarłoby i się skończyło. Ale jak ukraść dużo złota? Na każdym odcinku wydobywania jest wielowarstwowa kontrola. Kapusie wśród więźniów, kapusie wśród cywilów, kapusie wśród klawiszy i administracji. Kapusie są wszędzie. Kapusie donoszą dozorcę. Kapusie donoszą na dozorcę przełożonemu dozorcę. Kapusie dozorcę wyższego stopniem donoszą na kapusi niższego. A niższego – na wyższego. Kierownik Dalstroju, towarzysz Berzin, i wszyscy

jego zastępcy są otoczeni kapusiami. Cała ich obsługa – adiutanci, ochroniarz, kierowcy, osobiści piloci i kucharze, fryzjerzy i łązienni, masażyści i kryptografowie, nauczyciele i guwernantki ich dzieci – została zwerbowana przez jakieś organa kontrolne i zawzięcie donosi. Samozaparcia kapusie mają pod dostatkiem. Wytrwałości w nich tyle, co w syberyjskich dzieciątach. Stukot donosu wisi nad tajgą. Stukot donosu jest wszechobecny, nieustający i zwycięski.

I wszyscy naczelnicy wiedzą, że są na celowniku. Dokładnie jak ci zrywający boki delegaci Zjazdu Zwycięzców pod spojrzeniem Stalina przez snajperski celownik.

– Jak w takiej sytuacji ukraść, no, chociaż jedną tonę złota? Drobnicę – proszę bardzo. Ale gdyby dużą ilość, to dowiedzą się o tym od razu w różnych resortach i na różnych szczeblach.

– Gryfie, może tam nie kradną w dużych ilościach? I w dokumentach wszystko się zgadza. Nie ma tu rozbieżności. Sprawozdanie z każdego odcinka wydobywania. Wszystko, co raz w kopalni policzono, później znajduje się w kolejnych wszystkich sprawozdaniach. Wszystko co do grama. Żadnych rozbieżności.

– Gryfie, mogę na słówko?

– Mów, Ludmiło Pawłowna.

– Gryfie, a jak byś na miejscu naczelnika Dalstroju, towarzysza Berzina, zorganizował kradzież na dużą skalę?

– Nie wiem. Problem w tym, że kapusie pracują dla różnych zwalczających się nawzajem resortów. W dowolnej chwili mogą się zjawić kontrolerzy i rewizorzy z każdej strony. Z Sownarkomu, z Komisariatu Kontroli Państwowej, z GUGB, z Gławzołota. A i sam towarzysz Stalin nie śpi. Nie może przecież tak ważnej sprawy państwowej pozostawić bez osobistej kontroli. Kapuś może być tuż obok. Skąd wiesz, dla kogo pracuje. Nikomu nie można zaufać.

– A ja bym i w takiej sytuacji ukradła.

– Jak?

– Nic trudnego. U nas w 1933 roku wszystkie wsie w okolicy, ratując się przed głodem, żarły ludzkie mięso. Nas to ominęło. Dlatego, że przewodniczący kołchozu był nie w ciemni bity. W 1930 roku, kiedy ludzi spędzono do kołchozu, zrozumiał, czym to się zakończy. Już wtedy posmarował komu trzeba, żeby w papierach pojawił się błąd. Dlatego w naszym kołchozie było kilka niepoliczonych hektarów i dwie niepoliczone krowy w stadzie. Jeżeli naczelnik Dalstroju jest równie sprytny jak nasz przewodniczący, to też powinien mieć niewpisaną do akt kopalnię.

– Zuch dziewczyna. Zaraz cię wycaluję. No proszę, złodziejski proceder może być prosty jak drut. Trzeba zostać naczelnikiem Dalstroju. Zatrudnić jednego zaufanego rachmistrza, związanego z nim jednym przestępstwem. A dostawą niech się zajmie sam Jagoda. Kilka grup kurierów. Jedna grupa może nie znać drugiej. Wszyscy kurierzy kiedyś na czymś się dali przyłapać, dlatego nie pobiegną meldować Stalinowi. Dlatego nie ma wśród nich kapusi.

Ciech Ciechowicz odłożył papiery na bok.

– Jak działa mechanizm?

– Wszystkie odcinki robót są przesiąknięte kapusiami. Wszystkie odcinki i kopalnie prowadzą sprawozdawczość. Tam się wszystko zgadza. A do Moskwy wysyłałabym całą dokumentację na wszystkie kopalnie... oprócz jednej. Ano, policzmy, ile jest kopalni złota na Kołymie, później podliczymy, z ilu mamy sprawozdania.

To się zdarza każdemu z nas: zrozumiesz jedną prostą rzecz i natychmiast cała sytuacja ukazuje się w innym świetle, każdy detal, każde wydarzenie nagle nabierają zupełnie innego wymiaru.

– I ty, Ludmiła Pawłowna, znaczy, Luśka, policzyłaś, ile jest kopalni na Kołymie?

– 205.

– A ile jest sprawozdań z kopalni?

– 204.

– Którą pominięto?

– Mały Chabadan.

– Mądra dziewczynka. Niech cię ucałuję.

Prosta sprawa. Im prostsza, tym pewniej. Mały Chabadan – zwykły odcinek wydobywania. Taki jak inne. Toczy się tam identyczna praca jak we wszystkich innych. Kwitnie takie samo drobne złodziejstwo jak wszędzie. To miejsce tak samo jest nafaszerowane kapusiami i tajnymi współpracownikami. Wszystko, co tam wydobyto i zliczono, trafia do zarządu Dalstroju w Magadanie. Tylko w ogólnej statystyce produkcja Małego Chabadanu nie została uwzględniona. A buchalteria z dwustu innych kopalni i odcinków zgadza się co do grama. Na Kołymie setki tysięcy ludzi. Generalnie – miliony. Tylko zanim jednych przypędzą, ci poprzedni już umrą. Obozów i punktów obozowych tu bez liku. Tylko mała część bezpośrednio zajmuje się wydobywaniem złota. Reszta wykonuje główne zadanie: rąbie przesieki, wytycza drogi, karczkuje las, buduje siedliska, miasta, obozy i oddziały więzienne, stacje pomp i elektrownie, kopie węgiel na potrzeby Dalstroju, ciągnie drut kolczasty, wznosi linie przesyłowe i wieże strażnicze, zbija magazyny, baraki dla więźniów i domy dla dozorców, rozładowuje statki. Praca wre. Wagony dokumentów. Dlatego bardzo łatwo jest pominąć wśród lawiny papierów raport z jednej kopalni.

– Wszystko zrozumiałem. Tylko na okładce niebieskiego zeszytu te kulfony są niezrozumiałe: C – 30, W – 12, C – 27.

– To, Gryfie, jest najłatwiejsze – stwierdził Ciech Ciechowicz. – Kiedy duże liczby są przed małymi? Właśnie: w kalendarzu. Z Kołymy są dwie drogi: do portu Wanino i do Nachodki. Z Nachodki droga do Moskwy prowadzi przez Władywostok. A z Wanina przez Chabarowsk. C – to pociąg Chabarowsk-Moskwa. W – Władywostok-Moskwa. Liczby, jak przypuszczam, to daty przyjazdu pociągów do Moskwy.

– To znaczy, że kurierzy w pociągu z Chabarowska będą w Moskwie 30

sierpnia. Tak?

– Myślę, że tak.

– To pojutrze. Jeżeli pracują według jednego schematu, to dwóch z ładunkiem powinno pojutrze wysiąść w Jarosławlu, nie dojeżdżając do Moskwy. A trzeci bez niczego jedzie do Moskwy, tu go spotkają, razem z nim wrócą samochodem do Jarosławla po kurierów i towar. Tak?

– Niby tak.

– Schematu dostaw Jagoda nie zdążył zmienić: kurierzy są już w drodze od dłuższego czasu, a utrzymywanie z nimi łączności nie jest konieczne. Nie ma potrzeby zmieniać schematu. Zniknął jeden kurier w Moskwie, ale ta zguba wcale nie oznacza, że cały łańcuch nie nadaje się dla dostaw. Co robimy, Żmijojadzie?

– Przechwycimy towar.

– Jak?

– Zwyczajnie. Zwinę walizkę. Ciemną nocką zwinę na peronie i podziękuję nocy.

– Pociąg przyjeżdża w dzień.

– A jaka to różnica? Luśka, ty zajmiesz się kurierami, pójdiesz jako przynęta. Towarzyszu Chołowanow, Ludmiłę Pawłowną trzeba wystroić i wymalować.

– Wystroimy. Wymalujemy. Mam w Teatrze Bolszoi swoich ludzi. Tylko jak, Żmijojadzie, rozpoznasz kurierów?

– Są najpewniej w szóstym wagonie. To zawsze najlepszy wagon. Konduktor otwiera te drzwi, które są bliżej czoła pociągu. Ustawię się w tym miejscu, gdzie zatrzyma się wagon.

– Skąd będziesz wiedział, gdzie się zatrzyma?

– Towarzyszu Chołowanow, nie łapiesz prostych rzeczy. Trzeba patrzeć, gdzie na szynach jest najwięcej petów. To jest miejsce złącza wagonów. A bardziej na lewo będą drzwi.

– A potem?

– Jarosławł – ostatnia stacja przed Moskwą. Ludzi w Jarosławłu wysiądzie niedużo. To nie kolejka podmiejska. To pociąg bardzo dalekobieżny. Ludzie z bardzo daleka jadą do Moskwy albo przez Moskwę jeszcze dalej. Kto z Syberii, Dalekiego Wschodu, Kołymy będzie wysiadał w Jarosławłu? Tak więc wysiadających będzie niewielu. W pociągu jest trzech kurierów. To oznacza trzy walizki. Nie potrzebują za dużo, ale też za mało być nie może. Jedna walizka z towarem. Rozmiarowo może być taka sama albo mniejsza. Ale jest bardzo ciężka. Z lekkimi nie ma sensu ganiać ludzi tam i z powrotem. A więc wysiada dwóch facetów z czterema walizkami. Trzeci, który jedzie dalej do Moskwy, oczywiście im pomoże. I jeszcze są uzbrojeni. Może to być zauważalne, jeżeli nie będzie padało i nie będą w płaszczach.

– Zgoda, dobrze, rozpoznałeś ich i zorientowałeś się, którą z walizek trzeba zwinąć. Ale jak ukradniesz ciężką walizkę na prawie pustym peronie i będziesz uciekał od trzech uzbrojonych facetów?

Żmijojad się zaśmiał. Mrugnął do Luśki. A ta pęka ze śmiechu.

– Nijak, towarzyszu Chołowanow, zwinę walizkę i nie będę uciekać. Zostanę na miejscu. I będę bezczelnie się do nich uśmiechać. Tak, Luśka?

– Tak, Żmijojadzie.

– Dobrze. Wy z podziemia lepiej wiecie. Tylko mamy problem, panowie. I to spory.

– Towarzyszu Chołowanow, jaki problem?

– Taki, że złoto wiozą do towarzysza Jagody, a towarzysz Stalin surowo zabronił jakichkolwiek działań przeciwko towarzyszowi Jagodzie. Jeżeli przejmujemy towar, będziemy nie tylko wrogami Jagody, ale i samego Stalina.

– Dlaczego Stalin nie pozwala działać przeciwko Jagodzie?

– Później wam wytłumaczę. Ale sytuacja wygląda właśnie tak: będziemy wrogami i Jagody, i Stalina. Co zrobimy?

– Towarzyszu Chołowanow, będziemy działać. Nie ma wyjścia. Bo inaczej Jagoda nas mimo wszystko po kolei wykończy.

7

Zakończył się pokaz nowych mundurów. Towarzysz Jagoda jest zadowolony. Żołnierze wychodzą różnym krokiem.

Pawieł Pietrowicz Bułanow uśmiechnął się do Żelaznego Gienricha i chyba nawet mrugnął porozumiewawczo:

– Lejtkompania.

Żelaznemu Gienrichowi żart się spodobał. Uśmiechnął się i powtórzył:

– Lejtkompania.

Rozdział 9

1

- Będzie lało. I to mocno.
- Żmijojadzie, dlaczego tak myślisz?
- Towarzyszu Chołowanow, spójrz na niebo. Chmury przypominają góry i wieże.
- I co?
- A to, że lunie.
- Dobra, przepowiadaczu, sprawdzimy, co potrafisz. Gotów do akcji?
- Gotów.
- Lusia-przynęta, gotowa?
- Gotowa.
- Żmijojadzie, idź pierwszy.

2

Jarosławł to miejsce, w którym przez wieki ważyły się losy Ziemi Rosyjskiej. Ludzie mieszkali tu od zawsze. Tysiąc lat przed tym, nim Jarosławł Mądry w 1010 roku założył na brzegu Wołgi miasto swojego imienia. Symbol Jarosławła – niedźwiedź ze złotym toporem w łapie. Niedźwiedź to nie tylko siła, to siła połączona z rozwagą, przezornością, sprytem.

Nas rzucił kapryśny los do tego wspaniałego miasta o 6.19 pochmurnym porankiem 30 sierpnia 1936 roku, prosto na dworzec stacji Jarosławł Główny. Od Jarosławła Głównego do Dworca Jarosławskiego w Moskwie 282 kilometry. To ostatni przystanek pociągów kurierskich, kierujących się do Moskwy z Uralu, Syberii, Dalekiego Wschodu. Przywiało nas tu akurat w

chwili, kiedy, minąwszy most przez Wołgę, do trzeciego peronu płynnie zbliża się pociąg kurierski Chabarowsk-Moskwa. Pociągi kurierskie od zwykłych pasażerskich różnią się tym, że mkną z olbrzymią prędkością, zatrzymując się tylko w dużych miastach. Rozkład układa się tak, żeby wszystkie inne pociągi – towarowe, pasażerskie, więzienne, pocztowe, podmiejskie – ustępowały drogi kurierskim.

Na stacji Jarosławł Główny jest 39 torów i cztery perony – jeden wysoki boczny i trzy wyspowe.

Pociągi kurierskie jadące z Moskwy Jarosławł Główny przyjmuje na pierwszy tor, jadące do Moskwy – na czwarty i piąty. To trzeci wyspowy peron.

Powiem szczerze – to wątpliwa przyjemność znaleźć się po bezsennej nocy wczesnie rano na pustym, smaganym przez wszystkie możliwe wiatry peronie. U was, gdzieś w ciepłych szerokościach, pod koniec sierpnia jest lato. A w Jarosławlu – jesień szumiąca, mżąca, wietrzna. Zimno, mokro, obrzydliwie. Chmury nad Jarosławlem są nabrzmiąle wodą, przyczepione do wierzchołków słupów. Nie płyną, nie suną, nie biegną. Wiszą w miejscu jak balony zaporowe, zasłaniając niebo po horyzont.

Nie było Żmijojada na trzecim peronie o tej godzinie. Nie wiem dlaczego. Może zmienił plan, może w ogóle z niego zrezygnował. Przyznacie, że to niełatwe zadanie – podiwanić ciężką, prawie trzydziestokilową walizkę, a może najcięższą na peronie, gwizdnąć nie gapowatej cikliwej kobitce, która wraca z rozkosznego urlopu na czarnomorskich plażach, ale dwóm, a może i trzem uzbrojonym czekistom, którzy głową odpowiadają za dostarczenie ładunku. Łatwo jest zwinąć walizkę w tłumie, w zamieszaniu, a jak buchnąć tutaj, skoro na peronie jest tylko dyżurny z gwizdkiem w zębach, samiusieńki, ziewający na całe gardło tragarz z wózkiem i nieliczni pasażerowie? Tam jest jeden. I jeszcze jeden. Dobrze jest kraść na pierwszym peronie – tu można wskoczyć do budynku dworca i na plac przydworcowy. A jak zwinąć na wyspowym peronie? Z niego droga prowadzi przez dudniącą żelazną kładkę, która zawisa nad

torami, chwytając się chmur. Dźwigaj taki ciężar po schodkach do góry do szarego nieba, a potem w dół do równie szarej ziemi. Można zanurkować pod stojące składy. Ale wszystkie tory od pierwszego po dziesiąty są dzisiaj puste. A inne, od jedenastego począwszy, są zapchane składami kolejowymi. I spróbuj do nich dobiec! Skoczywszy z trzeciego peronu, trzeba pokonać dwa tory, wgramolić się na czwarty peron, przebiec go, zeskoczyć... Wszystko na otwartej przestrzeni. Znajdzie się niedaleko milicjant, może strzelić w powietrze. Może w plecy. Czekiści, chociaż przebrani w cywilne ubrania, też są uzbrojeni. Nie będą czekali na milicjanta – podziurawią. Oprócz tego właśnie w tej chwili na piąty tor wjeżdża pociąg Chabarowsk-Moskwa, zagradzając drogę do tych dalszych pociągów.

Zazgrzytał hamulcem kurierski z Chabarowska, powoli zamarł. Konduktor z szóstego wagonu szeroko otworzył drzwi, wypuszcza wysiadających w Jarosławlu. Jest ich dwóch. Z czterema walizkami. Trzeci ich towarzysz jedzie dalej do samej Moskwy. Pomaga wynieść walizki na peron. Tarasując przejście, do wagonu gramoli się nieogolony, śmierdzący, przepasany sznurkiem subiekt z olbrzymią, ciężką walizką z dykty, ewidentnie „Made in Gulag”.

- Do Arzamasu?
- Nie, to pociąg do Moskwy.
- Ale ja do Arzamasu!
- To nie tu!
- A gdzie do Arzamasu?
- A idźesz...

Konduktor wypchnął subiekta z korytarza. Pomógł obywatelom wynieść walizki na peron. (Niebawem szczerze przez całą drogę ci obywatele opłacali usługi konduktora.)

Do szóstego wagonu już śpieszy tragarz w fartuchu, z blachą na piersi, z wózkiem na dwóch kółkach.

W tej samej chwili pojawiła się obok grupy obywateli może szesnastoletnia dziewczyna. Modnie ubrana. Aromat zagranicznych perfum. Buźka ładniutka, w jakiś sposób odrobinę zepsuta. Nie można pojąć dlaczego. Oczy – dwa ciche głębokie jeziora, w których wiadomo kto drzemie. W całej Europie i w Ameryce najnowsza moda wymaga od kobiet i dziewczyn krótkiego ścinania włosów. Ale nasza uwodzicielka w tej kwestii nie uległa modzie. Szkoda by było ten skarb nożycami potraktować: gęste, puszyste, nieco rozwiane loki z kosmykiem na czole. Dziewczyna spotyka albo tatusia-naczelnika, albo ważnego wujka-protektora. Ale apetyczna. Schrupałbym. Calusienką. Serojadka – nic dodać, nic ująć. Zatrzymała się. Kapryśnie podniosła papieroska ze złotą obwódką do ust. (Nie ma kto nieletniej dać w dupę za palenie!) Trzech w okamgnieniu sięgnęło do kieszeni. Trzy płomyki zapalniczek naraz przed nią rozbłysły. Spojrzała każdemu uważnie w oczy, wybierając, od której zapalniczki przypalić. Uśmiechnęła się jakby przepraszająco: nie mogę przecież od wszystkich naraz! Wybrała jeden płomyk, podpaliła, zaciągnęła się, obłoczek dymu malowniczo wydmuchując nad sobą. Poszła dalej, lekko kołysząc kształtnymi biodrami. Westchnęło trzech facetów, w długiej drodze stęsknionych za przyjemnościami życia.

I odwrócili się do swoich walizek. I zaskowytała cała trójka naraz. Elegancka walizeczka, ta najmniejsza, ale najcięższa, zniknęła. Tak po prostu – była i nie ma.

Pierwszy odruch: Cholerna dziewucha!

Warknęli wszyscy naraz. Ucichli. Obejrzała się ze zdziwieniem. Nie ma w dłoniach nic poza papierosem ze złotą obwódką. Nie udźwignęłaby tej walizki!

Wtedy cała trójka odwróciła się do konduktora: Gdzie walizka, padalcu? Ale konduktor stoi w drzwiach wagonu. W przedsionku. Metr od nich. Gdyby skoczył do nich niepostrzeżenie i wskoczył z powrotem z ciężką walizką w dłoni, to obok niego teraz powinna stać walizka. Ale jej nie ma. Wtedy cała trójka naraz odwróciła się do śmierdzącego, sznurkiem

przepasanego typu. Też stoi obok. Dopiero co wyrzucono go z wagonu, tłumacząc, że ten pociąg wcale nie jedzie do Arzamasu. I tak stoi z niewypowiedzianym pytaniem na głupiej, nieogolonej, otwartej gębie: To który do Arzamasu?

Okropnie wygląda. Rzygać się chce na sam widok. Ma brudną, podartą więzienną kufajkę, wyraźnie zawszoną. Smród bije od niego – śmietnik na nogach. Jego ciężka dyktowa walizka cała jest oplątana sznurkiem, dwie zardzewiałe kłódki, uchwyt ze zniszczonego sznurka, cała kosmata jak ten pies, któremu spod kudłów oczu nie widać.

Pasażer, który miał jechać do Moskwy, chwycił mały zgrabny zagraniczny pistolecik: Zabiję, do jasnej cholery!

Typ głupkowato łypie oczyma: Czym ja zawiniłem? Zabierzcie moją walizkę, obywatele kochani, tylko mi krzywdy nie róbcie. Ostatnie rzeczy oddam, jeśli trzeba. Buty z kirzy, do szczętu, co prawda, znoszone. I onuce mam zdjąć?

Dziewczyna też przybiegła: Co to za hałas?

Grzecznie jej odwarknęli: Cicho bądź, łachudro! Spieprzaj, bo nogi z dupy powyrywamy!

Obraziła się dziewczyna, nadąsała, odwróciła wyniośle.

Dwóch pasażerów, ci, którzy mieli wysiąść w Jarosławlu, przeszukali wzrokiem peron. Ale naokoło nic. Proszę mi wierzyć: Pusto tam było, obrzydliwie i mokro. Otworzyły się upusty niebieskie, siekąc twarze drobnym deszczem.

Ten, który miał pistolet, zajrzał do wagonu. Ale walizki tam nie ma. Pod wagon się stoczyła? Nie mogła. Peron jest wysoki, między bokiem wagonu a brzegiem peronu nawet niedopałek nie wpadnie. Niedopałki wpadają tylko tam, gdzie jest złącze wagonów. Ale tam też nie ma walizki.

Tu jednego z nich olśniło: Nie zabraliśmy jej z przedziału! Rzucił się do środka, odpychając od drzwi konduktora. Pojawił się kierownik pociągu, ziewając, przecierając oczy, zapinając w biegu mundur. A za nim ten

pasażer, którego dopiero co olśnił pomysł zbawienia, a teraz jakby go walec przejechał: Walizki w wagonie nie ma. Nie ma!

To i tak wszyscy wiedzieli. Wszyscy pamiętają, że tę właśnie walizkę wynieśli z wagonu. Powinna być tutaj!

– Dokument – wrzeszczy pasażer z pistoletem. – Dokument!

Sięgnął śmierdzący subiekt za pazuchę, odstaniając pierś w niebieskich obrazkach, niemytą od co najmniej kilku lat. Długo przekładał różną drobnicę z kieszeni do kieszeni, siłąc się na znalezienie tego, czego od niego żądano. W czeluściach jego portek, koszul i kufajki znalazł się kiedyś czerwony, a teraz niewyraźnego koloru woreczek z machorką, zapalniczka z konwojenckiej łuski, dwa kawałki cukru, czarne od brudu, na wpół obgryziona cebula, talia kart z gołymi babami, tak brudna, że tych bab tylko zarysy można było odgadnąć. Nareszcie znalazł i żądany dokument: złożoną cztery razy, wytartą na zgięciach, kiedyś białą, a teraz szarą kartkę z żółtymi zaciekami i smugami.

Z dokumentu z niewyraźną fioletową pieczętką i podpisem naczelnika GUłagu, naczelnika Dmitłagu NKWD ZSRR, starszego majora bezpieczeństwa państwowego towarzysza S. Firina wynikało, że obywatel Paisij Eulampiewicz został zwolniony z zakładu FK 15/5 po odbyciu kary więzienia. Zaświadczenie stwierdzało, że obywatel Swinarenko, skazany z artykułu 153, najohydniejszego w całym kk-26, odbył karę od gwizdka do gwizdka i że wydano ów dokument przez administrację zakładu w celu okazania go lokalnym organom władzy, bo inaczej nie zostanie wydany nowy dowód.

– Gwałt zbiorowy?

– Jestem niewinny – zajęczał obywatel Swinarenko. – Sama chciała!

– Gdzie, gnido, walizka?

– Zabierzcie moją! Nie brałem waszej walizki! Przecież z wami stoję. – Zabeczał, rozcierając brudną łapą łzy po nieogolonej mordzie. – Z powrotem do pierdła, tak? Znowu? Przecież z wami stoję! Z powrotem,

tak?

Tu dopiero wpadła cała trójka na to, żeby zwrócić uwagę na tragarza. Już dawno podskoczył i zamarł w pozycji „czego państwo sobie życzą”. Cała uwaga na niego: To ty, gadzie? Rozkłada ręce: Przeszukajcie, obywatele, może waszą walizkę schowałem za pazuchę.

Najwyższy czas, żebym powiedział, że tragarz ten coś widział i już chciał słówko szepnąć, ale smagnęło go pewne spojrzenie...

Ale nie powiem wam, obywatele, bo ni cholery ten tragarz nie widział. Stał na baczność w pełnej szacunku pozycji, czekając, kiedy pozwolą mu załadować na plecy i taszczyć na sobie bagaż. Nie palił się, żeby coś komuś mówić. I nie próbował. Nawet nie dlatego, że spotkał czyjeś lodowate spojrzenie. Nie było takiego spojrzenia. Oświadczam wam wprost.

Po prostu zrozumiał, co się dzieje: Ktoś pracuje na gościnnych występach. A wobec tego nie pracuje sam. W pobliżu są partnerzy, chociaż ich nie widać. Powiedz słówko – zgarnie milicja rabusia, ale tego samego dnia od jego koleśi zarobi kosą w wątrobę. Dworzec to dworzec. Więc tu i dziewczynki lekkich obyczajów szczęścia szukają, i doliniarze po kieszeniach grzebią, i ci, co kradną walizki. Tragarz nie powinien wściubiać nosa do tych spraw. Mniej wiesz – lepiej śpisz. A oszczędny język oszczędzi głowę.

Tak więc z tragarza żadnego pożytku. Milczy. I nie ma zaginionej walizki. Nic ciekawego powiedzieć nie może, a i nie pali się do tego, żeby mówić, nawet gdyby miał coś do powiedzenia.

Brzęknął dzwonek. Popłynął ponury dźwięk nad peronem.

Wiecie, jak kiedyś odjeżdżały pociągi? Tłumaczę. Najpierw trzy uderzenia w dzwonek: dzyń, dzyń, dzyń. Z pauzami. Potem długi przenikliwy gwizd dyżurnego stacji. Ma przy boku zamiast torby dwa skórzane cylindry dla chorągiewek, żółtej i czerwonej. Są to najbardziej rozróżniane z daleka kolory. (A w ciemnościach – latarka z czerwonym i zielonym światłem.) Żółtych chorągiewek nigdy nie rozwijano. Dlatego wydawało się, że to nawet nie chorągiewka, a pałka. Trzyma przed sobą tę pałkę, dając znać, że

wszystko gra. Konduktorzy na schodkach wagonów zamarli, informując żółtymi chorągiewkami, że wszystko w porządku. Jeżeli u któregoś w jednym wagonie jest coś nie tak, rozwinię czerwoną chorągiewkę i cała reszta w tej chwili powtórzy jego sygnał, żeby widzieli i maszynista, i dyżurny stacji. Jeżeli wszędzie wszystko jest w porządku i widać tylko żółte chorągiewki, to pociąg przeciągle trąbi i powoli, jakby od niechcenia, rusza, ciągnąc za sobą skład. Dla tych, którzy się zagapili na peronie, maszynista nie będzie zmieniał rozkładu jazdy. Gapy nie zakłócają nieładu. Gapy się nie liczą, niech gonią pociąg. Niech następnym razem z pierwszym dzwonkiem zajmują miejsca.

Przebrzmiał dzwonek, zagwizdał dyżurny, odtrąbiła lokomotywa i skład Chabarowsk-Moskwa miękko i płynnie, statecznie i z godnością, jak na pociąg kurierski przystało, ruszył.

Ten z pistoletem nie wskoczył, ale wleciał do wagonu i szarpnął hamulec. Nie tylko konduktora, ale teraz również kierownika pociągu odepchnął na bok. Kurierski zazgrzytał i zamarł.

Tu już kierownik pociągu użył władzy: Co tak z blachą się rzucasz? Jakie masz prawo łamać rozkład? Wiesz, jaka jest kara za coś takiego? Wezwę milicję i nie wymachuj mi tu przed nosem tymi papierami.

Trzeba było podsunąć mu pod nos czerwoną legitymację z mieczem i tarczą: Zobacz, psie, z kim masz do czynienia – GUGB NKWD ZSRR!

Dwóch z walizkami na peronie już dawno wyciągnęłoby pistolety, ale rozumieją: Zjawi się milicja, a robić zamieszania, oj, jak się nie chce. Nie zaleca się zwracać uwagi na siebie i ładunek. Tym bardziej na taki, który zaginął. Dlatego do trzeciego, który w korytarzu, machają rękami: Cicho, nie trzeba nam hałasu, ruszajcie!

Znowu ruszył kurierski. Tym razem jakoś nerwowo szarpiąc.

Obok tego pasażera w korytarzu, który trzyma legitymację bezpieczeństwa państwowego w jednej ręce i blachę w drugiej, przepłynął peron ze złotym napisem Jarosławł Główny, przepłynęło dwóch jego

towarzyszy z wykrzywionymi z przerażenia i niedowierzania mordami, przepłynęła dziewczyna z papierosem, tragarz ze swoim wózkiem i ten śmierzący subiekt, podpasany sznurkiem. Gębę miał brudną od łez. Usta drżą ze strachu.

A oczy bezczelne.

3

Poprzednim razem na Dworcu Jarosławskim w Moskwie zniknął kurier z Kołomy. Nigdy go nie odnaleziono. Dlatego tym razem zrobiono wszystko, żeby kurier nie zniknął. Tym razem na kuriera czekają aż dwa samochody – jeżeli jeden złapie gumę, będzie drugi.

Oto skład Chabarowsk-Moskwa. Uroczyście i dumnie pociąg kurierski robi ostatni przystanek na swoim liczącym tysiące kilometrów szlaku.

Do samej Moskwy pasażer z GUGB, który stracił w Jarosławlu walizkę, siedział w swoim pustym przedziale, gapiąc się w jeden punkt.

Kierownik pociągu zamilkł, kiedy zapoznał się z treścią niedużej szkarłatnej legitymacji. Konduktor też. Odważyli się obaj o dziewiątej rano zapukać do drzwi, zapytać, czy może podać herbatę. Ale zostali poproszeni...

Co to wszystko ma znaczyć? Gdzie mogła się podziać walizka? Gdzie?

Dobre pomysły przychodzą po pewnym czasie. Dziewucha wyraźnie odwracała uwagę. Przecież trzeba było ją natychmiast złapać za piękne włosy i wciągnąć do wagonu. Ta dziewczyna jest nicia! Dlaczego ta myśl nie pojawiła się na peronie? Albo nie należało wsiadać do pociągu! Trzeba było zostać w Jarosławlu i zrobić dochodzenie na miejscu. Nie! Nie wolno było tego robić! Dlaczego? Dlatego, że walizka właśnie teraz może znajdować się w pociągu. Skoro mogła tak po prostu zniknąć z peronu, to mogła równie dobrze wrócić do pociągu.

A czy ci dwaj lenie, którzy zostali w Jarosławlu, wpadną na to, żeby

zatrzymać dziewczynę? Czy potrafią dogadać się z milicją, nie przykuwając uwagi do zajścia?

I kto zwinął walizkę? Tragarz? Czy jednak konduktor? Czy ten cuchnący gwałciciel? Oj, jakie bezczelne oczy miał ten śmierdziel! Dlaczego bezczelne? Po prostu dlatego, że chłop zawsze się cieszy, kiedy pan jest w opałach. Czy może jednak to on? Ale gdzie mógł schować walizkę?

Myśl szuka ratunku. Myśl odciąga człowieka od gorzkich refleksji. Przecież to sam koniec drogi. Przekazać ładunek, zameldować, i do Sandury! Ogrzać się w łaźni. Potem do najlepszej restauracji! Do Aragwi! I do kolegów! Do koleżanek! A jak się wyśpi – do teatru, do kina. Jaki film wszedł na ekrany! Pod tytułem *Cyrk*. Lubow Orłowa i Siergiej Stolarow! Ludzie szturmują kina. Film jeszcze nie trafił do najdalszych zakątków, a piosenka z filmu już rozbrzmiewa we Władywostoku, Chabarowsku i na Kołymie: „Szeroki kraj mój ojczysty, wiele w nim lasów, pól i rzek, nie znam innego takiego kraju, gdzie tak swobodnie oddycha człowiek!...”

Do kin. Do cyrku. I do koleżanek! Kiedy ma się pieniądze w kieszeni, ma się koleżanki. Wybieraj, która najśłodsza. A kiedy odpoczniesz w Moskwie, wyruszysz w drogę powrotną. Dwa tygodnie bez zmartwień i kłopotów, siedzisz i gapisz się przez okno, grasz w karty i pijesz wódeczkę. To jest życie!

I właśnie wszystko się zawaliło. Co z nami będzie? Co będzie ze mną? Przecież Żelazny Gienrich rozstrzela. Wytoczy sprawę o szpiegostwo na rzecz Hondurasu. Może się zastrzelić? Ech, kraj mój, gdzie tak swobodnie...! Ech, cyrk! W cyrku... W cyrku... A przecież w cyrku można schować wszystko. Wprost na arenie, wprost pod uważnymi spojrzeniami setek par oczu ze wszystkich stron naraz...

Co to wszystko ma znaczyć? Po prostu złodziej ukradł? Wtedy to nic strasznego. Złota na Kołymie pod dostatkiem. Następna grupa kurierów już w drodze, a za nią kolejne.

Ale jeżeli to czyjaś celowa robota? Czyja? Cztery godziny ciężkich

rozmyślań do Moskwy. Żadnego przebłysku. Żadnego pomysłu.

Tu buchnęło ze wszystkich głośników: „Obywatele pasażerowie, nasz pociąg zbliża się do stolicy naszej wielkiej Ojczyzny i całego światowego proletariatu Moskwy!”

Kurier z Kołymy postanowił jeszcze w skroń nie strzelać. Może jakoś to będzie.

– Dzień dobry, Michaile Borysowiczu, jak droga?

– Dziękuję, fatalnie.

– Do wyjazdu do Jarosławla przygotowano dwa samochody.

– Nie trzeba do Jarosławla. Zawieźcie mnie do Kommunarki na dachę towarzysza Jagody.

4

Mówiłem wam, że Żmijojada nie było na trzecim peronie stacji Jarosław Główny w chwili, gdy zginęła walizka. Pomyliłem się. Zbłądziłem. Dałem ciała. Nalegam i zalecam, żeby wszyscy do swoich błędów przyznawali się natychmiast i zdecydowanie. Nie upierając się przy głupocie. Zaczynam od siebie, cofam wypowiedziane słowa: Żmijojad właśnie wtedy był na tym peronie. Po prostu go nie poznałem. Szukał drogi na Arzamas. Ale do Arzamasu wcale nie musiał jechać. Musiał zwinąć walizkę. A później dotrzeć do Moskwy. Jak najszybciej. W tym celu miał zagraniczny samochód. Sześćosobowego forda. Kierowcą jest towarzysz Chołowanow we własnej osobie. Żmijojad i Luśka Serojadka jadą jako pasażerowie.

Ale zanim pomkną do Moskwy, trzeba się doprowadzić do porządku, zatuszować ślady udziału w trudnym przedsięwzięciu.

Chołowanow wcześniej wybrał miejsce wzdłuż nurtu Wołgi, poniżej starego dobrego miasta Jarosławla. Skręcił z drogi, zgasił silnik w gęstych zaroślach. Ściągaj, Żmijojad, te brudy z siebie. Wszystkie łachy włóż do walizki z dykty. Ty też, Luśka, się rozbieraj. Szkoda peruki? Szkoda. Co za

przepych. Takiej nie kupisz w sklepie. Szkoda stroju zagranicznego? To nic, życie jest droższe. Złapią z tymi szmatami, nikt nie będzie się litował. W Teatrze Bolszoi te skarby odpowiedni ludzie na koniec roku skreślą z inwentarza.

Załadowali walizkę, Chołowanow wrzucił do środka coś w rodzaju kawałka szarego mydła. Żmijojad i Chołowanow wypłynęli daleko, trzymając się płynącej walizki jak tratwy, i cisnęli ją z nurtem. Tu są dzikie okolice. Nikogo wokół. A i walizka nie miała długo płynąć. Nagle coś fuknęło we wnętrzu. Buchnął bulgoczący płomień ze wszystkich szpar. No to płyn i płoń jasnym płomieniem.

Żmijojad się wykapał, Chołowanow spryskał czymś samochód w środku, pozbywając się odoru więziennej kufajki. A elegancka walizeczka na miejscu? Jest. Nie dotykać jej gołymi rękami, tylko w rękawiczkach. Usuniemy odciski. Zachowamy dla potomnych!

A co w środku? W środku żołnierskie manierki. Ciężkie, jak wypchane śrutem ołowianym. Złoty piasek transportuje się w butelkach. Ale żeby przypadkiem nie potłuc butelek, lepiej do tego celu nadają się manierki. A w pudełku – grudki złota.

Zaczęło lać, jak zapowiadał Żmijojad, ale mimo wszystko deszcz był gwałtowny, gęsty, bezlitosny jak ostrzał artylerii. Krople uderzyły jak szrapnel, zalewając strugami przednią szybę. Ale cała trójka już w samochodzie. Wszyscy się umyli i wysuszyli. Gryf polał do trzech kielonków. Wypili za sukces i ostro ruszyli ku Moskwie.

5

Posłańcowi, który przyniósł złe wieści, w każdych czasach ścinano głowę. Przez to władcy było jakoś lżej. Sam posłaniec nie miał pojęcia, jakie wieści wiezie. Tylko zgadywał, co go czeka: garść złota, futro z soboli z carskiej łaski czy szafot ze ściętymi na mrozie soplami krwi.

Niezapowiadany posłaniec, który bez przywołania i zaproszenia zjawił się

na dacy NKWD w Kommunarce, wiedział, jakie wiezie wieści. Co więcej, nie dostarczał złych nowin w czyimś imieniu, ale sam był głównym winowajcą. Nadzieja w jednym: pokornej głowy miecz nie siecze. Jestem winny, Gienrichu Grigorjewiczu! Winny! Winny, towarzyszu generalny komisarzu bezpieczeństwa państwowego.

A może nie per towarzyszu zwracać się teraz należy do Żelaznego Gienricha, a per obywatelu naczelniku?

Gienrich Grigorjewicz Jagoda nigdy nie krzyczał na podwładnych. Wiedział, że krzykiem sytuacji nie poprawi. Wysłuchiwał w milczeniu, z rzadka postukując paznokciem palca wskazującego w lustrzany prostokąt blatu biurka z drewna orzechowego, które kiedyś stało w gabinecie Aleksandra III.

Rozumie posłaniec, że sprawy mają się fatalnie. A przecież nie wie wszystkiego. Wie jedynie, że zgubił walizkę ze złotym piaskiem. Gdyby tylko to! Złotego piasku na Kołymie jest w bród. Napłuczą złota, ile dusza zapragnie. Ale ostatnio zniknął kurier. Sytuacja wygląda bardzo nieciekawie. W jednej grupie kurierów znika starszy z teczką dokumentów, znika bez śladu, w następnej grupie – ginie ładunek. Co oznacza, że zniknięcie walizki nie jest przypadkową kradzieżą, a czyjąś mistrzowską, wcześniej zaplanowaną i precyzyjnie przygotowaną akcją. Czyją?

Czyżby to Kolka Jeżow, wypierdek, obmierzły mikrus, sekretarzyna w Komitecie Centralnym? Czy swoi dołki kopią? Dalstroj jest częścią GUłagu. Naczelnik Dalstroju Berzin bezpośrednio zaopatruje Jagodę w złoto, omijając naczelnika GUłagu, komisarza bezpieczeństwa państwowego 3 rangi Matwieja Bermana. Jeżeli Berman coś zwęszył, może wykorzystać okazję. Już dawno marzy o tym, żeby się wykazać przed Dupalinem.

Czy to działa ktoś wyższy rangą? Jaszka Agranow! Pierwszy zastępca Jagody! Komisarz bezpieczeństwa państwowego 1 rangi! Czyżby on? A przecież GUGB podlega Agranowowi. To NKWD wewnątrz NKWD. Agranow mógł coś zwęszyć. Może się z nim podzielić? Czym się podzielić? Kołymskimi łupami? Czy planami na przyszłość? Przecież Agranow ma

chrapkę na miejsce Jagody. Od dawna. Jeżeli podzielić się z nim, to doniesie Dupalinowi i sam wskoczy na fotel komisarza ludowego.

Jasne, że spiskuje ktoś z najbliższego otoczenia. Żadna to nowina. Jaką świnię podłożył Trilisser w 1930 roku! A przecież był zastępcą, padalec jeden!

Nieciekawie. Co robić? Co począć? Najpierw wstrzymać wszystkie dostawy. Szyfrogram do Dalstroju: Zatrzymać i zawrócić posłańców, więcej nie wysyłać, przygotować się na kontrolę. To po pierwsze. Po drugie, trzeba przewidzieć działania wroga, chociaż jeszcze nie jest jasne, kim jest.

A więc ktoś – Jeżow, Berman, Agranow – nieważne kto, w jakiś sposób rozpracował schemat, po czym ukradł posłańca na Dworcu Jarosławskim, gdzie go ukrył, dowiedział się od niego o dacie przybycia kolejnych grup kurierów. Pierwsza strata w Moskwie, druga w Jarosławlu, trzecia, zgodnie z logiką, zdarzy się gdzieś jeszcze dalej od Moskwy, aż do Chabarowska i Władywostoku. Za pierwszym razem ukradziono człowieka, za drugim – ładunek, za trzecim wezmą całą grupę.

Żelazny Gienrich podniósł wzrok i dopiero teraz przypomniał sobie, że przed nim już od dawna, zdawszy relację, stoi wyprężony w milczeniu naczelnik grupy kurierów, kapitan bezpieczeństwa państwowego Michaił Borysowicz Dawydow.

– Co będziemy robić, towarzyszu kapitanie bezpieczeństwa państwowego?

– Nie wiem, towarzyszu komisarzu generalny.

– Będziemy analizować błędy. Jakże popełniliście błędy?

– Nie zatrzymałem dziewczyny.

– Zgadza się. Co jeszcze?

– Należało aresztować tragarza, dyżurnego stacji i tego śmierdzącego typu, zamknąć w przedziale i przywieźć ze sobą do Moskwy. I tu nad nimi popracować.

- To też. Jak się ten typ nazywał?
- Chyba Paisij Swinarenko, a może Nikifor.
- Chyba Paisij, a może Nikifor... Trzymaliście w ręku dokument, czytaliście go i nie zapamiętaliście imienia. I po tym, towarzyszu kapitanie bezpieczeństwa państwowego, macie czelność nazywać się czekistą?
- Przepraszam, towarzyszu komisarzu generalny.
- Zrobimy tak, zaraz zadzwonię do zastępcy naczelnika GUłagu, naczelnika Dmitłagu, towarzysza Firina. Pojedziecie do niego. Da wam listy wszystkich zwolnionych z Dmitłagu w tym roku, a jak będzie trzeba, również w ubiegłym. Znajdźcie akta tego przepasanego sznurkiem. Ludzi w Dmitłagu jest wiele tysięcy, tylko wracają stamtąd nieliczni. Dlatego macie łatwe zadanie. I niech wam nie przyjdzie do głowy, żeby opowiadać Firinowi czy komuś innemu, kogo i po co szukacie. Tylko obawiam się, że w aktach Dmitłagu nie znajdziecie nikogo przepasanego sznurkiem. Ale zastosujemy inne rozwiązanie. Możecie iść, będziecie się starać, to o wszystkim zapomnę i wybaczę.

Jagoda wiedział, że najlepiej pracują ci, którzy zawinili. Daj im szansę odkupić winy – przewrócą góry, wykopią kanały, skruszą, odgarną i rozpuszczą lody na biegunie.

Już dawno Żelazny Gienrich zrozumiał: Nic tak nie poniża przełożonego jak niepohamowany gniew. Przełożony jest zawsze opanowany. Nawet nad przepaścią.

6

Mknie wielki sześćoosobowy ford w strugach deszczu, najpierw słotę i mrok przecinając światłami, a potem miażdżąc ciężkim pyskiem nosorożca.

W brezentowy dach wałą krople wody, jakby ktoś z wywrotki zrzucił tony kulek z ołowiu.

- Żmijojadzie, świetnie sobie poradziłeś. Nie myślałem, że masz takie

talenty – potrafisz i przepowiedzieć pogodę, i ukraść walizkę. Z ciebie też, Luśka, niezłe ziółko!

Luśka milczała od samego Jarosława, ale skoro już sam Gryf ją zaczepił, odezwała się:

– Przecież nikt nie wie, co zrobiliśmy.

– Nikt.

– Żartuję oczywiście, ale gdyby tak na czterech podzielić zawartość walizki, to na całe życie wystarczy. Pod warunkiem, rzecz jasna, że nie wyłożymy wszystkich kart od razu na stół.

Nic na to Gryf nie odpowiedział. Dalej jechali w milczeniu do samej Moskwy.

7

Jeżeli pracownica w szwalni ukradnie dwieście metrów materiału krawieckiego, to najbardziej ludzka i sprawiedliwa na świecie robotniczo-chłopska władza wymierzy jej solidną karę w postaci długiego pobytu w obozie. Albo i wyrok śmierci.

Dwieście metrów materiału krawieckiego to już jest wyrok. Żeby brzmiało groźnie. Dwieście metrów materiału krawieckiego to szpulka nitki.

Dekret z 7 sierpnia 1932 roku o *ochronie mienia przedsiębiorstw państwowych, kołchozów i spółdzielni oraz wzmocnieniu własności socjalistycznej* przewiduje karę śmierci z konfiskatą mienia za kradzież ładunków z transportu kolejowego oraz mienia państwowego, kołchozowego i spółdzielczego. Przy łagodzących okolicznościach kara śmierci może być zastąpiona karą więzienia na okres nie mniejszy niż dziesięć lat z konfiskatą mienia. Więc ten, co za kradzież dwustu metrów materiału krawieckiego dostał dziesięć, piętnaście czy dwadzieścia lat GUłagu, powinien się cieszyć: miał szczęście, bo mogli palnąć w łeb.

Lud ową troskę władzy robotniczo-chłopskiej o zachowanie mienia

socialistycznego nazywał „prawem pięciu kłosów”. W okropnym 1932 roku w najbardziej żyznych rejonach kraju miliony ludzi w potwornych męczarniach umierały z głodu, dlatego że chleb wysyłano na eksport. A ten, który ośmielił się zbierać w polu nikomu niepotrzebne kłosa, odpady z kombajnu, dostawał kulkę. Albo przy okolicznościach łagodzących – co najmniej dychę z konfiskatą...

Co więc można powiedzieć o naczelniku Dalstroju, który kradnie nie materiał krawiecki i nie porzucone na polu kłosa? Tylko w jednej przechwyconej walizce odkryto i wzięto na ewidencję 32 kilogramy 263 gramy złotego piasku i sześć samorodków o łącznej masie 413 gramów. A ile takich walizek naczelnik Dalstroju przekazał Jagodzie? I ile zatrzymał dla siebie? Gdzie tu okoliczności łagodzące? Nie ma łagodzących, są tylko obciążające. Jest naczelnikiem. Jest na służbie. A odbiorcą jest sam towarzysz Jagoda. Ile jemu trzeba za coś takiego dowalić?

– No i jak, Gryfie, towarzysz Jagoda wpadł?

– Nie, Ciech Ciechowiczu, nie wpadł.

– Jak to?

– A tak. Jagoda nie dostał tego ładunku, nie możemy udowodnić, że był dla niego. Kto wie, może odbiorcą jest jeden z zastępców Jagody, a sam on nic na ten temat nie wie.

– Damy radę! Zniknął kurier, wiedzą o tym tylko Jagoda i jego osobisty sekretarz Bułanow. Tylko oni szukają zaginionego kuriera. Co oznacza, że ładunek był dla nich.

– Dobrze, Ciech Ciechowiczu, udowodnisz Stalinowi, że na czele tego procederu stoi Jagoda, a Stalin nic nie robi. Jagoda ma większe grzechy na sumieniu. W 1930 roku zastępca Jagody, towarzysz Trilisser, zgromadził dokumenty. Z dokumentów wynikało, że Jagoda stworzył i wymyślił swój bohaterski życiorys. Co więcej, z dokumentów wynikało, że rewolucjonista Jagoda to prowokator carskiej policji.

– I...

– I towarzysz Stalin pokazał dokumenty Jagodzie, powiedział, że w to nie wierzy, a Trilissera wyrzucił z urzędu. Donosiciel obrywa pierwszy! Teraz Trilisser jest zwyczajnym kierownikiem w jakiejś komisji coś tam kontrolującej. To największy upadek ze stanowiska zastępcy szefa tajnej policji. Upadek się nie skończył. Trilisser wciąż leci w dół. Z impetem. I myślę, że będzie leciał do samego dna. Więc i my z tobą zbierzemy dowody, wszystkie przedłożymy Stalinowi i dostaniemy za swoje. A Jagoda dołoży.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że Stalinowi najbardziej zagraża nie NKWD, a sama partia, wszelkiego autoramentu trockiści, zinowiewcy, bucharinowcy. Jagoda ma własne plany i interesy, ale póki co są zgodne z interesami Stalina. Sam system władzy jest w najwyższym stopniu chwiejny. Partia, armia, NKWD jak trzy snopki w polu wspierają się nawzajem. Zabierzesz jeden – reszta się zawali. A Stalin jest na górze – na trzech chwiejących się snopkach. Gdy tylko ktoś usunie Jagodę, towarzysze z partii zjedzą Stalina. A i w armii chętnych pod dostatkiem.

– A jeżeli sam Jagoda przygotowuje spisek?

– Stalin w to nie wierzy.

– Dlaczego?

– A dlatego, że Jagoda ma nie mniej wrogów niż sam Stalin. Jedyne sposoby walki z Jagodą to puścić plotkę, że właśnie on przygotowuje przewrót. Stalin to rozumie. Dlatego nie wierzy plotkom. Potrzebne są dowody.

– Nie mam dowodów. Ale mamy jeszcze jeden punkt zaczepny.

– Mów, Ciech Ciechowiczu.

– Trzeba coś takiego Jagodzie zarzucić, żeby nikt nie miał odwagi go bronić. Nawet Stalin.

– Co takiego można mu zarzucić?

– W 1918 roku Jagoda był uczestnikiem zamachu na Lenina.

Rozdział 10

1

Rozejrzała się: Gdzie ją przyniosło? Zapukała do drzwi: Dacie jeść? Bo od Konotopu do Moskwy sama o jedzeniu nie myślała i nikt jej nie przypomniał. Teraz zrozumiała, że tu trzeba bronić swoich praw, bo inaczej zdepczą, zgniotą i zmiażdżą.

– Hej, towarzysze, będziecie głodzić, to napiszę skargę do towarzysza Kalinina!

Odpowiedział twardy kobiecy głos:

– Tambowski wilk to twój towarzysz. Nie jęcz, zaraz przyniosą.

Znowu się rozejrzała: Gdzie jestem?

Szczękniętą rygiel, otworzyły się drzwi, jedna baba w niebieskim berecie bezpieki wniosła tacę, druga została w drzwiach, trzymając gumową pałkę.

Baba postawiła tacę na stół, zdjęła serwetkę.

Obie wyszły, znowu zazgrzytały drzwi, szczękniętą rygle.

Nasza dziewczuszka już nie ma wątpliwości. Przecież to Krem! Bez dwóch zdań! Czy gdzieś w innym miejscu są mury takiej grubości? Gdzie są takie sklepienia? Gdzie można znaleźć tak rzeźbione kraty, jakby je wykuli jubilerzy? Gdzie jest tak czysto i sucho, gdzie są piwnice z tak świeżym powietrzem? I gdzie tak karmi się więźniów? Na pewno to nie jest więzienie. To pomieszczenie, w którym tylko czasami ukrywa się szczególnie ważnych więźniów.

Głęboka noc, dlatego nie ma ani zupy, ani schabowych z ziemniakami smażonymi po francusku, ale są kanapki z pachnącego czarnego chleba z masłem, musztardą, plasterkami szynki i wędzonej kiełbasy. Gorąca herbata, mocna, w kolorze koniaku. Ale to nie herbata i kanapki ją przekonały.

Przekonała taca, talerze i wykrochmalona serwetka. Gdzie aresztanci mają takie życie? Przecież nie na Kołymie. I nie na Sołowkach. Tak, to jest Kreml! Przyniesiono jej to wszystko nie z szacunku, nie z uznania. Po prostu tu, na Kremlu, inaczej nikogo nakarmić nie potrafią. Chcieliby uraczyć lurą obozową, ale czego innego ich nauczono.

Nie zjadła. Postawiła na swoim – pierwsze zwycięstwo! Dalej – głodówka. Na znak sprzeciwu. Sucha głodówka. Ani herbaty, ani wody. Możecie zabrać swoją tacę.

Więc to Kreml. Ale co to za część Kremla? Może to być albo pałac Tieriemnoj albo Potiesznyj. Albo Senacki. A dlaczego nie Wielki Pałac Kremłowski? Naprawdę, dlaczego nie?

Pomieszczenie, w którym się znajduje, nie jest ani piwnicą, ani parterem. To cokół, to potężna podstawa pałacu. Po co w budynku piętro cokołowe? Po to, żeby zbudować parter wyżej nad ziemią. Po prostu podnieść jego okna do wysokości, żeby nie można było do nich zajrzeć z ulicy. To zwiększa bezpieczeństwo. Gdyby olbrzymie okna parteru zasłonić kratami, wyglądałoby to nieestetycznie. Ale gdyby parter podnieść nad ziemią, można obejść się bez krat. A nieduże okna piętra cokołowego są okratowane, co nie psuje wyglądu. Wręcz przeciwnie, dodaje budynkowi solidności. Cokół powinien być masywniejszy i mocniejszy od reszty budynku nawet z zewnątrz.

Budynek na cokole wygląda zupełnie inaczej. Ale to nie tylko estetyka. Na piętrze cokołowym można umieścić wiele rzeczy. Nastia wyciągnęła się na żołnierskim łóżku, zamknęła oczy i postarała się nakreślić w wyobraźni idealny cokół pałacu, wychodząc z założenia: gdybym była carycą.

2

Opowieść Ciech Ciechowicza okazała się nieskomplikowana i krótka.

W 1918 roku, kiedy wzięto go do kremłowskiej ochrony, przywódców było trzech: Lenin, Trocki, Swierdłow. Lenin i Trocki wznosili się nad krajem

jak dwie skały. A Swierdłow był w cieniu. Poza murami Kremla mało kto go znał, mało kto domyślał się jego roli. Ale to on był najważniejszy. Swierdłow wywodził się z najbardziej radykalnych terrorystów. Całe życie od wczesnej młodości spędził w terrorystycznym podziemiu. I tu nagle – władca Rosji.

Swierdłow nie wygłaszał płomiennych przemówień, nie pisał fundamentalnych dzieł, które mogłyby ozdobić skarbnicę marksizmu, z nikim się nie kłócił. Ale to on wszystko kontrolował. Nie wywlekał różnic zdań ze swoimi towarzyszami z Kremla, nie wszczynał ogólnorosyjskich debat i dyskusji. Po prostu jego oponenti z jakiegoś powodu szybko umierali.

Wreszcie towarzysz Swierdłow starł się z Leninem. Ale długo się nie kłócili: Masz własne zdanie, ja mam inne, nie będziemy się spierać. Niby się pogodzili. Jakby żadnej różnicy zdań między nimi nie było. Ale raz w tygodniu wszyscy partyjni przywódcy, oprócz samego Swierdłowa, odwiedzali zakłady, fabryki, pułki i dywizje albo zwyczajnie na placach przemawiali przed masami. Swierdłow to wszystko kontrolował i zlecał: Ty uświadamiasz lud na Priesni, a ty na placu przed Teatrem Bolszoj.

Był koniec sierpnia. Tak jak teraz. Do przemawiania Swierdłow wytypował Leninowi Zakłady Michelsona. Jakoś tak się stało, że wszystkich przywódców Swierdłow wysyłał z ochroną, a Leninowi tego dnia zabrakło ochroniarzy.

Lenin przyjechał do zakładów tylko ze swoim kierowcą – nikt z komitetu zakładowego go nie powitał. Wystąpił Lenin w hali, wychodzi do swojego samochodu – nikt z komitetu zakładowego go nie odprowadza. I tu ciemnym wieczorem do Lenina strzelają nieznani ludzie. Czekał na ulicy kobietę o nazwisku Fanny Rojtblat, alias Kapłan. Żadnych dowodów przeciwko niej nie ma. Ani świadków, ani dowodów rzeczowych. Jeśli ta kobieta nie była wariatką, to przynajmniej była bardzo bliska obłąkania. Przyznała się.

Swierdłow natychmiast zabiera ją z Czeka i zamyka w swoim własnym personalnym więzieniu. Przywódca proletariatu, towarzysz Swierdłow,

mieszkał w carskich komnatach, a pod swoim gabinetem w cokole Wielkiego Pałacu Kremlowskiego przetrzymywał osobistych więźniów.

Po przeniesieniu na Kreml nikt więcej nie niepokoił przypuszczalnej wykonawczynie zamachu terrorystycznego Fanny Kapłan. Nikt jej nie przesłuchał, nie przeprowadził eksperymentów śledczych, nie porównywał odcisków palców, nie obliczył toru strzału, nie przesłuchiwał, a nawet nie szukał, świadków.

3 września 1918 roku, czwartego dnia po zamachu na Lenina, Fanny Kapłan została zamordowana na rozkaz Swierdłowa przez komendanta Kremla Paszkę Malkowa w kremlowskim garażu przy dźwięku włączonego silnika. Gdzie garaż – tam i benzyna. Malkow wrzucił ciało do żelaznej beczki, zalał benzyną i spalił.

Przypuszczalnej wykonawczynie zamachu na wodza rewolucji proletariackiej nikt nie osądził, nikt nie udowodnił jej winy, nie szukał jej powiązań. Na rozkaz towarzysza Swierdłowa – wrzucić do beczki z benzyną. I niech płonie żywym ogniem.

Nie wiadomo, czy Fanny Kapłan strzelała do Lenina. Nie wiadomo, ilu było terrorystów. Jasne, że co najmniej dwóch. Strzały padły z dwóch miejsc, z dwóch różnych pistoletów. Nie wiadomo, kto stał za zamachem, ale widać, kto zaciera ślady.

Towarzysz Swierdłow jeszcze niejedno miał na sumieniu. Zamach na Lenina wykorzystał jako pretekst do rozpoczęcia czerwonego terroru w całym kraju. Potoczyła się po przestworzach Rosji krwawa fala masowych egzekucji zakładników jako zemsta proletariatu wymierzona w wyzyskiwaczy za ich zbrodniczy zamach na towarzysza Lenina.

Ale Swierdłow trochę się pośpieszył. Zwrócił się z odezwą do kraju z informacją o tym, jak to terroryści strzelali do Lenina... 40 minut przed pierwszym strzałem. Jeszcze Lenin w brudnej półciemnej hali rozpowiadał o cudach przyszłych dziesięcioleci, wykonawcy aktu terrorystycznego w swojej kryjówce nerwowo zerkali na zegarek, a towarzysz Swierdłow na

Kremlu już wiedział: Popelniono przestępstwo!

Swierdłłow miał pecha, bo rany Lenina nie były śmiertelne. Lenina zabrano do podmiejskiej posiadłości i tam leczono. W tym czasie Swierdłłow już otwarcie aspirował do głównej roli. Teraz podróżował po kraju w carskim pociągu, teraz on, jak słońce, okazywał swe oblicze tłumom, teraz jego portret niesiono podczas pochodów przed portretami Lenina i Trockiego.

Lenin przeżył. Wydobrzył. Wtedy Swierdłłow na wszelkie sposoby próbował nie wpuścić Lenina na Kreml, tłumacząc to troską o zdrowie. Ale Lenin wrócił. Dla towarzysza Swierdłłowa zaczęła się zła passa. A to w nocy w Moskwie jego samochód zaatakowali nieznani sprawcy, a to nagle zapaliła się jego carska sypialnia, przy czym drzwi, dla bezpieczeństwa, ktoś zamknął od zewnątrz. Na szczęście w oknach nie było krat, więc władca wyskoczył.

W marcu 1919 roku Swierdłłow wracał do Moskwy z podróży po kraju. Pociąg pancerny *Karol Marks* na czele, za nim zwyczajnie wyglądający, ale z przepychem urządzonego w środku pociąg władcy Rosji. Na końcu skład z łotewskimi najemnikami. Na stacjach dużych miast przy dźwiękach orkiestry pojawiał się towarzysz Swierdłłow w drzwiach wagonu, machał do wyjących zwolenników białą dłonią.

Ale tam, gdzie jest stacja, tam remont torów, wojna domowa trwa, więc są tu podkłady, belki, śruby, łubki, którymi się łączy tory. Nie wiadomo, czy zorganizował to Lenin czy ktoś inny, czy był to spontaniczny skutek przejawu gorącej miłości klasy robotniczej do rodzimej władzy, ale Swierdłłowa obrzucono olbrzymimi śrubami. Ochrona nie zdążyła go zastrzelić, no i jedna z nich ciężko grzmotnęła go w łeb. Wystarczyło. Miał Lenin w tym swój udział czy nie, ale po pogrzebie Swierdłłowa, popłakawszy nad jego grobem, natychmiast wyrzucił komendanta Kremla Paszkę Malkowa, który zacierał ślady wyczynów Swierdłłowa.

Właśnie po tym Ciech Ciechowicz postanowił powoli wycofać się z ciężkiej pracy ochroniarza ze względów zdrowotnych. A jakie mogą być

względy, skoro zdrów był jak byk? Tak po prostu się nie zwolnisz. Do ochrony przywódców to jak do bandy – droga tylko w jedną stronę. Bez wyjścia. Ciech Ciechowicz znalazł wyjście: przestał poznawać ludzi, śmiał się bez powodu, krzyczał przez sen, za dnia sam ze sobą rozmawiał różnymi głosami. Wysłano go na leczenie. Leczenie przeciągał. I jakoś powoli się zgubił. Zawód sobie wybrał taki, żeby nie siedzieć w jednym miejscu.

– Świetnie, Ciech Ciechowiczu, tylko jaki związek ta cała historia ma z Jagodą?

– Bezpośredni. Jagoda jako dziecko i młodzieniec pracował u jubilera, ojca Swierdłowa, mieszkał z jego rodziną. Gienrich Jagoda i Jaszka Swierdłow razem dorastali. Jagoda ożenił się z jakąś krewną Swierdłowa. Wszystkie jego awanse są z nadania Swierdłowa. Jagoda jest towarzyszem ciemnych sprawek Swierdłowa.

– I co dalej?

– Dalej najważniejsze. Zabili Swierdłowa, a jego carskiego sejfu nie zdołali otworzyć. Był to sejf nad sejfami. Dla carskich skarbów został specjalnie przywieziony z Wielkiej Brytanii na krążowniku, a potem dodatkowo u nas przerobiono drzwi. Swierdłow trzymał w tym sejfie najważniejsze rzeczy. A gdzie klucze? Nie ma kluczy. Jakow Michajłowicz nikomu nie ufał. Osobiście z dziesięciu chłopca wyciągałem ten zamknięty sejf dźwigiem przez okno z jego gabinetu.

– Gdzie jest teraz?

– Wówczas przekazaliśmy ten sejf do kremlowskiego magazynu. Myślę, że tam został. Mogą tam być dokumenty o przygotowaniach do zamachu na Lenina. Może i na Jagodę coś się znajdzie. Musimy otworzyć sejf. W obecności świadków. Przeczytać tamte dokumenty.

– Otworzemy.

– Trzeba tylko wymyślić jakieś uzasadnienie, że nagle przypomniał nam się o sejfie, który już prawie dwadzieścia lat stoi zamknięty.

– Wymyślimy.

Ciech Ciechowicz dostał pod swoją komendę *Naczspecrembud-12*. Nie będę wam teraz opisywał tego pociągu. Może innym razem. Jeśli nie zapomnę. Z zewnątrz przypomina skład remontowy. Kamuflaż ma taki, żeby przykuwał jak najmniej uwagi.

Pierwsze zadanie Ciech Ciechowicza – dostarczyć do Leningradu trzech pasażerów: Gryfa, Luśkę i Żmijojada. Po co ma ich wieźć, czego tam zapomnieli, nikt mu nie wytłumaczył. Sam się nauczył, żeby o nic nie pytać: skoro powiedzieli, że jadą do Pitra, to znaczy, że jest potrzeba.

Luśce i Żmijojadowi Gryf też nic nie wytłumaczył.

Dotarli bez przygód. Szybko, bez przystanków. Ciech Ciechowicz podrzucił Żmijojadowi modną książkę, *Eksperyment inżyniera Garina Aleksego Tołstoja*. Żmijojad otworzył ją i przez całą drogę nie mógł się oderwać. A Luśka rozgościła się w wolnym przedziale, po mistrzowsku rozrzuciła talię kart – zwinność rąk wymaga stałego treningu.

Chołowanow tylko raz do niej zajrzał.

– Ludmiło Pawłowna, ty pewnie pod ubraniami cała jesteś wymalowana tatuażami?

– Ach, Aleksandrze Wasiljewiczu, cały czas chciałam, ale jakoś nie było możliwości. Marzyłam o tym, żeby w delikatnych miejscach mieć coś chwytającego za duszę: Kochaj mnie, a ja – ciebie. Ale mówią, że szczęśliwe są tylko te rysunki, które zostaną namalowane w więzieniu. A ja jeszcze tam nie byłam. Nie mam w delikatnych miejscach rysunków. Chcesz sprawdzić?

A oczy bezczelne jak u Żmijojada, kiedy wynosił walizkę.

W Leningradzie *Naczspecrembud-12* przyczał się na jakimś porośniętym trawą ślepych torze między murami opuszczonych hal fabrycznych – brudne

okna, powybijane szyby. Ciech Ciechowicz został w pociągu. A Chołowanow, Luśka i Żmijojad zniknęli.

Na czyjś rozkaz zjawił się samochód. Akurat na przyjazd pociągu. Minuta w minutę. Tu wszystko chodzi jak w zegarku. Nie tak jak u towarzysza Jagody na spotkaniu z kurierem z Kołomy.

Z dworca – na Wyspę Kriestowską. Do jachtklubu.

– Przecież to jest to samo miejsce, skąd inżynier Garin, uciekając przed pościgiem, wprowadził *Bibigondę* – najlepszy jacht wyścigowy?

– Tak, Żmijojadzie, to jest właśnie to miejsce.

– I... po co tu jesteśmy?

– Zaraz zobaczysz.

Tam, gdzie kiedyś inżynier Garin odciął liny *Bibigondy*, teraz wśród lasu masztów unosiły się na falach dwa kutry torpedowe. Kadłub przy kadłubie.

– A niech to!

– To, Żmijojadzie nie są dwa kutry, tylko jeden. Połączony. Dwa korpusy są prawie wciśnięte w siebie. Między nimi – cztery wyrzutnie torped. Pięterowo. Dwa na dwa. Konstruktor samolotów Andriej Mikołajewicz Tupolew stworzył kuter torpedowy G-5 – technologie lotnicze, silniki lotnicze i odpowiednia prędkość. Nikt na świecie takiego nie ma. Kuter przyjęto do uzbrojenia. Ale Tupolew się nie uspokoił. Z własnej inicjatywy połączył dwa w jeden. Powstał katamaran. 2-G-5. Właściwości żeglugowe rewelacyjne. Testy zakończono. Ale do uzbrojenia jeszcze nie przyjęto kutra. Być może nigdy go nie przyjmą. Dowódcy marynarki chcą czegoś prostszego. Zwykły G-5 im wystarcza. Tymczasem my wykorzystamy ten połączony kuter do własnych celów, udamy, że wszystkie nasze wycieczki morskie to dalsza część testów. Zapraszam!

Kubryk okazał się całkiem znośny do zamieszkania przez ludzi. Przypominał wagon z miejscami do leżenia: dolna półka, górna i mikroskopijny stolik. Nie ma tylko okna. Trochę mniej miejsca – jakieś rury

biegną wzdłuż ścian, kurki, przyrządy pomiarowe z tarczami, dwie czerwone gaśnice, specjalny telefon, żeby słuchawka podczas rejsu się nie majtała.

Kapitan z załogą w składzie jednego nawigatora i jednego mechanika – w prawym kadłubie, pasażerowie – w lewym.

Wydał kapitan jakieś polecenia w niezrozumiałym morskim języku. Silniki nie zawyły, a cicho zamruczały, jak dwa potulne kotki. Kuter odbił od brzegu i pomknął po falach, przeskakując z jednej na drugą. Gdy znaleźli się daleko od brzegu, silniki wreszcie zawyły. Dzieło Tupolewa nie tnie fal, a prześlizguje się po nich, ścinając ich pieniające się grzbiety. Pasażerów dopadły mdłości. Luśka chciała grać ze sobą w karty, nie dało się. Statek drży, rzuca go tak, jak my przerzucamy z ręki do ręki gorący kartofel prosto z ogniska, trzęsie nim jak młotem pneumatycznym w dłoniach górnika Stachanowa. I ten piekielny huk. Dusi odór spalonego oleju. Ale za to jaką osiągnęli prędkość!

Nikt nie liczył, ile godzin tak pędzili. Nie mieli do tego głowy. Inna myśl kołatała się w głowie: Niech to się jak najszybciej skończy.

Skończyło się głęboką nocą.

Kapitan zgasił silnik. Nieprzenikniony mrok. Na Bałtyku wrzesień jest sztormowy. Jednak dzisiaj mieli szczęście. Nie było sztormu, tylko huštało nimi niemiłosiernie. Marynarz wyciągnął na pokład olbrzymi gumowy koc, podłączył do niego jakąś gumową rurkę, coś odkręcił, zasyczało coś w kocu, rozbuchało go, zmieniając w gumową łódź.

Marynarze na pokładzie uwijają się przy łodzi, Gryf w kubryku poucza Luśkę:

– O tym, jak zwinęliśmy kurierowi z Kołymy walizkę, wie tylko nasza trójka. Luśka, tu, w gumowym worku, twoja część. Połowę dałem ci w złotym piasku, drugą policzyłem w walucie: amerykańskiej, francuskiej, fińskiej. To twój chiński paszport. Legalny. Zaraz odpłyniesz łódką do brzegu. Finlandia to ogromny kraj, a ludzi w niej mało. Wybraliśmy ci takie miejsce do lądowania, gdzie nikogo nie powinno być. Jeżeli ktoś cię

zatrzyma, powiesz, że mieszkałaś w Chinach. Tam, w Harbinie, zebrali się tylko Rosjanie, że na całe państwo starczy. Dlatego nie znasz języków, oprócz rosyjskiego. Z Chin przez ocean dotarłaś do Europy, przez Finlandię przedostałaś się do Pitra w poszukiwaniu skarbów swojej babci-kupcowej. Najlepiej większą część swojego dobytku od razu schowaj gdzieś na brzegu i dobrze zaznacz. Jeżeli cię później zatrzymają, powtórzysz tę samą historię, ale z innym zakończeniem: zamierzasz szukać skarbów, ale jeszcze nie przedostałaś się przez granicę.

– Dokąd mam iść dalej?

– Dokąd będziesz chciała. Najlepiej do Francji. Tam jest mnóstwo Rosjan. Rozejrzysz się, przyzwyczaisz do tamtego życia, potem wrócisz tu po swoje skarby. Starczy ci na całe życie. Pod warunkiem, że od razu wszystkiego nie przegrasz w karty.

– Więc to na zawsze?

– A co z taką kasą będziesz robiła w Związku Radzieckim?

– Ale ja nie chcę nigdzie wyjeżdżać.

– Z takimi pieniędzmi u nas cię albo zamordują, albo wrzucą do więzienia.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

– Jak to nie potrzebujesz? Przecież sama mówiłaś, żeby podzielić na trzech... Podzieliłem. Oddaję ci twoją część. A na dokładkę legalny paszport. Wywozłem cię na morze, wsiadaj do łódki, wiosłuj do brzegu.

– Żartowałam.

– Ty żartowałaś, a ja nie rozumiem takich żartów. Skoro tak żartujesz, to znaczy, że w głębi duszy tak myślisz.

– Nie chcę twoich pieniędzy. Nie chcę wyjeżdżać.

– Bez pośpiechu. Wsiadaj do łódki i zastanów się. Masz godzinę do namysłu. Kapitan z załogą siedzą pod pokładem. Nie muszą wiedzieć, co się dzieje. Myślę, że przerzucamy do Finlandii szpiega. My ze Żmijojadem w

drugim kadłubie zagramy w karty, a ty wsiadaj do łodzi i zastanawiaj się nad swoimi żartami. Jak zechcesz zostać z nami – zostaniesz. Zdecydujesz się odejść ze złotem i pieniędzmi – odejdiesz. Wolna wola. Żebyś nie zmarzła, masz moją kurtkę. Jest ciepła, nieprzemakalna. Pistolet masz własny. Przy okazji, skąd go masz? Jeżeli zabrałaś umarlakowi, lepiej wyrzucić do morza, bo się na nim spalisz. Dam ci inny.

Luśka nic nie odpowiedziała. Błysnęła tylko spojrzeniem jak pantera w zasadzce, szarpnęła z rąk Gryfa ciepłą kurtkę, złapała ciężki worek z pieniędzmi i złotym piaskiem, wygramoliła się na pokład, z impetem trzaskając drzwiami.

Gryf i Żmijojad zostali sami.

Nagle Gryf wyciąga drugi gumowy worek.

– To, Żmijojadzie, twoja część i twój chiński paszport. Jeszcze jedną łódź zaraz napompujemy. Masz godzinę na podjęcie decyzji.

– Towarzyszu Chołowanow, za kogo mnie masz? Ja nie potrzebuję takiego szczęścia. Nie będę się zastanawiał, zostaję z wami.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie chcę dla siebie innego losu.

– Dziękuję, Żmijojadzie. Rozdaj karty. Zagramy. Mamy godzinę.

5

Gra nie szła. Żmijojad rzucił talię.

– Jednego, towarzyszu Chołowanow, nie mogę zrozumieć. Po co kusiłeś Luśkę? Po co dałeś jej paszport, pieniądze, złoto, dlaczego pozwoliłeś uciec?

– Wierzę, że nigdzie nie ucieknie. A jeżeli zostanie z nami, to można jej będzie później zaufać w każdej akcji. Powierzyć każdy skarb.

– Niepotrzebnie bawisz się w prymitywną psychologię. Przecież ją

obraziłeś. Może odejść nie dla pieniędzy i dostatniego życia we Francji, a tobie na złość.

– Zobaczymy.

Obaj nadstawili uszu. Wydawało się, że gumowa łódź uderzyła o duralową burtę kutra. A może to tylko szum fal. Obaj spojrzeli na zegarek: Czy długo jeszcze?

– Towarzyszu Chołowanow, wobec tego wytłumacz mi co innego. Właśnie kończę czytać książkę o inżynierze Garinie. I niczego nie mogę zrozumieć. Jak to możliwe – inżynier Garin przejął władzę nad najbogatszymi państwami na świecie, nad setkami milionów ludzi, i to wszystko bez udziału własnego wywiadu?

– Cóż, Losza Tołstoj jest dobrym pisarzem, ale czegoś nie zrozumiał w kwestiach kierowania masami. Bez takich jak my Garin nie utrzymałby władzy ani jednego dnia. Potrzebowałby Żmijojadów, ludzi o wszechstronnych zdolnościach, podobnych do ciebie.

– No, skoro Dupalin bez nas nie może się obejść, to co dopiero jakiś tam Garin.

– Właśnie. I prawdziwy Żmijojad to nie ten, co pożera węże, a taki, kto pokona skrzydlatą żmiję, przeklętą gadzinę.

Znowu obaj zamilkli.

Godzina się wlekła strasznie. Ale wszystko kiedyś się kończy. Gryf wyrzwał przez właz, jęknął: ani łodzi gumowej, ani Luśki i jej skarbów. Odeszła.

Zaklął siarczyście. Kazał kapitanowi wracać.

6

W Wielkim Kremlowskim Pałacu towarzysz Stalin ma własne kino. Miękkie skórzane fotele. Pięć foteli w rzędzie. Cztery rzędy. Centralne miejsce w pierwszym rzędzie – dla towarzysza Stalina. Pewnego razu usiadł w tym fotelu i mu się spodobało. Nikt więcej nie robił na to miejsce

zakusów. Połowa miejsc na tej sali podczas dowolnego pokazu jest pusta. Dlatego że trafić do stalinowskiego kina to wielki honor. Nie każdego się tutaj zaprasza.

Dzisiaj (po raz osiemnasty) delektujemy się filmem *Cyrk*. Towarzysz Stalin pokochał to arcydzieło radzieckiej kinematografii od pierwszego wejrzenia. Tym arcydziełem wiele razy częstuje swoich najdroższych gości. Tak będzie do 1938 roku, aż pojawi się *Wołga, Wołga*, którą towarzysz Stalin przez długie lata obejrzy ponad sześćset razy. Nakręcił to dzieło ten sam Grigorij Aleksandrow. W głównej roli wciąż ta sama Lubow Orłowa. Ale to przyszłość. A teraz nasz radziecki cyrk lśni w całym blasku. I rozbrzmiewa z ekranu uroczysta melodia „Nie znam innego takiego kraju, gdzie tak swobodnie oddycha człowiek”... I dalej: „Nikt na świecie nie potrafi tak kochać i śmiać się jak my”.

Szczera prawda. U nas nawet klauni na arenie chichoczą i przewracają się najlepiej na świecie.

Gienrich Grigorjewicz Jagoda (trzeci rząd, ostatnie miejsce po lewej) szturchnął swojego sąsiada, sekretarza Komitetu Centralnego Mikołaja Iwanowicza Jeżowa: Przecież ta melodia mogłaby zostać hymnem Związku Radzieckiego. Mikołaj Iwanowicz skinął głową: Dobry pomysł, dlaczego nie? Gdzie jeszcze tak swobodnie oddycha człowiek?

Dzisiaj towarzysz Stalin nieco zmienił program. Od razu po *Cyrku* – niemiecki film dokumentalny, nakręcony w dżungli Ameryki Południowej. Film bez tłumaczenia. Ale wszystko jest jasne bez słów. Główna bohaterka to paragwajska anakonda, prawie dwunastometrowa, żeby nie skłamać. Właśnie dostała się do osady i wyciągnęła się jak czarny rurociąg wzdłuż białej ściany wiejskiego kościółka. Kamera filmuje obrzydliwe stworzenie od ogona, powoli przesuwając się do głowy. Odrażające ciało robi się coraz grubsze. Gdzieś w połowie to już jest splot grających mięśni, którego nie można objąć dwoma rękami. Potem od połowy ciało powoli się zwęża. Głowa, leniwie drzemiąca w słońcu. I nagle – skok na kamerę. Kamera spada. Na ekranie przewracają się obrazy. Nie wiadomo, co się stało z

odważnym operatorem. Najważniejsze jest co innego. Na pozór senna anakonda bez uprzedzenia, bez jakiegokolwiek oznaki agresji, nagle rzuciła się na kamerę. Ale widzowie odczuwają to jak skok w kierunku sali. Wszyscy obecni jak jeden podskoczyli. Moim zdaniem ktoś nawet krzyknął. Śmieje się tylko towarzysz Stalin. Albo film widział już wcześniej i był przygotowany na ten skok, albo naprawdę ma nerwy ze stali.

Potem anakonda pływała w rzece. Walczyła z krokodylem. Udusiła go i połknęła. Było wiele atrakcji. Ale oto na ekranie pojawił się jadowity wąż może dwumetrowej długości. Na swojej drodze spotkał pięciometrowego tygrysiego pytona. Zabił go. I połknął. Co w tym dobrego? Dobre jest to, że wąż nie ma ani nóg, ani skrzydeł, ani rogów – nic nie przeszkadza w połykaniu. Dusiciel się najadł i gotów był zapaść w błogi sen sprzyjający trawieniu... Ale tu pojawia się anakonda. Nie czas na sen. Trzeba się ratować. Przed anakondą jednak trudno uciec! Skok! Potworne szczęki anakondy zamknęły się na gardle pytona. Dwa ciała splotły się w pulsującym uścisku. Nagle oba zamarły. Anakonda, przekonawszy się, że pokonała pytona, powoli rozluźnia szczęki i zaczyna się połykanie. Bardzo powoli olbrzymi pyton znika w odrażającej paszczy...

Chołowanow od dziecka nie lubił węży. Czuł wobec nich obrzydzenie i jakąś niezdrową ciekawość. Chołowanow siedzi w czwartym rzędzie i nie wiadomo dlaczego myśli o skradzionej w Jarosławlu walizce. Dlaczego nagle przypomniał sobie o walizce? No tak! Żmijojad – Szyrmanow. Zuch. Po mistrzowsku załatwił sprawę. Gdyby tak towarzysz Jagoda wiedział, że Chołowanow, który siedzi za nim, jest organizatorem i pomysłodawcą po mistrzowsku przeprowadzonego porwania. Ale bez Szyrmanowa i Luśki-przynęty byłoby to niemożliwe. Szyrmanow to swój chłop, chociaż ponad miarę brutalny, krnąbrny i zادیorny. Chołowanow od dawna szukał sobie do pomocy właśnie takiego łotra-złotej rączki.

A prawdziwy żmijojad to oczywiście paragwajska anakonda powoli połykająca tygrysiego pytona.

– Towarzyszu generalny sekretarzu bezpieczeństwa państwowego, towarzyszu Chołowanow proszę o przyjęcie go w bardzo ważnej sprawie. Mówi, że na krótko.

– Zawołaj go.

– Ale teraz w poczekalni siedzą komisarz bezpieczeństwa państwowego 3 rangi towarzyszu Zapadny, a po nim przyjdzie komisarz bezpieczeństwa państwowego 1 rangi towarzyszu Zakowski.

– Poczekają. Zawołaj Chołowanowa.

Do wizyt Chołowanowa Jagoda miał zawsze bardzo szczególny stosunek. Jagoda pamiętał nawet we śnie, nawet w malignie, że to człowiek Stalina. Jeżeli Chołowanow coś mówi, mogą to być nie tylko jego własne słowa, ale samego Dupalina. A z Dupalinem trzeba się liczyć.

– Witajcie, towarzyszu Chołowanow.

– Dzień dobry, towarzyszu Jagoda.

– Jakież dobre wieści, towarzyszu Chołowanow?

– Towarzyszu Jagoda, potrzebuję waszej pomocy.

– Pomożemy, czemu nie. Słucham.

– Na polecenie towarzysza Stalina zająłem się poszukiwaniem skarbów zgromadzonych przez burżuazję i inne klasy wyzyskiwaczy, ale ukrywanych przed władzą robotniczo-chłopską. Na potrzeby industrializacji poszukujemy na gwałt złota, pieniędzy i innych kosztowności.

– I jak wam idzie, towarzyszu Chołowanow?

– Mamy sukcesy. Ale dzisiaj wydarzyło się coś niezwykłego, co wzbudziło nasz niepokój.

– Co takiego?

– Zadzwoił anonim, który poinformował o ciekawej metodzie

ukrywania. Okazuje się, że cwaniacy chowają złoto do trumien znanych osobistości i uroczyście je grzebią.

– A do zwykłej trumny nie można włożyć?

– Można. Jednak lepiej do prominentnej. Kto się odważy rozkopać grób wybitnego dowódcy? Przecież znajdują się na chronionych cmentarzach! Różnego autoramentu niedobitki wrogów proletariatu żywią nadzieję, że nasza ukochana władza robotniczo-chłopska kiedyś upadnie, a oni odzyskają swoje skarby. A zanim to nastąpi, złoto i kosztowności pozostaną dobrze ukryte przed rewizjami i konfiskatą.

– Bardzo ciekawe.

– To tylko początek. Niedawno pochowaliśmy naszego ukochanego, przedwcześnie zmarłego komandarma 2 rangi Bucetisa. Anonim powiadomił, że w jego trumnie nieznani sprawcy schowali prawie 30 kilo złotego piasku.

Ludowemu komisarzowi spraw wewnętrznych, generalnemu komisarzowi bezpieczeństwa państwowego Jagodzie zrobiło się słabo.

– I... czym mogę służyć?

– Jak to czym? Gienrichu Grigorjewiczu, trzeba wykopać trumnę.

– Kopcie.

– Gienrichu Grigorjewiczu! Żartujecie. Jak to? Bez zezwolenia ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR?

– Zezwalam.

– Gienrichu Grigorjewiczu, zróbmy to razem. Powołajcie komisję, wystawcie ochronę, odgradzimy grób brezentową zasłoną i będziemy kopać.

Bardzo nie podoba się Żelaznemu Gienrichowi to, że ta kanalia zwraca się do niego raz po imieniu, a innym razem po nazwisku. Bardzo by chciał, żeby zwracano się według stopnia albo funkcji. Ale Gienrichowi podoba się, że przyszedł do niego człowiek od Dupalina, żeby prosić o pozwolenie. I

jednocześnie czuje niepokój: Czy to aby nie jego kilogramy złotego piasku? Nie! Nie! Nie! Walizka ze złotym piaskiem zniknęła w ubiegłym tygodniu, a komandarma pochowano wcześniej. Co się za tym wszystkim kryje?

Rozdział 11

1

Kawałek Cmentarza Nowodziwiczego otoczyli krzepcy panowie w szarych płaszczach i kaszkietach na bakier. Wtedy jeszcze moda była na tadżyckie i turkmeńskie tiubietiejki. Przyjaźń narodów! Sam Maksym Gorki, wielki pisarz proletariacki, w ten sposób demonstrował miłość do narodów Azji Środkowej. Moda ta trwała aż do epoki podboju kosmosu. Więc tamci również – niektórzy w turkmeńskiej tiubietiejce, niektórzy w kaszkiecie, a niektórzy nawet w kapeluszach. Przedpola wyznaczonej części nekropolii szczelnie zamknięto. Dookoła mogiły rozłożono brezent i postawiono namiot, żeby otworzyć grób.

Rozkopali szybko. Ziemia była świeża. Wyjęli trumnę, przenieśli do namiotu. Teraz precz wszyscy niepowołani! Nikt nie ma prawa wiedzieć, co tu się dzieje. W namiocie zostało pięciu: Jagoda ze swym wiernym sekretarzem, starszym majorem bezpieczeństwa państwowego Pawłem Pietrowiczem Bułanowem, Chołowanow i dwóch szczególnie zaufanych katów z Więzienia Butyrskiego. To oni otworzą trumnę i będą przewracać umarlaka. Rachmistrza, który ma liczyć skarby, też nie wpuszczono do środka. Gdy tylko złoto załśni – zapraszamy.

Kat małym łomem, takim samym, jakim złodzieje zrywają delikatnie kłódki z drzwi, podważył wieko trumny, żeby nie uszkodzić brzegów. We dwóch zdjęli wieko, odstawili na bok. Jeżeli nie wiesz, że pod spodem coś ukryto, to nie zwrócisz uwagi na nieco podniesione ułożenie ciała. A jeżeli wiesz, to najwyższa pora krzyknąć: W rzeczy samej coś tam jest!

Kaci są w gumowych fartuchach i rękawiczkach. W tych samych, w których wykonują wyroki. Złapali za ramiona i nogi, wyciągnęli walecznego dowódcę wojny domowej, który zyskał wiekopomną chwałę tłumieniem chłopskich buntów, masowymi egzekucjami zakładników i chłostami

ciężarnych chłopek.

Gdyby tylko dzielny dowódca wiedział, jakie miał szczęście, przenosząc się na tamten świat w 1936 roku. W następnym umierałby w innych okolicznościach i nie mógłby liczyć na wystawny pochówek.

Ale się wywinął. Trumna rzeźbiona i ozdobna, w środku wyłożona czerwona tkaniną. Zerwali tkaninę, wyjęli deski. A tam nie złoto, a kolejny umarłak. Goły. Wyciągnęli go. Oczekiwanych skarbów nie było.

Chołowanow drapie się po potylicy:

– Co by to miało znaczyć?

2

– Towarzyszu Chołowanow, Luśka wskazała nam miejsce, gdzie pogrzebano kuriera z Kołomy. Po jaką cholere mówiesz o tym Jagodzie?

– Żmijojadzie, odwróciłem podejrzenia od siebie i innych. Teraz jest pewien, że nie mamy z tym nic wspólnego. Będzie szukał wrogów wszędzie, ale nie wśród nas. Dziękujmy Luście, że wskazała miejsce. Szkoda, że odeszła. Z takiego materiału można stworzyć znakomitego żołnierza tajnego frontu.

3

Z kim może się poradzić generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego? Tylko z wiernym giermkim, towarzyszem Bułanowem.

– Co to wszystko ma znaczyć? Dupalin dowiedział się o naszych interesach, złapał i zamordował kuriera, zakopał, a teraz pokazał miejsce, dając do zrozumienia, że o wszystkim wie?

– Oczywiście, że nie. Gdyby Dupalin albo jego ludzie przechwycili naszego kuriera, to po co mieliby go zabijać? Zatrzymaliby go jako bardzo ważnego świadka.

– A może to pomysł Chołowanowa?

– Po co mu to? Jeżeli to on przechwycił kuriera i zorganizował kradzież ładunku w Jarosławlu, to bardziej korzystne dla niego byłoby pozostawienie kuriera przy życiu. Nie, zdecydowanie to nie jest on.

– Ktoś spiskuje przeciwko nam, ale nie mogę zrozumieć kto. Więc ktoś przechwycił i zamordował kuriera, zapakował go do trumny z podwójnym dnem, a później nagle zadzwonił do Chołowanowa: Szukajcie skarbów w trumnie. Stop! A czy nie powinniśmy się zająć pochodzeniem trumny? Skąd się wzięła?

– Już sprawdziłem. Bardzo dobrą trumnę w przystępnej cenie zaproponował komisji pogrzebowej przedstawiciel jakiejś spółdzielni pogrzebowej. W trakcie dochodzenia okazało się, że ten przedstawiciel to sam od dawna poszukiwany przez milicję kryminalną bandyta o ksywie Szajtan.

– Gdybyśmy go tak...

– Kryminalni znaleźli Szajtana z kulą w głowę. Razem z nim znaleziono ciało innego bandyty, ksywka Arkasza-Chlust.

– Wielka szkoda.

– To nie koniec. Obaj zostali zastrzeleni z pistoletu Browning FN1910. Kaliber 7,65 mm. Właśnie z takiego pistoletu padł pierwszy strzał wojny światowej, gdy w Sarajewie Gawriło Princip zabił arcyksięcia Ferdynanda. I właśnie taki pistolet miał nasz kurier.

– Wnioski? Jakieś błędne koło. Nasz kurier ze swojego browninga zabił dwóch bandytów, a później oni zamówili mu trumnę z podwójnym dnem. Albo to oni zakopali go w trumnie z podwójnym dnem, a on ich zastrzelił. Brednie!

Przez cały rok Stalin pracował do upadłego. A lato było wyjątkowo ciężkie. Sporo załatwił. Między innymi, co najważniejsze, przeprowadzono proces pokazowy. Przeprowadzono świetnie. Zinowiew, Kamieniew, Smirnow i cała ich zgraja zostali zdemaskowani w obliczu kraju i świata. Ponieśli surową, ale zasłużoną karę. Przeprowadzenie procesu wymagało nie lada wysiłku. Nie wszyscy, oj, nie wszyscy w Komitecie Centralnym rozumieją konieczność drastycznych metod. Stąd się bierze ciężki opór. W kolejce – nowy proces, nowa grupa przywódców, którzy okazali się wrogami, szpiegami, sabotażystami. Ale zanim wytoczy się wrogom proces, trzeba uzyskać całkowite poparcie w Komitecie Centralnym. A Komitet Centralny to samolubni bojarzy zgromadzeni wokół dobrego cara, to sfera psów. Jeżeli poczują się zagrożeni, zagryzą przywódcę. Czekają nowe brutalne starcie. Jesienią albo na początku zimy trzeba przeprowadzić plenum Komitetu Centralnego. Problem polega na tym, że jeżeli tuzin najważniejszych bojarów połączy siły, wystarczy to, żeby sekretarza generalnego Komitetu Centralnego wyrzucić z wysokiego stołka. Mogą to zrobić na plenum. A gdyby wyrzucony sekretarz generalny miał ochotę się stawiać, można by go na miejscu wziąć pod straż...

Dlatego sekretarz generalny Komitetu Centralnego towarzysz Stalin potrzebuje urlopu. W tej chwili. Przed decydującymi starciami jesieni i zimy, przed kolejnym 1937 rokiem. Lekarze nalegają, bo skacze mu ciśnienie. Trzeba odpocząć. Dlatego Stalin jedzie do Jałty.

Towarzysze przywódcy mają oddzielną stację kolejową. Od Dworca Kurskiego linia boczna prowadzi do zajezdni. Ale to tylko z zewnątrz zajezdnia jest okopcona. W środku to nie jest zajezdnia, to specstacja. Wewnątrz wszystko lśni i świeci. Architekt Iofan się postarał. Włożył serce i państwowe pieniądze. Dla przywódców nie szkoda.

Stalinowski pociąg już z samego rana stoi w pogotowiu przy jedynym peronie. Zebrała się nieduża grupka odprowadzających. Sekretarz Stalina, towarzysz Poskriebyszew, główny kolejarz kraju, komisarz ludowy transportu, członek Biura Politycznego towarzysz Kaganowicz, ludowy

komisarz spraw wewnętrznych towarzysz Jagoda, sekretarz Komitetu Centralnego Mikołaj Iwanowicz Jeżow, towarzysz Chołowanow, o którego stanowisku nigdy nie mówiono na głos, oraz jacyś inni towarzysze.

Stalin nigdy nie jeździł sam na urlop. Co roku jednemu z członków Biura Politycznego przypada w udziale wielki honor – wypoczynek razem z towarzyszem Stalinem. W tym roku zaszczytu dostąpił towarzysz Żdanow.

Stalin i Żdanow jeszcze nie przyjechali. W grupie osób odprowadzających toczą się rozmowy o pogodzie i o ostatnim meczu między Dynamo i Spartakiem. Towarzysz Chołowanow uśmiechnął się do Żelaznego Gienricha, skinął głową: Odejdźmy na bok. Odeszli.

– Gienrichu Grigorjewiczu...

Nieugiętego Gienricha zawsze doprowadzała do szału ta maniera zwracania się do niego w taki sposób. Powiedziane było: Generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego! Czy to nie jasne? Wszyscy już zrozumieli oprócz tego chama. Nawet sam Dupalin nazywa Żelaznego Gienricha generalnym komisarzem.

– Gienrichu Grigorjewiczu, kraj kwitnie, kraj prostuje plecy, kraj tworzy i buduje.

– Słusznie to zauważyliście, towarzyszu Chołowanow. – A w oczach przebiegłość z lekką drwiną.

– Dlatego kraj potrzebuje złota. W ilościach handlowych.

Jakby młotem zdzielono Gienricha w wątrobę. Mało się nie przewrócił, słysząc takie słowa. Ledwo się na nogach utrzymał. Nawet się uśmiechnął:

– To też dobrze powiedzieliście, towarzyszu Chołowanow.

– Mam propozycję nie do odrzucenia. Czy nie otworzylibyśmy sejfu towarzysza Swierdłowa? Od 1919 roku stoi zamknięty.

– Co to ma wspólnego ze złotem?

– Może w tym sejfie są skarby? Otworzymy i oddamy na potrzeby industrializacji!

– Próbowaliśmy. Nie da się.

– Spróbujmy jeszcze raz. Wzywam NKWD do współzawodnictwa socjalistycznego. Wystawiajcie ekipę! Ja swoją. Omówimy warunki pojedynku. Towarzysz Jeżow będzie sędzią. Towarzyszu Jeżow, Mikołaju Iwanowiczu, można was prosić na chwilę? Naradziliśmy się z towarzyszem Jagodą i postanowiliśmy...

Limuzyna Stalina wjechała pod łuki dworca. Dygnitarze się ożywili. Stalin daje Poskriebyszewowi ostatnie wytyczne. Potem poprosił Żelaznego Gienricha. O czymś poszeptali między sobą. Następny – towarzysz Jeżow. Ostatni – Chołowanow.

Gryf miał zamiar tylko życzyć towarzyszowi Stalinowi szerokiej drogi i udanego wypoczynku, ale nagle cicho, żeby nikt obcy nie usłyszał, powiedział to, czego sam po sobie się nie spodziewał:

– Może odwołamy urlop na południu. Zorganizujemy tu w Moskwie. Mamy jezioro i łódki...

Stalin zmierzył Chołowanowa nie wzrokiem szykującej się do skoku królewskiej kobry, ale beznamiętnym spojrzeniem anakondy. W nieruchomym spojrzeniu w ogóle brakowało jakichkolwiek emocji.

– Dlaczego, towarzyszu Chołowanow?

– Przeczucie, towarzyszu Stalin.

– Nie martwcie się. Wszystko będzie dobrze. Macie mi coś do zakomunikowania?

Przed oczami Chołowanowa pojawił się pociąg Chabarowsk-Moskwa w Jarosławlu. Ciężko westchnął, poprawił pasek i cicho odpowiedział:

– Nic ważnego. Szerokiej drogi, towarzyszu Stalin.

pomieszczenia za bardzo grubymi i mocnymi murami pod niezniszczalnymi sklepieniami.

Przede wszystkim to ostatnia rubież obrony w przypadku zamachu. Okna cokołowego piętra są nieduże, nieco ponad ziemią. Osłonięte grubymi kratami. To są otwory strzelnicze. Narożne i niektóre inne pomieszczenia trzeba przygotować do obrony już w stadium projektu: przy oknach zbudować pomosty dla wygody strzelców, osłonić okna metalowymi tarczami, zostawiając tylko szczeliny do ostrzału i obserwacji. Tarcze, rzecz jasna, nie są eksponowane, można je osłonić albo zdjąć. W tych pomieszczeniach należy przechowywać zapasy broni i amunicji. Tuż obok – pomieszczenia dla ochrony. I gdzieś niedaleko – służba.

Ponadto cokolwiek to winne piwnice i magazyny żywności: beczki z winem i piwem, półki zakurzonych butelek, szynki, kiełbasy, sery, sól, mąka, kiszona jabłka w beczkach, kapusta, groch.

W tych piwnicach dobrze jest przechowywać skarby.

Nastia obejrzała swoje lokum – jeszcze jeden paluszek zagięta: Można tu urządzić więzienie. A nawet cele tortur i egzekucji. Tę myśl przegoniła, nie pozwalając jej się zatrzymać.

Wiadomo, powinny tu być studnie do poboru wody. Gdzieś powinny znajdować się skrytki, w których można się ukryć i przeczekać w przypadku klęski, oraz tajne przejścia podziemne. Tak! Przejścia podziemne do innych budynków i za mury obronne, tajne przejścia do ucieczki, a również do podglądania i podsłuchiwania. No bo jak inaczej? Wielki Pałac Kremłowski wzniósł wybitny budowniczy Mikołaj I. Lud nazywał go Mikołajem Pałkinem. Ponad wszystko kochał dyscyplinę. Za najmniejsze przewinienia karał żołnierzy chłostą. Kary śmierci nie lubił. Powiesił pięciu łajdaków-dekabrystów i na tym poprzestał. A chłosta to co innego. Szpicruta to proszę bardzo. Szpicruta to nawet codziennie. Ustawi dwa szeregi po sto żołnierzy, każdy ma w ręku różgę, delikwenta przy biciu werbli ciągnięto na postronku między szeregami. I każdy żołnierz powinien uderzyć swego wczorajszego kolegę. Kara wychowawcza: żeby nie obcy, a swoi chłostali. A

który słabo uderzy, sam przez szereg pójdzie. Dwieście różg – carska norma. Dwieście to prawie śmierć. A trzysta – mogiła gwarantowana. Mimo że nie uchodziła za karę śmierci.

Kim był ten Mikołaj Pałkin? Trzecim synem Pawła I. Nigdy nie mógł liczyć na tron. Rządzić powinien był starszy syn Aleksander i jego potomkowie, a gdyby ta linia dziedziczenia się przerwała, wówczas rządzić powinien był drugi syn, Konstanty. Ale koleje losu potoczyły się tak, że w grudniu 1825 roku trzeci syn Mikołaj musiał siłą sięgnąć po władzę. Sięgnął po tym, jak zdławił śrutem z armat bunt bandy spiskowców. Czy on, Mikołaj Pałkin, ma się bać spisków? Czyż miał nie zastosować środków zapobiegających przewrotom pałacowym? Historia jego rodziny cała jest utkana ze spisków. Ojciec Mikołaja, Paweł I, został uduszony srebrną oficerską szarfą we własnej sypialni. Dziadek Mikołaja Pałkina, Piotr III, został pozbawiony tronu przez spiskowców i zamordowany. Również wcześniej zmiana władzy odbywała się w równie krwawy sposób. Córka Piotra I, Elżbieta Piotrowna, dokonała przewrotu pałacowego siłami jednej kompanii grenadierów Lejb-Gwardyjskiego Pułku Preobrażeńskiego. Kompanię tę później zmieniła w Lejbkompanię. Również sam Piotr I doszedł do władzy przez wiele przelanej krwi i kaźń strzelców. Przed nim – rebelie i bunty, samozwańcy na tronie, morderstwa i skrytobójstwa. Kim byli spiskowcy? Swoi. Pawła I uduszono za zgodą jego starszego syna Aleksandra, następcy tronu. Piotra I pozbawiła korony żona, a zamordował go jej kochanek. Piotr I pozbawił tronu siostrę.

Czy Mikołaj Pałkin mógł wznosić Wielki Pałac Kremłowski, nie przewidując możliwości podglądania i podsłuchiwania, o czym rozmawiają jego najbliżsi? Nie mógł.

Ale jak podsłuchiwać, skoro mury są niesamowitej grubości?

6

Dziewuszka, którą aresztowano w Konotopie, zasnęła, nie znajdując odpowiedzi na swoje pytanie.

Śniła się jej Lejbkompania...

Nastia Strzelecka już w dzieciństwie zasmakowała w osiemnastu zielonych tomach *Encyklopedii wojennej*. Tom dziesiąty, wydany w 1912 roku, rozpoczynał się hasłem „Elżbieta Piotrowna”. A w czternastym tomie, który ukazał się w 1914 roku, znajdował się artykuł o Lejbkompanii. Ukazywanie się *Encyklopedii wojennej* przerwała wojna światowa. Osiemnasty tom urwał się na artykule „Port Artur”.

Śniły się jej pancerniki Port Artura, a potem znowu i znowu Lejbkompania...

Pociągały ją losy władców. Szczególnie kobiet. Tych, które same sięgały po władzę, nie pytając się nikogo...

...25 listopada 1741 roku Elżbieta, córka Piotra I, siłami kompanii grenadierów Lejb-Gwardyjskiego Pułku Preobrażeńskiego dokonała przewrotu pałacowego i wstąpiła na tron. 31 grudnia kompanii tej nadano tytuł Lejbkompania. W kompanii były 364 osoby. Wszystkich pięciu oficerów zostało awansowanych na generałów, chorąży – na pułkownika, podoficerowie – na podpułkowników, trzystu szeregowych grenadierów zostało oficerami, ludziom nieposiadającym tytułów szlacheckich nadano szlachectwo dziedziczne, posiadłości ziemskie, setki chłopów pańszczyźnianych, wszystkim wydano góry złota...

A Elżbieta Piotrowna została carycą.

7

– Ciech Ciechowiczu, masz pociąg. Przejmuj dowództwo. Pierwszy kurs będzie do bardzo szczególnego miejsca. Maszyniści wiedzą, gdzie mają jechać. Poleciałem, żeby wydano ci jednego bardzo ważnego więźnia. Dostarczysz go tu. Uważaj, nie strać go. Zwieje – skręć kark. Jakby co, zabij go, ale nie wypuszczaj.

– Zrozumiałem. To ten, co będzie otwierał sejf Swierdłowa.

- Tak. To słynny Sewastian-kasiarz. Już wiele lat kibluje w więzieniu.
- A jeśli nie zechce?
- Wezmę go na ambicję.

Rozdział 12

1

Sewastiana-kasjarza Ciech Ciechowicz przejął za pokwitowaniem. Do transportu pasażerów takiego kalibru w specpociągu jest specprzedział: podłogę, sufit i trzy ściany jak tapetą wyłożono płytami ze stali, wszystkie szwy zespawali najlepsi fachowcy z Instytutu Spawalnictwa Elektrycznego towarzysza Patona. Metodą Patona spawa się najlepszy na świecie pancerz czołgowy. Ponieważ szew Patona jest mocniejszy od pancerza. Czwarta ściana – stalowa krata. Wewnątrz przedziału – dwie półki, umywalka i jakby toaleta.

Ciech Ciechowicz uprzedził więźnia, że próby ucieczki z klatki nie pozostaną bez reperkusji. Potem dodał, że ani z zawodu, ani z powołania nie był i nie będzie strażnikiem. Postawił przy samej kratce stolik, nakrył, jak przystało w gościnnych domach. W ten sposób, po przeciwnych stronach kraty, dotarli do Moskwy, siedząc przy stoliku.

Jeżeli ludzie dobrze się rozumieją, krata nie jest przeszkodą dla przyjacielskiej pogawędki, energicznej wypitki i rozważnego zakąszania. Na szczęście w specpociągu było co wypić i czym zakąścić.

Jednak nie przesadzali. Każdy znał swoje możliwości.

2

Dwóch ludzi w gabinecie Jagody na Kremlu. On sam i jego wierny sekretarz, starszy major bezpieczeństwa państwowego Paweł Pietrowicz Bułanow.

– Ktoś spiskuje przeciwko nam. Kto, nie mogę zrozumieć. Gdybym wiedział, to łeb bym ukręcił. Co z walizką?

- Szukamy, żadnych śladów.
 - Myślę, żeby podłączyć do tej sprawy Żmijojada. Chłopak sprytny i kumaty. Pracował na peronie Dworca Jarosławskiego trzy lata, może on nam podpowie, jak ta walizka mogła zniknąć.
 - Zrozumiałem. Jutro go zapytam.
 - Dobrze, że Dupalin wyniósł się na urlop. Skandal nie wybuchnie przed jego powrotem. A gdy przyjedzie, zwołamy plenum Komitetu Centralnego. Musi sobie na gwałt zapewnić większość na plenum...
 - Wielu jest przeciwko. Nie jawnie. Mamy durny system, każdy z osobna jest przeciwko, a wszyscy razem – za. Przecież znowu zagłosują na Dupalina.
 - Niech głosują. My systemy łączności weźmiemy pod ścisłą kontrolę. Reszta sama się ułoży. Najważniejsze jest nie to, jak kto będzie głosował, a to, kto będzie ochraniał plenum...
- Zarechotali obaj.

3

Obudziła się nagle. Głęboka noc. Ale widocznie spała całkiem krótko. Obudziła się dlatego, że nagle we śnie zrozumiała, jak Mikołaj Pałkin urządził system podsłuchów. Wszystko jest banalnie proste. Najważniejsze pomieszczenia na parterze. Żeby schodami kolejny raz nie chodzić. Na parterze znajdują się komnaty cara, tu są jego najbliżsi oraz najważniejsi goście. On tylko wydaje dyspozycje, kto w którym pokoju ma mieszkać! Poniżej parteru jest cokół! W cokole – wentylacja! Nie mieli wtedy wentylatorów. Wentylacja nie sztuczna, a naturalna. Car osobiście wymyślił i własną ręką zatwierdził zarządzenie! Nastię Strzelecką zamknęli w celi, okna i drzwi zamknęli na wszystkie spusty, a powietrze jest czyste, świeże powietrze ciągnie z przewiewnika pod sufitem. Dlaczego? Dlatego że wyprowadzono rury wysoko na dach, w ten sposób powstała różnica ciśnienia i obieg powietrza.

Rury z pomieszczeń w cokole idą do góry w potężnych ścianach pokoi cara... Jeżeli mądrze się do tego zabrać, jeżeli uwzględnić akustykę, jeżeli nie chować rur w murach, jeżeli uwzględnić doświadczenie minionych stuleci... Można z pomieszczeń cokołu słuchać tego, co dzieje się w pokojach nad nimi.

Dalej tylko kwestie organizacyjne: W pewnych winnych piwniczkach i arsenalach nie powinno być obcych. Z własnej sypialni można zejść po ukrytej drabinie, spacerować cokołem, zaglądać do wytypowanych pomieszczeń, podsłuchując, kogo się zapragnie.

Przewiewnik jest nad Nastią. A poniżej występ w murze, na którym można stanąć. Mikołaj na pewno miał drabinę. Szkoda, że ona nie ma. Ale występ tu też nie jest przypadkowo. Wycięto go w jakimś celu.

Twórca systemu miał tylko jeden problem: Żeby ktoś inny przypadkiem nie podsłuchał rozmów w carskich pokojach i nie odkrył systemu. Po to powinna być jakaś zupełnie prosta, ale niezawodna izolacja akustyczna.

Wdrapała się Nastia na występ, wsadziła rękę do przewiewnika, poszperała, namacała jakiś drewniany uchwyt, popchnęła go opuszkami palców. Ten nieoczekiwanie płynnie się przesunął. I Nastia wyraźnie usłyszała głosy.

– Mamy durny system, każdy z osobna jest przeciwko, a wszyscy razem – za. Przecież znowu zagłosują na Dupalina.

– Niech głosują. My systemy łączności weźmiemy pod ścisłą kontrolę. Reszta sama się ułoży. Najważniejsze jest nie to, jak kto będzie głosował, a to, kto będzie ochraniał plenum...

Zarechotali obaj.

Kabina spodobała się Żmijojadowi, zanim kapitan szeroko otworzył przed nim drzwi. Kapitan tylko je uchylił, a Żmijojad natychmiast wszystko

objął wzrokiem, wszystko ocenił. Zupełnie nieduża kabina, ale tak przytulna, że nie da się opowiedzieć słowami. Miękka skórzana kanapa, nad nią opuszczana półka do spania, wbudowana szafa, półka z książkami, stolik, okrągły iluminator.

Żmijojad jest sam. Księżyc w iluminatorze. Woda za burtą pluska, kołysze do snu. Najwyższy czas spać. Ale Żmijojad nie może zasnąć. Chołowanow zalecił mu nie pojawiać się więcej w pracy w Lefortowie. Nie masz tam nic do roboty, powiedział. Obiecywał inną pracę, dużo ciekawszą. Co może być ciekawszego od pracy wykonawcy wyroków? Choćby nawet tylko pomocnika wykonawcy?

I jak to – nie pojawiaj się w pracy? Przecież Żmijojad nie byle co, jest na służbie w GUGB NKWD ZSRR. Jeżeli nie będzie przychodził na służbę, zauważą, zaczną szukać. Co prawda Żmijojad dobrze się urządził. Wszyscy w grupie wykonawców wyroków wiedzą, że jest człowiekiem Jagody, że wykonuje jakieś szczególne zadanie, dlatego może pojawiać się w Lefortowie, kiedy mu się chce. Ale wszystko ma swoje granice. Zbyt długo nie można się nie pojawiać. No i sam Jagoda może zapytać: Czym się zajmujesz, bracie, i gdzie są wyniki?

Gdyby tak Chołowanow jakoś zwolnił Żmijojada z NKWD i przeniósł na inne stanowisko, wtedy proszę bardzo, w Lefortowie pracować nie będzie... A tak przecież zaczną szukać. Nie, czasami jednak trzeba się pojawić. Jutro z rana. Przecież lubi tę pracę. Jak bez niej żyć?

5

Żelazny Gienrich tej nocy też prawie nie spał. Ostatnią naradę w byłym gabinecie Swierdłowa skończył około drugiej w nocy. Potem zamienił kilka zdań ze swoim sekretarzem Bułanowem, a następnie po nocnej Moskwie pomknął do Kommunarki.

Ale długo nie mógł zasnąć.

Przeklęty Chołowan! Chce otworzyć sejf Swierdłowa! Przecież tylko

udaje, że szuka złota! Tej gadzinie są potrzebne dokumenty Swierdłowa! A tam przecież i na Jagodę może coś się znaleźć. Chołowan chce się czegoś dowiedzieć o zamachu na Lenina. Knuje przeciwko Żelaznemu Gienrichowi! A jako sędziego poprosił plugawego karzełka Kolkę Jeżowa.

Kiedy Żelazny Gienrich usłyszał, że Chołowan postanowił otworzyć sejf, wysłał swoich najlepszych ludzi, żeby zajęli się sejfem. Trzeba ubiec Chołowana! Wszystko, co jest w sejfie, wyczyścić. A śmiecie zostawić. Już dobę jego chłopaki majstrują wszelkimi możliwymi narzędziami przy zamku, ale nic to nie daje. Do dwunastej w południe, do początku zawodów, jeszcze jest czas, może się uda. Och, gdyby się udało!

6

Nastia obudziła się wcześniej rano od łomotu rygla. Spała w ubraniu. Powietrze jest tu czyste, ale nad ranem robi się zbyt chłodno. Lekka letnia kołdra nic nie daje. Poza tym nie zdjęła ubrania po to, żeby być przygotowaną na każdą niespodziankę.

Zazgrzytały drzwi. Pojawił się człowiek w mundurze NKGB, ale nie wiadomo dlaczego bez insygniów na naramiennikach, w okrągłych okularach przypominających koła roweru. Gość nie przedstawił się. Nastia siedzi na swoim łóżku. Gość rozsiadł się na taborecie, przykręconym do podłogi.

Ich rozmowa trwała bardzo krótko, wyszedł wyraźnie rozczarowany. To nawet nie była rozmowa, a przesłuchanie. Do Nastii czekista zwracał się grzecznie per Anastazjo Andriejewna. Zanim przyszedł, z pewnością zapoznał się z jej biografią. Bez wątpienia zrozumiał, że 23 sierpnia 1936 roku o 15.10 na pierwszym peronie Dworca Jarosławskiego Anastazji Andriejewnej nie było i być nie mogło. Żmijojad się pomylił. Człowiek w okularach przyszedł tylko po to, żeby się upewnić, że wszystko wygląda właśnie tak, nawet gorzej niż kiepsko: Złapano i zamknięto nie tę kobietę, którą trzeba...

Zrozumiała, że gość nie jest w najlepszym humorze i ten humor podczas krótkiej rozmowy jeszcze się pogorszył.

Więc postanowiła mu pokazać, jak się prowadzi przesłuchanie.

– Patrzcie mi w oczy. I odpowiadajcie, co chcecie.

Posłuchał, sam nie wiedząc dlaczego.

– Odgadnę wasz rok urodzenia. To było po roku 1890. Możecie odpowiadać „tak”, „nie”, „nie wiem”. Odpowiedzi nie mają znaczenia. A więc: 90?

– Nie wiem.

– 91?

– Nie!

– 92?

– Tak! Dokładnie!

– 93?

– Możliwe.

– 94? Patrz w oczy! 94?

– Dlaczego nie?

– 95?

– Też możliwe.

– 96?

– Nie mam pojęcia.

– 97?

– Raczej tak niż nie.

– Nie trzeba mnie oszukiwać. Urodziliście się w 1895 roku. Miesiąc styczeń?

– Tak. Styczeń.

- Luty?
- Tak. Luty.
- Marzec?
- Tak. Marzec.
- Kwiecień?
- Tak. Kwiecień.
- Kłamstwo. Urodziliście się w lutym. Podać datę?
- Nie, nie – nagle zdenerwował się człowiek w okularach. Zebrał papiery i zniknął za drzwiami, zgrzytając rygłem.

Nastia czuła jakimś zwierzęcym instynktem, że teraz nie może okazać słabości. Słabi obrywają. Powinna pokazać siłę. Ale jak? Tylko tak, demonstrując, że okularnika mimo wszystko pokona, cokolwiek by wymyślił.

7

Wczesny ranek. Wrzesień. Słota. Zimno. Nie można opanować ziewania. Żmijojad okazał otwartą przepustkę przy wartowni w Lefortowie, minął jeszcze jeden punkt kontrolny i kolejny. Zanim drzwi do siebie popchnął nogą, powtórzył w myślach żartobliwe zdanie, przygotowane wcześniej: „Co, chłopaki, pewnie zapomnieliście, kim jestem?”

Otworzył drzwi i znalazł się przed starszym majorem bezpieczeństwa państwowego Pawłem Pietrowiczem Bułanowem.

– Czekam na was, jedziemy.

Gdzie jedziemy, po co jedziemy, Bułanow nie tłumaczył.

Pojechali prosto do Kommunarki.

Generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego towarzysz Jagoda ma ogromny gabinet w głównym budynku NKWD na Łubiance. Poza tym ma gabinety w Więzieniu Lefortowskim, w Butyrkach i na Tagance. Najbardziej

lubi przyjmować meldunki w carskim gabinecie Wielkiego Pałacu Kremlowskiego, w którym kiedyś pracował towarzysz Swierdłow, pod którym towarzysz Swierdłow urządził prywatne więzienie. W tym więzieniu towarzysz Swierdłow trzymał prywatnych więźniów. Między innymi Fanny Kapłan. Z tamtego więzienia wyprowadzano aresztowanych tylko do kremlowskiego garażu. Żeby przy pracującym silniku...

Ale kiedy sprawa dotyczy najważniejszych kwestii, towarzysz Jagoda odbywa spotkania na swojej daczce w Kommunarce. Pięknie tu. Podmoskowie ogólnie słynie z ładnych widoków. Też zbudowałbym sobie drewnianą daczę w Puszkynie. Wicie, to jest przy trasie na Jarosław. Pamiętajcie z Majakowskiego:

Pagórek Puszkino się zgarbił

Górą Akułową.

Właśnie tam, w Puszkino. Ale i Kommunarka też mogłaby być. Natura, sami rozumiecie, rzeka, sitowie, gaje brzozowe, skaczą sikorki, zające, żaby kumkają wieczorami w sitowiu, dojrzewa jarzębina.

Za wysokimi zielonymi parkanami na wzgórzu znajduje się posiadłość Jagody. Na punktach kontrolnych pełnią honorową wartę postawni młodzieńcy, ze specjalnej kompanii, do której każdego żołnierza Gienrich Grigorjewicz wybrał osobiście.

Ścieżki wysypane białym piaskiem. Na klombach kwiaty wyglądające na zagraniczne. Samochód zatrzymał się przy ganku. Wartownik nie pyta nawet towarzysza Bułanowa o przepustkę. Jest tu swój. Żmijojada też nie zapytał: skoro z towarzyszem Bułanowem, znaczy, że wszystko gra. Minęli korytarz, skręcili – duży pokój, coś jak poczekalnia. Siedzi trzech czekistów. Tu Żmijojadowi zamarło serce. Przecież mówił Chołowanow: Nie idź tam więcej!

Zapukał towarzysz Bułanow do drzwi i nie czekając na pozwolenie, wpuścił Żmijojada do gabinetu szefa.

A starszy w grupie kurierów, kapitan bezpieczeństwa państwowego

Michaił Borysowicz Dawydow, promienieje ze szczęścia: Będziemy żyć, chłopaki!

Nie zrozumieli ci, skąd ta radość, skoro cała trójka nie uniknie straszliwej kary za zgubienie ładunku.

– Czemu się nie cieszyacie?

– Niby dlaczego mamy się cieszyć?

– Dlatego, że nasza walizka nie zginęła! To był sprawdzian! Towarzysz Jagoda zrobił nam sprawdzian z czujności!

– Co ty bredzisz?

– Nie poznaliście go? Przecież młodzian w mundurze, co z towarzyszem Bułanowem wszedł do gabinetu, to właśnie tamten! Przepasany sznurkiem!

Rozdział 13

1

Żmijojad zniknął. Chołowanow spodziewał się go na śniadanie. Nie doczekał. Poszedł obudzić. Kabina jest pusta. Łóżko dokładnie zaścielone. Chołowanow do kapitana: Gdzie? Kapitan drapie się w głowę w poszukiwaniu odpowiedzi. Przeprasza: Przez całą noc stała warta.

Dobra. Potem zobaczymy! Teraz trzeba spotkać się z Ciech Ciechowiczem. Już zameldował, że się zjawił, przywiózł więźnia, czeka w swoim nowym pociągu na dwunastym bocznym torze stacji Moskwa Sortirowoczna.

Chołowanow pojechał do niego. Przyjął więźnia, zawiózł gdzieś, długo prowadził ciemnymi korytarzami.

– Sewastianie Iwanowiczu, ty, jak wiem, lubisz czekistów, ale nieszczególnie.

– Nieszczególnie – potwierdził Sewastian.

– Oni ogłosili, że najlepsi włamywacze pracują w NKWD.

– Gdzie tam.

– Chwalą się, że w pięć minut otworzą sejf, który stoi zamknięty od 1919 roku.

– Co to za sejf?

– Bardzo duży, brytyjski. Bromley.

– Bromleya w pięć minut nie ruszą.

– A w dziesięć?

– Trzech godzin będzie im mało. I dziesięciu. Jeśli to dwutonowy Bromley, nikt go nie ruszy. Nie przypadek, że od 1919 roku jest zamknięty.

- A ty, Sewastianie Iwanowiczu, przypomniałbyś sobie stare czasy?
- Publicznie?
- Publicznie.
- Spróbowałbym. Jeżeli będzie instrument.
- Dam wódkę tobie i tym, którzy siedzą z tobą, sera, kiełbasy. Przez rok będę karmił jak króla.
- Nie trzeba mi twojej łaski, obywatelu Chołowanow. Sam to sobie żryj.
- Zwiejesz – zamorduję.
- Wiem.
- Trzeba zmienić twój wygląd, żeby cię nie rozpoznali, jesteś moim tajnym więźniem.
- Zmień.
- Wiesz, gdzie jesteśmy?
- Nie wiem.
- W Teatrze Bolszój. Hej, człowieku! Chodź tu. Zrób tak, żeby temu dżentelmenowi nie wstyd było pokazać się w Izbie Lordów.

2

- Wskazaliście nie tę dziewczynę, Żmijojadzie.

Sam wie, że nie tę. Do diabła z nią. Jak pozbyć się tych trzech, którzy czekają w poczekalni? Jak odwrócić się do ściany, żeby nie rozpoznali?

Serce łomocze jak złapany zając. Żelazny Gienrich coś tłumaczy. Żmijojad go nie słyszy. Zreflektował się, wysłuchał, zgodził się, udał zakłopotanie: Aj-ja-jaj, jak to nie tę? A taka podobna. Dłonie spocone, uszy płoną, a serducho mu za chwilę z piersi wyskoczy.

Jagoda wiedział, i wy o tym wiecie, że krzykiem sprawy nie poprawi. Tylko nie zawsze udaje się powstrzymać od krzyku. Sam to wiem. A Jagoda

zawsze potrafił. Żelazny Gienrich rozumie, że człowiek się pomylił. Może i pomylił. Z drugiej strony, jak zwiadowca-observator mógł tak się pomylić? Jak mógł wskazać córkę komkora Strzeleckiego?

– Więc co, Żmijojad, będziemy robić? Szukać? Znowu zebrać dla was wszystkie zdjęcia małoletnich dziwek? Twarzy jeszcze nie zapomnieliście?

– Nie, Gienrichu Grigorjewiczu, postaram się.

– Jeszcze wam podrzucę robotę. Tam siedzą towarzysze w poczekalni. Skradziono im walizkę. Żadna afera. Były w niej takie tam różne szmaty. Ale również i pamiątki dla muzeum sławy czekistowskiej. Chłopaki przywieźli z Dalekiego Wschodu, a w Jarosławlu się zgapili. Pomożecie znaleźć?

– Oczywiście pomogę.

Towarzysz Bułanow tymczasem wymknął się do poczekalni, cichutko zamykając drzwi, i wytłumaczył pechowym kurierom, że do ich grupy zostaje włączony nowy towarzysz, który pomoże wyjaśnić przestępstwo.

Tu szef grupy kurierów, kapitan bezpieczeństwa państwowego Michaił Borysowicz Dawydow uśmiechnął się, patrząc pod nogi, i cicho odpowiedział towarzyszowi Bułanowowi, że oni, kurierzy, zdają sobie sprawę ze swojej winy, że sprawdzian z czujności oczywiście zawalili, ale następnym razem będą pełnić służbę z większą czujnością.

Towarzysz Bułanow niczego nie zrozumiał.

I wtedy starszy grupy kurierów wytłumaczył mu, że rozpoznał teraz tego zuchwałego smagłego czekistę, który z polecenia towarzyszy Jagody i Bułanowa uprowadził walizkę w Jarosławlu.

– Kogo rozpoznaliście?

– No, tego, którego skierowano do naszej grupy, który teraz rozmawia z towarzyszem Jagodą. Widocznie tam w gabinecie śmieją się z nas.

Nastia oszukała Bułanowa. Nie była mistrzynią w prowadzeniu przesłuchań i nie potrafiła z wyrazu oczu określić, czy człowiek mówi prawdę, czy kłamie. Po prostu miała dobrą pamięć. Już niedługo, w następnym, 1937 roku, w Moskwie rozpocznie się VIII Ogólnozwiązkowy Zjazd Rad, który uchwali nową, najbardziej demokratyczną na świecie, stalinowską konstytucję. W Wielkim Pałacu Kremlowskim zbiorą się najlepsi ludzie w kraju. Będzie ich 1286. Wydano już książkę ze zdjęciami i krótkimi notkami biograficznymi wybrańców ludu, którzy dostąpią zaszczytu uchwalenia konstytucji jako zasadniczej i nietykalnej ustawy ojczyzny wszystkich ludzi pracujących na świecie. Jakiś czas temu ta książeczka trafiła Nastii w ręce. Przeczytała ją. A skoro przeczytała, to znaczy zapamiętała. Właśnie okazało się, że nie ma niepotrzebnej wiedzy. Gościa, czekistę w okularach, rozpoznała od razu: jego portret był na 66 stronie. Nie pozostało wątpliwości: to deputowany zbliżającego się VIII Ogólnozwiązkowego Zjazdu Rad, towarzysz Pawieł Pietrowicz Bułanow. Przypomniała sobie wszystko, co podano o nim na 66 stronie. Biografia rozpoczynała się od daty urodzenia – 12 lutego 1895 roku. Gdyby ten się nie wystraszył i nie zwiął, to ona, patrząc mu w oczy, „ustaliłaby” również miejsce jego urodzenia oraz główne etapy z życiorysu, stopień w NKWD, stanowisko – sekretarz ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR.

Musiła pokazać: Traktujcie mnie poważnie, starszy majorze bezpieczeństwa państwowego. Nie ze mną takie numery.

Pokazała.

A on zrozumiał.

Co więcej, wydało się jej, że jego głos należał do tych, które podsłuchiwała w nocy.

Ale tego nie była pewna.

magazynu do dużej pustej sali, która kiedyś była salą ćwiczeń dla szermierzy. Zanim zaczął się pojedynek mistrzów-włamywaczy, Mikołaj Iwanowicz Jeżow zarządził wszystkim po gospodarsku: wystawił dookoła całego budynku solidną wartę, zorganizował państwową komisję odbioru kosztowności. Nie otworzą – nic strasznego. A jeżeli się uda – wszystko jest przygotowane na odbiór.

Żelazny Gienrich za późno się zreflektował: Do ochrony mam specjalną kompanię złożoną z doborowych młodzieńców!

– Nic strasznego – odpowiedział towarzysz Jeżow. – Czerwonoarmiści z 1. Moskiewskiej Proletariackiej Dywizji Strzelców też sroce spod ogona nie wypadli.

Gienrich Grigorjewicz Jagoda zaprezentował sędziemu towarzyszowi Jeżowowi swoją ekipę – pięciu fachowców NKWD. Zespół Chołowanowa – jeden, po same oczy zarośnięty rudą brodą cudzoziemiec w burżujskim kapeluszu, w czarnych rękawiczkach, w białym jedwabnym szaliku na szyi.

Zanim doszło do prezentacji, kapitan ekipy NKWD spojrzeniem przekazał Żelaznemu Gienrichowi: Próbowaliśmy całą noc i cały wczorajszy dzień. Nawet lekko rozłożył ręce: Gdybyśmy mieli tydzień, to kto wie...

Żelazny Gienrich westchnął, robiąc sobie wyrzuty: Dlaczego rok temu, dwa, pięć nie zajął się tym, żeby sejf otworzyć! A jeśliby się nie dało, to wywieźć na mokradła i utopić w bagnie. A tak cholera wie, co tam jest w środku! Towarzysz Swierdłow mógł trzymać w nim dokumenty najwyższej wagi państwowej, których nigdy nikomu nie należy pokazywać.

Sędzia ogłosił zasady: Pięć minut dla jednej ekipy, pięć – dla drugiej. Potem po kolei – po dziesięć minut, po dwadzieścia, po trzydzieści, po godzinie, po dwie, po cztery. Im dalej, tym więcej. Główna nagroda to pieczone prosię z jabłkami. Kolejność losujemy.

Mikołaj Iwanowicz Jeżow rzucił monetkę, ta brzęknęła o granitową podłogę. Nakrył ją dłonią, żeby nie toczyła się, nie skakała. Podniósł dłoń: Proletariusz z młotkiem, więc zaczyna ekipa NKWD. Mikołaj Iwanowicz

pstryknął szwajcarskim stoperem: Czas start!

Cudzoziemiec tymczasem zażądał dla siebie fotela i szampana Pol Roger. To ulubiony napój pierwszego lorda Admiralicji sir Churchilla. Lokaj nalewa, napój się pieni, wylewa musującą kaskadą za brzegi. Zagraniczny gość zabrał mu butelkę, bez słowa pokazał, jak się nalewa. Brzeg butelki powinien dotykać brzegu kieliszka. Cała sztuka. Nigdy piana przez nie się nie wyleje, głąbie. A jeszcze w liberię się wystroił.

Odrobili czekałsi pięć minut, ustępują miejsca zagranicznemu gościowi. Ale ten zdecydowanym gestem daje do zrozumienia, że przepuszcza swoją kolejkę. Jeżow tłumaczy Chołowanowowi, że jeżeli pierwsza drużyna przy drugim podejściu otworzy sejf, to zawody się skończą, cudzoziemiec przegra. Ale przyjezdny bisurmanin królewskim gestem pokazuje, że wszystko rozumie bez tłumaczenia i nie zmienia swojej decyzji, nie ma obaw, przecież to dwutonowy Bromley, niech przeciwnicy się babrzą.

Żelazny Gienrich do Bułanowa oczami: Nie przegap momentu, trzeba pobrać odciski cudzoziemca, później sprawdzimy, co to za jeden.

Ale cudzoziemiec nie zdejmuje rękawiczek. Po dziesięciu minutach powtórzył gest zaprezentowany po pierwszych pięciu minutach: Pracujcie, fachowcy, a ja na was popatrzę.

Odrobiła drużyna NKWD pięć minut, dodatkowe dziesięć i kolejne dwadzieścia. Gdyby ktoś wiedział, że wcześniej oni przez dwadzieścia osiem godzin walczyli z sejfem na zmianę bez snu i odpoczynku...

Skończyliście, chłopcy? Odpocznijcie. Teraz nasza kolej! Cudzoziemiec zrzucił z ramion czarną pelerynę, w jakich francuscy policjanci pilnują porządku w Paryżu, niedbale odsunął na bok kryształowy kieliszek, rozłożył prostokątny kawałek bordowej skóry jak czarodziejski obrus, wyłożył na niej lśniące narzędzia i zabrał się do pracy. Pracował raczej nie jak sztukmistrz, a jak lekarz, wsłuchując się przez drewnianą rurkę w wewnętrzne szmery pancernych drzwi jak w bicie ludzkiego serca.

Nie powiem, że cudzoziemiec otworzył sejf od razu. To była długa

żmudna praca. Odrobił dwadzieścia minut, dał szansę przeciwnikom. Nie pił więcej szampana. Coś obliczał w szkolnym zeszytce, skubiąc koniuszek ołówka. I kiedy dostał nowe trzydziestominutowe podejście, w dwudziestej czwartej minucie coś wybadał. Cofnął się od sejfu. Obejrzał go z boku. Potem zdecydowanie wrócił, objął go, czołem się do niego przytulił, poklepał tak, jak my klepiemy w ramię starego przyjaciela, i nagle przekręcił coś, czego używał jako klucza. W sejfie pstryknęło, a on obrócił gałkę, nieco uchylił drzwi o potwornej grubości i równie potwornej masie, po czym, nie zaglądając do środka, wrócił do swojego fotela.

Rosjanin zawsze szanował sztukę, fantazję i siłę. Nawet jeśli to siła i sztuka przeciwnika-bisurmanina. Kapitan drużyny NKWD podszedł do nieznanego, uściśnął dłoń w czarnej rękawiczce, schylił głowę: Moje uznanie, mistrzu.

5

Dla Żelaznego Gienricha zaczęła się zła passa.

Ale dzisiaj jakoś się udało. Nie znaleziono w sejfie Swierdłowa żadnych dokumentów, które rzuciłyby światło na bohaterską przeszłość Gienricha. Były tam złoto, pieniądze i paszporty na wypadek ucieczki towarzysza Swierdłowa i jego najbliższego otoczenia ze stolicy naszej wielkiej Ojczyzny i całego światowego proletariatu. Gienrich bardzo się bał, że znajdzie się tam paszport wystawiony również na jego nazwisko. Ale kolejny raz miał szczęście.

W sejfie było sporo złota, sporo pieniędzy. Samych tylko złotych i platynowych pierścieni, kolczyków, pierścionków, łańcuszków, broszek, bransoletek, zawieszek, kolii, papierośnic, orderów, zegarków, ikon, szkatuł, tabakierok z dużymi brylantami, rubinami, szafirami, szmaragdami było siedemset sztuk. Dokładniej – 705. Wykonane wspaniale. Jakież sto-dwieście gram złota czy platyny i ze dwadzieścia sporych brylantów. Ile to może kosztować? A tu się ceni nie brylanty, rubiny i złoto, a sztuka

wykonawców. Na każdym lśniącym cacku znak Osipowa, Chlebnikowa, braci Graczow, Fabergé, Owczynnikowa. Sprzedasz jedną taką rzecz w Paryżu – kupisz willę na Lazurowym Wybrzeżu.

Poza tym nowiutkie banknoty w szeleszczących paczkach. Pięćsetki z Piotrem Wielkim, setki z Katarzyną Wielką, pięćdziesiątki z Mikołajem Pałkinem, dwudziestkipiątki z Aleksandrem III. Razem 749 tysięcy rubli. Imperium upadło, ale jego papierowe pieniądze były tak wartościowe, że zagraniczne banki przyjmowały je według nominału i nawet wymieniały na złoto aż do początku lat dwudziestych. I w ojczyźnie światowego proletariatu nie straciły na wartości i były w obiegu do 1922 roku. 749 tysięcy to bardzo dużo. Co prawda, dziś są już nic niewarte.

Ale znajdzie się tu coś, co nie traci na wartości – złote monety: pięć rubli, dziesięć, piętnaście... Mikołaj Iwanowicz Jezow się dziwi: Co to za dziwna moneta – 7 rubli 50 kopiejek? Żelazny Gienrich tłumaczy ze znajomością rzeczy: Aleksander III miał złote monety o nominale pięć i dziesięć rubli. Pierwsza ważyła 6,45 grama, druga – 12,9. Mikołaj II zmniejszył zawartość złota w rublu o półtora raza. Na monetach o masie 12,9 grama pisano nie „dziesięć rubli”, a „piętnaście”. Co za tym idzie, moneta o wadze 6,45 grama już nie była pięciorublowką, a miała nominał półtora raza większy – 7 rubli 50 kopiejek. Ponadto Mikołaj II tłoczył swoje pięciorublowki o masie 4,31 grama i czerwonce o masie 8,62.

Chołowanow po cichu dziwi się i klnie: Cholerny jubiler, aptekarz, psia mać! A sam na swojego cudzoziemca zezuje: Czy ten nie zniknie, korzystając z tego, że ogólna uwaga skierowana jest na zawartość sejfu? A ta urzeka.

Bizuterię później opisze się i wyceni, teraz tylko przeliczono i określono łączną wagę – 102 kilogramy 808,3 grama.

Złote monety postanowiono posegregować, przeliczyć i zważyć tu i teraz.

Czerwońców Aleksandra III było 413, pięciorublowek – 993. Łączna

kwota 9905 rubli. Łączna waga – 11 kilogramów 732,55 grama.

Pięćorublówek Mikołaja II naliczono 6473, monet po 7 rubli 50 kopiejek – 1612, czerwońców – 4683, piętnastorublówek – 543. Razem jest 13 311 monet z czasów Mikołaja, na łączną kwotę 99 430 rubli, o łącznej wadze 85 kilogramów 574,54 grama.

Chołowanow się śmieje: Nie na próżno proletariacki wódz przygotował dla swoich krewnych zagraniczne paszporty i kilka pustych formularzy. Bo gdyby wszystko zapakować do walizek, to jeden człowiek tego nie udźwignie.

Mikołaj Iwanowicz Jeżow też jest zadowolony: Szkoda, że nikt nie wymyślił walizki na kółkach! Jaka byłaby wygoda, gdyby towarzysz Swierdłow do samej granicy nie na plecach włókł, a ciągnął za sobą na sznurku. I ściska dłonie Żelaznego Gienricha i Chołowanowa: Dziękuję, towarzysze, mieliście dobry pomysł, przekażemy skarby na potrzeby industrializacji.

6

Gienrich opadł na fotel: Już po wszystkim! W tym przeklętym sejfie mogły znaleźć się bardzo nieprzyjemne papiery, ale ich nie było. Z drugiej strony, Nieugięty Gienrich urywa małe kawałtka z kołymskich złotych łupów, ryzykuje, wysyła ludzi przez cały kraj, musi wtajemniczać ich w te sprawy, a prawdziwy skarb przez niemal dwadzieścia lat czekał pod nosem w zakurzonym magazynie! Czy można jedno cacko od Fabergégo czy braci Graczow porównać do walizek złotego piasku? Jak mógł nie wpaść na to, żeby otworzyć sejf? Jak o nim zapomniał? Nie dałby rady? Zaprosiłby zagranicznego fachowca! Cholerny Chołowan!

Pawieł Pietrowicz Bułanow bez pytania połał szefowi do szklanki. Ten skinął zapraszająco – ty też do stołu siadaj i sobie polej.

Bułanow usiadł. Połał. Wypili.

- Co robimy ze Żmijojadem?
- W Kommunarce wyciągnąć z niego wszystko i w przeciwieństwie do innych pochować w mogile. Żywcem.
- Co z nią zrobimy? Córką dowódcy korpusu ze Sztabu Generalnego. Nie można wypuścić. Afera na całą Moskwę. Zlikwidować?
- Nie spiesz się. Z tym zdążymy. Trzeba coś wymyślić.
- Ale nie można wypuścić.
- W żadnym wypadku. Niech siedzi, załatwimy Dupalina, to zdecydujemy. Jak sądzisz, kto działa na naszą szkodę? Chołowan? Niedobrze jakoś zażartował na temat ciężkiej walizki.
- Zbieg okoliczności.
- Dlaczego sobie przypomniał o sejfie? Skąd od razu miał cudzoziemca, który każdy sejf umie otworzyć?
- Myślę, że to jednak Kolka Jeżow. Też żartował o walizce na kółkach. Przebiegła kanalia!
- Tego trzeba by udusić, lezie do spraw NKWD.
- Udusimy.

7

Pawieł Pietrowicz wcześniej wrócił do Kommunarki. Tu wśród innych atrakcji – sanatorium i hotel kierownictwa GUGB NKWD. Bułanow ma tu jeszcze jedno mieszkanie. Żelazny Gienrich spędza dużo czasu w Kommunarce, sekretarz powinien być pod ręką.

Dzisiaj Bułanow jest strasznie zmęczony. Nie spał całą poprzednią noc. Dlatego postanowił: Teraz, od siódmej wieczór będzie spać, obudzi się gdzieś koło północy i pójdzie rozerwać.

Obudził się rześki i wypoczęty, umył się, włożył bluzę bez insygniów, szedł na dół. Dzięki staraniom Gienricha cieszy się popularnością

znakomita restauracja o ukraińskiej nazwie Hłeczyk.

Dla tych, którzy nie wiedzą – hłeczyk to taki dzbanek.

Restauracja pracuje prawie całą dobę, ceny umiarkowane, kuchnia znakomita i nie tylko ukraińska, ale polska, rosyjska, gruzińska. Tu nadzwyczajny wybór dań i trunków, bar, pokój dzienny, sala kinowa, basen, rosyjska łaźnia, sala treningowa, sala taneczna, a tuż obok – las, jezioro, łódki. Przyjeżdżają tu na wczasy żony czekistów, których mężowie są w delegacjach. Tutaj jest zawsze wesoło. Ale Bułanow tu się nie zatrzymuje. Wychodzi na zewnątrz, na tyły. W nocy tu ciemno. Nie ma żarówek w latarniach. Noc we wrześniu jest zimna, gwiazdzista.

W rogu posesji pod wiekowymi lipami – stacja transformatorowa. Pomiędzy jej tylną ścianą a szczelnym dwumetrowym ogrodzeniem znajduje się nierzucające się w oczy przejście. Gdy tam się wciśnie, można wymacać szeroką deskę, która została przybita tylko od góry i tylko jednym gwoździem. Dlatego deska się przesuwą, odsłaniając całkiem sporą szparę. Przechodzimy przez nią i znajdujemy się w sąsiednim ogrodzie, zupełnie zaniedbanym, zarośniętym starymi drzewami i kłującymi zaroślami jeżyn. W głębi – opuszczony dom. Od dziury w ogrodzeniu do domu prowadzi wydeptana ścieżka.

Dom jest parterowy, z cegły, zarośnięty bluszczem. Okna są ciemne. Kiedyś ten dom znajdował się przy cichej leśnej ni to uliczce, ni to ścieżce. Ale później zbudowano tam garaż i ten dom został odcięty z każdej strony od ulic i dróg. Ogród otoczono wysokim parkanem i szczelnie zamkniętą tarcicową bramą. Z biegiem lat zdziczał i zarósł tak, że zostały tylko ścieżki wśród chaszczki kłujących krzaków.

Ten dom ma ciekawą historię. W marcu 1921 roku X Zjazd Partii Komunistycznej podjął decyzje, na których podstawie w kraju wprowadzało się NEP – Nową Politykę Ekonomiczną.

Niczego nowego w tej polityce nie było. Był to stary dobry kapitalizm: Chcesz wyrabiać, wypalać i sprzedawać cegły? Wyrabiaj, wypalaj,

sprzedawaj. Chcesz uprawiać zboże? Uprawiaj zboże. Chcesz ziemniaki? Proszę bardzo. Chcesz handlować obwarzankami? Handluj. Chcesz otworzyć restaurację? Otwieraj.

A żeby interes się kręcił, puszczono w obieg złotego czerwońca 900 próby jak przy Mikołaju II. Masa taka sama – 8,6 grama, dokładniej – 8,6026. Tłoczono leninowskie czerwońce na carskich maszynach. Wprowadzone do obiegu srebrne ruble i półrubłówki były pod względem masy i formy takie same jak przy Mikołaju, ale z innym rysunkiem.

Wcześniej głód nękał kraj, dusił całkowity brak wszystkiego, od nafty i walonków do gwoździ i siekier. A tu nagle wszystko się pojawiło. Ale nagle pojawili się też bardzo bogaci ludzie. Nazywano ich nepmanami. Ci ludzie otwierali w kraju setki i tysiące restauracji i kabaretów. Ten domek pod Moskwą zaprojektowano i zbudowano jako kasyno i tajny burdel. Celowo wzniesiono go tuż obok dacz najwyższego kierownictwa tajnej policji: Kto tu będzie szukał? Więc domku nie znaleziono.

Kiedy tylko komuniści stanęli na nogach i złapali nieco oddechu, pod koniec lat 20. zwinęli NEP, a nepmanom skręcili karki. Złote czerwońce szybko wycofano z obiegu.

Zamknięto domy rozpusty, zgasły kolorowe ognie, ucichła muzyka. I ten przybytek nierządu również został porzucony. Dopiero wówczas czekistowskie kierownictwo wpadło na to, co znajdowało się pod samym nosem.

Domu nie zburzono. Po prostu ogrodzono go dookoła parkanem, cały zarósł dziką różą, bluszczem i jeżynami.

Ale święte miejsce nie bywa puste.

Obrotny dyrektor sanatorium NKWD wpadł na to, żeby wykorzystać ten budynek. Zgodnie z przeznaczeniem.

Zerwał deski w ogrodzeniu, wydeptał ścieżki, odmalował pokoje, powiesił w oknach ciemne zasłony, meble już tu były, tylko kurze wytrzeć.

Na początku grano tam w karty. Potem wprowadzono ruletkę. Pojawiły

się dziewczynki. Klienci – z wyższego dowództwa NKWD. Co prawda, nie z najwyższego. Jagoda i jego zastępcy się nie domyślają. Są tu ci, których na przekłętym burżujskim Zachodzie nazywano by generałami policji średniego szczebla. Tajemnicę zachowuje się już sześć lat. Nowicjusz jest poddawany sprawdzianowi na wierność. Uprzedza się go: Człowiek, który doniesie, straci męskie klejnoty.

Mówię to wam z zachowaniem konwenansów. Tym, których przyjmuje się do kręgu wtajemniczonych, tłumaczy się to prościej i bardziej przystępnym językiem.

Czekiści wysokiego szczebla prowadzą ponure życie. Poruszają się po ostrzu noża. Nie dogodzi taki przełożonym, popełni błąd – wyleci w cholerę, jeśli darują mu życie. Czekista wysokiego szczebla jest obarczony olbrzymią odpowiedzialnością. Nie ma czasu na życie osobiste.

Więc dlaczego by...

Radzieckie złote czerwonce wycofano z obiegu. Ale niezupełnie. Trzymają ludzie pod materacami, w skrytkach pod schodami, w glinianych naczyniach pod jabłoniemi. A czekiciele polują na to złoto i konfiskują. Co nieco do rąk się przyklei.

Wstęp do kasyna – jeden złoty czerwonec. To wystarczy. Poza tym za nic się nie płaci. Pij, jedz, baw się, zabawiaj się z dziewczynkami. Ale najważniejsza jest oczywiście gra. Tu gra się o duże stawki. Gra się na czerwonce, nielegalne amerykańskie dolary i brytyjskie funty.

Nepmani nie oszczędzali na meblach. Stoły z drzewa orzechowego, pokryte zielonym sukrem. Ruletkę przywieziono statkiem z Monte Carlo. Pokoje dla dziewczyn są urządzone nie gorzej niż w najlepszych domach Paryża.

Zasada klubu: Tu nie ma stopni wojskowych. Nie można tu wejść w mundurze z insygniami. Tu do nikogo się nie zwraca nie tylko według zajmowanych urzędów, ale nawet po nazwisku. Tu są tylko imiona czy nawet tylko żartobliwe przezwiska. Po to, żeby nikt na nikogo nie wywierał

presji swoim służbowym autorytetem. Tu wszyscy są równi.

Pawieł Pietrowicz rzucił brzęczący, płonący jak ogień złoty pieniądz do usłużnie wyciągniętego kapelusza zarządcy przybytku, usiadł przy stole, rozpiął kołnierzyk, wychylił setkę i wziął do ręki karty.

Rozdział 14

1

Podczas sporządzania aktu o zawartości otwartego sejfów Swierdłowa Chołowanow żartował i śmiał się. Teraz zakończono wszystkie formalności, solidnie schowano skarby, zdjęto ochronę, pracowity dzień się skończył. Chołowanow wrócił na swoją pływającą bazę, teraz mu nie było do śmiechu i żartów.

Otworzenie sejfów zaproponował tylko po to, żeby znaleźć tam dokumenty na Jagodę. Szansa na znalezienie skarbów była tylko pretekstem.

Ale w sejfie rzeczywiście znalazły się skarby. Tylko skarby. To była ostatnia nadzieja, żeby zdobyć silną kartę przeciwko Jagodzie.

- Co zrobimy, Ciech Ciechowiczu?
- Gdybym wiedział...
- Przyjmuję pomysły, nawet najbardziej szalone. Masz jakieś?
- Szalone, wiadomo, mam.
- No to gadaj!
- Żmijojad podsunął Gienrichowi zamiast Serojadki jakąś inną dziewczynę.
- No.
- Trzeba ją odnaleźć.
- Po co?
- Można powiedzieć towarzyszowi Stalinowi, że Jagoda kradnie młodzieńcze dziewczęta i więzi nie wiadomo gdzie. W ten sposób rzuca cię na NKWD i Partię Komunistyczną. Kiedy się dowiedzą burzuje, Związek

Radziecki okryje się hańbą!

– Hej, to nie jest szalony pomysł, a jak najbardziej rzeczowy! Dlaczego żeś wcześniej... A jak się nazywała?

– Nie wiem. Trzeba zapytać Żmijojada, czytał jej akta, będzie wiedział. Tylko gdzie on teraz jest?

– Żmijojad się znajdzie, a ty mi powiedz: Gdzie Jagoda może trzymać dziewczynę?

– Wiadomo, że nie w więzieniu. Nikt nie może dowiedzieć się o jej arestowaniu. Pozostaje jego dacza albo Kreml. Na daczy trudno. A na Kremlu najlepsze miejsce. Swierdłow miał prywatne więzienie w cokole pod swoim gabinetem. Czemu nie tam? Pilnować jej powinny kobiety. Gryfie, powinieneś mieć agenturę wśród kobiecego personelu Wielkiego Pałacu Kremłowskiego.

– Wśród kobiecego, powiadasz?

– No.

– Wśród kobiecego mam.

2

Gienrich jest oczywiście Żelazny, ale nawet metal się męczy. To się nawet tak nazywa – zmęczenie metalu. Gienrich jest zmęczony. Tyle nieprzespanych nocy, tyle nerwów. Trzeba się oszczędzać. Dzisiaj wczesnie wrócił do Kommunarki. Rozebrał się, długo wylegiwał w gorącej wannie. Solidny prysznic pobudza, a wanna uspokaja. Dla większego relaksu Gienrich wrzuca do gorącej wody jakieś drogocenne suszone liście, może południowokoreańskie, a może tybetańskie. Aromat cudowny, całkowite zanurzenie w rozkoszy.

Rozgrzany, bardzo zadowolony, dowlókł się do łóżka, załonił ciężkie załony, żeby nie przeszkadzało zachodzące słońce, i padł na świeże wykrochmalone prześcieradła, sam sobie wydając rozkaz: wieczór na sen, a

po północy – odpoczynek.

Nie nastawił budzika, wiedząc, że przed północą się obudzi.

Obudził się. Rześki, wypoczęty. Przespał północ tylko o osiem minut. Uśmiechnął się do siebie: jednak dokładność prawie jak w aptece. Nie każdy potrafi tak swój mózg wytrenować, żeby nawet we śnie, nawet odpoczywając w błogich marzeniach, mimo wszystko dbał o punktualność.

Teraz dla dodania energii – gorący prysznic o potężnym ciśnieniu. Krople biją jak śrut po głowie, ramionach, plecach i piersi!

Roztarł się ręcznikiem jak papierem ściernym, ciało aż płonie. Mężczyzna w sile wieku! W rozkwicie. 44 lata. 7 listopada – czerwona kartka w kalendarzu. W dniu Wielkiej Rewolucji skończy 45.

Do 44 roku życia osiągnął wiele: ludowy komisarz spraw wewnętrznych, generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego, członek Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej. Ale wszystko przed nim. Dupalin obiecuje miejsce w najwyższej hierarchii partii, w Biurze Politycznym. Dobrze by było. Przypomniał sobie hasło Miczurina, uśmiechnął się.

Miczurin to wybitny nowator. Uprawiał takie odmiany drzew owocowych, że cały świat podziwiał. Jabłonie Miczurina uginają się pod ciężarem jabłek! Obwożą cudzoziemców po sadach, pokazują, tamci z zawiści aż gryzą kapelusze i krawaty: nie ma tu żadnych sztuczek – wszystkie jabłonie złamały się przy samej ziemi! Tak potrafimy! Niech się burzuje denerwują i złością, patrząc na nasze osiągnięcia!

Więc Miczurin rzucił hasło w lud: Nie możemy czekać na łaski od natury. Weźmiemy je sami, to nasze zadanie!

Kiedy Dupalin obiecuje miejsce w Biurze Politycznym, Gienrich uśmiecha się z wdzięcznością, ale po cichu powtarza mądrość Miczurina.

W takim nastroju, z uśmiechem na ustach, zszedł do kryjówki. Wejście zostało po mistrzowsku schowane. W sypialni wzdłuż ściany – wbudowane szafy z płaszcami, bluzami, ubraniami cywilnymi. Za nimi ściana. Ale gdy wejdzie się do szafy i zamknie za sobą drzwi, tę ścianę można lekko

przesunąć, wejść i zasunąć ją z powrotem.

Nawet jeżeli ktoś pod nieobecność Gienricha zajrzy do sypialni, to niczego podejrzanego nie zauważy. Po prostu nie ma Gienricha i tyle. Wraca tym samym sposobem, najpierw z szafy wyjrzy przez dziurkę, żeby sprawdzić, czy kogoś nie ma.

Znalazszy się w mroku, Gienrich po klamrach schodzi w dół i idzie podziemnym korytarzem. Korytarz ten został zbudowany według jego projektu. Wykopano transzeję dla rur ogrzewania, zabetonowano, na górze ułożono betonowe płyty, zasypało się ziemią. I zapomniano o tym. Później rozrosły się tu jeżyny. A transzeję wykopano w innym miejscu. Pracowały tu różne brygady budowlańców. Przyjechali jedni: Mają wykopać transzeję. Nie ich zakichany interes po co i dlaczego. Druga brygada – betonować. Trzecia – ułożyć płyty. Darmowa niewolnicza praca. Naokoło Moskwy obozów pod dostatkiem. Masz tu i budowlańców, i inżynierów. Potrafią wykopać dół.

Gdy kopano rowy, pracował u Gienricha architekt, burżuazyjny sabotażysta, przywieziony ze SŁON-ia. SŁON to, jak wiadomo, Sołowiecki Obóz Specjalnego Przeznaczenia. Gienrich osobiście wyznaczył architektowi zadanie, kazał podpisać oświadczenie o zachowaniu tajemnicy państwowej: w jednej z burżujskich stolic, nie powiem gdzie – straszna tajemnica (ale z sugestią, że chodzi o Paryż) – zbudujemy dom publiczny najwyższych lotów. Ale taki, żebyśmy wiedzieli i widzieli, co się w nim dzieje. I żeby kontrola odbywała się przy minimalnym wysiłku. Na miejscu będzie również dom gry. Po co to potrzebne, nie ma co się głowić, nie zgadniesz nigdy, a Gienrich nie ma prawa wyjawić takiej tajemnicy. A dla sabotażystów ta wiedza jest zakazana: ma zadanie – to niech je wykona.

Gienrich stworzył architektowi warunki. Jasny pokój. Co prawda, z kratami w oknach. Niezbędny sprzęt – na każde skinienie. Żarcie z restauracji. Co jeszcze? Fachowa literatura o tym, jak funkcjonuje dom publiczny i co w nim powinno się znaleźć? Proszę bardzo. Całą literaturę na ten frapujący temat już dawno przygotowano, przetłumaczono i dokładnie przestudiowano.

Architekt wykonał szkic. Budynek powinien być parterowy, kształtem (tylko kształtem!) przypominać podłużny barak lub magazyn. Ozdoby zewnętrzne to szczególnie kwestia. Założmy, że wyznaczaliśmy oś północ-południe i na niej zbudowaliśmy nasz projekt. W południowej części – sala, w której dziewczyny witają klientów. Tu również znajduje się bar. W północnej części – podobna sala na ruletkę. I też bar.

W środkowej części budynku wzdłuż centralnej osi północ-południe wznosimy bardzo grubą ścianę, która dzieli tę część na dwie połowy. We wschodniej części – pokoje dla graczy, w zachodniej – dla dziewczyn. Wszystkie te pokoje nie mają okien. Nie są tu potrzebne. Pokoje przylegają do centralnej grubej ściany, drzwi wychodzą na korytarze.

W ten sposób mamy dwa korytarze wzdłuż zewnętrznych ścian. Z sali południowej można przejść do sali północnej zachodnim korytarzem, mijając po prawej drzwi do pokoi dziewczyn, a po lewej – ścianę zewnętrzną z niedużymi oknami (może i bez nich). Albo można zrobić przejście w korytarzu wschodnim. W tym przypadku po prawej będzie ściana zewnętrzna, po lewej – drzwi do pokoi graczy.

Pozostaje kwestia wentylacji pokoi, w których nie ma okien. Rozwiązanie jest proste. Naturalny obieg. Rury dla powietrza – w centralnej grubej ścianie.

Dowcip polega na tym, że gruba centralna ściana nie jest lita, ale podwójna, z korytarzem wewnątrz. Podłoga korytarza została podniesiona o półtora metra nad podłogą reszty pomieszczeń. Jeden kontroler może, spacerując korytarzem, widzieć, co się dzieje w obu salach i w dowolnym pokoju. Obserwacja przez kraty wentylacyjne. Widok z boku i trochę z góry.

Żeby trafić do tego korytarza obserwacyjnego, na który jak na trzon nawleczono pokoje, trzeba zbudować podziemną galerię. Ale Gienrich to rozumie i bez architekta. Już o to zadbał.

Problem techniczny: Jak zapewnić dobrą wentylację wszystkich pokoi, eliminując przy tym przenikanie dźwięków z jednego do drugiego? Trzeba

tu coś wymyślić.

– Myśl – rzekł Gienrich.

Rozwiązanie znalazł inny inżynier. Również zdemaskowany wróg. Jemu Gienrich nie opowiadał szczegółów. Po prostu: tu korytarz, tu kraty, tu obieg powietrza.

Kiedy zakończono projektowanie, Gienrich postanowił zbudować eksperymentalny budynek bez żadnych ozdób na zewnątrz nie w jakiejś tam burżujskiej stolicy, a pod Moskwą, w Kommunarce, i zobaczyć, jak to będzie funkcjonowało. Zbudowano szybko. U nas jak chcą, to potrafią. Budowano w systemie zmianowym: Jedna brygada robi jedno, nie wiedząc po co, nie domyślając się nawet, w jakiej części kraju ta budowa jest prowadzona. A druga brygada kontynuuje.

Gienrich już nie pamięta, co potem się stało z tym architektem i z inżynierami z obozów. Jest tylko pewien, że niczego nikomu nie powiedzą.

Meble i wszystkie inne niezbędne rzeczy sprowadzono z Francji, ze Szwecji, ruletkę (jak już wiemy) z Monte Carlo. Gienrich ma na to wszystko pieniądze, z których nikomu rozliczać się nie musi.

Ile kosztuje zbudowanie parterowego, prawie pozbawionego okien budynku? Gienrich tylko zadbał, żeby ściany były mocniejsze i stropy z litego betonu, żeby nikt ze strychu przypadkiem nie odkrył korytarza obserwacyjnego. Całą instalację elektryczną, wodną, kanalizację, ogrzewanie wykonano tak, żeby nie było potrzeby wiercić w centralnej grubej ścianie w przypadku remontu.

Za ogrodzeniem zbudowano hotel dla kierownictwa NKWD i sanatorium. Wszystko to Gienrich miał pod osobistą kontrolą. Zaprojektowano hotel tak, żeby okna nie wychodziły na tyły i żeby nie było zbędnego światła, żeby murowana budka transformatorowa znalazła się pod wiekowymi lipami i żeby pomiędzy tylną ścianą transformatora i płotem zostało wąskie przejście.

Po zakończeniu budowy nadano taki wygląd kasynu, jakby nie teraz

zostało zbudowane, a kilka lat wcześniej, a potem porzucone. Gienrich wymienił cały skład Kommunarki. A wśród nowego rozsiał pogłoski: tam bawili się nepmani.

Pozostawało znalezienie odpowiedniego zarządcy. To zupełna łatwizna. Gienrich miał kartotekę wszystkich aresztowanych właścicieli domów gry, złodziejskich melin i nielegalnych domów publicznych całego Związku Radzieckiego, tylko wybierz takiego, który ci się podoba, zwolnij przedterminowo z więzienia za wzorowe zachowanie, przez pomyłkę, nie sprawdzając, zaproponuj pracę dyrektora hotelu NKWD i delikatnie, żeby nie wystraszyć, podrzuć pomysł: Jaki skarb marnuje się za płotem! Jakie meble! Jak w najlepszych domach Paryża i Amsterdamu. Wszystko porzucone. Nikomu niepotrzebne. I ukryte tak, że nikt nie znajdzie!

Dyrektor hotelu i sanatorium NKWD znalazł się natychmiast. Żeby prowadzić nielegalny dom publiczny, trzeba być przynajmniej w głębi duszy poetą. Gienrich wybrał poetę. I dusza poety nie zniosła, żeby taki dar losu się zmarnował. Klienci na miejscu, a kasy mają co niemiara. Facet wydeptał ścieżkę wśród zarośli jeżyn, wytarł kurze na stołach do gry i zakręciła się ruletka! Kto go aresztuje, jeżeli przybytek jest wewnątrz ogrodzonej z każdej strony wysokim parkanem działki, poza tym w środku podzielonej mnóstwem innych szczelnych ogrodzeń, jeżeli cały ten teren jest chroniony przez wyborowe oddziały NKWD, jeżeli klienci to ważni czekiści?

Zwerbował dziewczyny w okamgnieniu. W Moskwie ładnych dziewczyn w bród. Do takiej pracy chętnych zawsze jest sporo. Miał doświadczenie, wiedział, gdzie i jak werbować. Kiedy rozwinął interes, ściągnął młode żony czekistów: Twój mąż wznieca pożar światowej rewolucji w odległej Brazylii, ty samotnie wędnicz w komnatach jak smutna królowa, a tu taka praca! Ciekawa, wesoła, przyjemna, dobrze płatna.

Gienrich wszedł po drabinie do obserwacyjnego korytarza. Przechadzał się tym korytarzem zawsze z południa na północ. Jak w naszej piosence: od południowych gór do mórz północnych... Zaczynał od obserwacji sali, w której dziewczyny prowadziły konwersacje z gośćmi. To sala czerwona.

Zawsze jest w półmroku. Są tu grube dywany, stłumione światło bordowych lamp, wysepki miękkich skórzanych kanap, oddzielone od siebie ciężkimi aksamitnymi kotarami, żeby nikt nikomu nie przeszkadzał. Jest tu bar, a w barze – tylko dziewczyny. I mała estrada pośrodku, na której one tańczą, bawiąc i wabiąc.

Potem Gienrich ogląda pokoje zachodniej części. Każdy jest inny: turecki pokój jak komnata haremu, loch z kajdanami i biczami, szkolna sala z tablicą i ławką, więzienna, szpitalna, kolejowa jak przedział w pociągu dalekobieżnym, klasztorna, kancelaria, wojskowa z łuskami po nabojach i zniszczonym karabinem maszynowym, a wszystkie są po prostu przytulne. Bardzo popularny jest pokój z kocimi łbami i latarnią gazową. Dziewczyny przebierają się za pielęgniarki, wojskowe, milicjantki, mieszkanki haremów, sekretarki, uczennice, mniszki, światowe damy albo brudne ulicznice.

Sala z ruletką – zielona. Są tu poważni ludzie. Tu przegrywa się (ale i wygrywa!) stopnie i stanowiska. Tu obracają się duże pieniądze. Tu podejmuje się decyzje wielkiej wagi.

Przy tej sali Gienrich zawraca, oglądając pokoje po stronie wschodniej. Takie zwiedzanie to połączenie pożytecznego z przyjemnym. Gienrich zna wszystkie plotki, które krążą wśród kierownictwa NKWD. Zna z pierwszej ręki. Gdy posłucha godzinkę paplaniny w pokojach do gry, już na długo wraca do ulubionego zajęcia: kontrolowania pokoi po stronie zachodniej.

Gienrich uwielbia pornole. Różne: zdjęcia, rysunki, filmy. Ale najbardziej te prawdziwe, na żywo. To nie zdjęcia filmowe. To prawdziwe życie z jego różnorodnością. Jest to strasznie interesujące.

Jedno dziwi Gienricha: Jak Mikołaj Pałkin mógł zbudować Wielki Pałac Kremłowski, nie przewidując możliwości podglądania i podsłuchiwania? Gienrich osobiście sprawdził pokoje na parterze. Tylko grube mury, w których nie ma żadnych otworów. Wentylacja – olbrzymie okna na zewnątrz.

Myśl o głupim Mikołaju przemknęła i uleciała. Gienrich pogрузył się w

kontemplacji...

3

- Towarzyszu Chołowanow, tam o was pyta jakiś wygłodzony obdartus.
- Jaki obdartus?
- Nie wiem. Mówi, że powinien zwrócić kurtkę i gumowy worek z zawartością.
- Zawołaj, kapitanie, obdartusa. Powiedz, że długo czekałem. I bądź uprzejmy. Zasługuje na szacunek.

4

Gryf posiadał dar. Mógł dogadać się z każdą kobietą. One jakby pytały go, jak mu pomóc. I pomagały. Czasami nawet wtedy, gdy o to nie prosił. Kreml dla Gryfa zawsze był głównym obiektem infiltracji agenturalnej. Telefonistki i telegrafistki, sprzątaczk i sekretarki, pielęgniarki i szyfrantki, bibliotekarki i kustoszki kremlowskich muzeów – wszędzie je werbował. Wszystko zbudowane było na miłości. Kochał swoją agenturę zapamiętane, do szaleństwa. Jego agentki darzyły go równie szaloną miłością, zapominając o rodzinie i domu, ryzykując pracę, reputację, wolność, a nawet życie. Od nich dowiadywał się, jeżeli nie o wszystkich tajemnicach Kremla, to o większości z nich.

Ale nie miał agentury w południowym skrzydle cokołu Wielkiego Pałacu Kremlowskiego. Jakoś nie miał kiedy tym się zająć. Dzisiaj wczesnym rankiem, skoro świt, zszedł na dół, pogadał z cycatą niewiastą w niebieskim berecie bezpieczeństwa państwowego i z rewolwerem Nagant przy prawym boku.

Zrozumiała go. Powiedziała, że owszem, siedzi dziewczyna w pokoju, którego zazwyczaj używała do wypoczynku dyżurująca zmiana ochrony towarzysza Jagody. Teraz na jakiś czas przeniesiono ochronę. Czy mogłaby

cycata pomóc towarzyszowi Aleksandrowi Iwanowiczowi Chołowanowowi? Tak, mogłaby, ale nie pomoże. Ponieważ dziewczyny pod żadnym warunkiem nie da się wypuścić. Tylko z nią pogadać? Nie, też nie można. Dlaczego? Po prostu dlatego, że pancerne drzwi są zamknięte na dwie kłódki, a klucze mają różne osoby. Z jedną osobą można się dogadać, ale nic to nie da.

A gdyby porozmawiać przez drzwi? Przez drzwi – ile dusza zapragnie. Rozmawiaj, tylko szybko. Alarm zostanie zapowiedziany głośnym kasłaniem.

Niewiasta stanęła w poprzek korytarza, a Gryf poszedł w kierunku, który wskazała kobieta, wzdychając i kołysząc biustem.

5

Drzwi żelazne, wykute przez wirtuozów Mikołaszki Pałkina. Drzwi w niszy jak w niedużym tunelu. Drzwi nie mają judasza jak w typowych więziennych drzwiach, ponieważ nie jest to więzienie. Więzieniem ten pokój jest tylko okazjonalnie.

Gryf zapukał. Cicho zawołał:

– Dziewczyno, dziewczyno!

Skąd ma wiedzieć, jak się nazywa?

Odezwała się. Widocznie nie spała.

– Dziewczyno, przyszedłem wam pomóc.

– Witam, obywatelu prowokatorze!

– Mam bardzo mało czasu. Załóżmy, że jestem prowokatorem, ale ty nic nie tracisz. Jeżeli znajdziesz się na wolności, Jagoda może mieć kłopoty. Jagoda w każdym wypadku będzie zmuszony ciebie zabić jako zupełnie niepotrzebnego świadka. Dla niego najlepsze wyjście – żebyś zniknęła bez śladu. Czy opowiesz mi cokolwiek, czy będziesz milczeć – to nie ma znaczenia. Teraz załóżmy, że nie jestem prowokatorem. Będziesz milczała i

ja nie będę mógł ci pomóc. Powiedz wszystko, co o nim wiesz. Każdy drobiazg może być ważny. I wtedy ja być może coś zrobię przeciwko niemu. To będzie twój ratunek. Tylko szybciej. Zaraz tu ktoś przyjdzie.

– Dobrze. Słuchajcie. Jesienią odbędzie się plenum Komitetu Centralnego. Ochronę będzie pełnić specjalna kompania Jagody...

– Skąd to wiesz?

– Jestem strasznie domyślna.

– Coś jeszcze?

– Towarzysz Jeżow jest w niebezpieczeństwie. Nie wykluczam zamachu na jego życie.

– Jestem tego samego zdania. Jakieś szczegóły, poszlaki?

– Nie. Ale oberwie też jakiś Dupalin.

– Dowody!

– Nie mam. Jest coś jeszcze. Dzisiaj w jakiejś Kommunarce pogrzebią żywcem w grobie jakiegoś Żmijojada. Coś wam mówi to imię?

– Mówi. Dziękuję!

Gryf biegnie korytarzem. Przypomniał sobie, że należałoby zapytać dziewczynę, jak się nazywa. Ale Gryf nie ma teraz do tego głowy. Cycatą niewiastę, która strzegła jego spokoju, cmoknął w locie w purpurowe usta i zniknął za zakrętem.

6

Ten, który jest na samym szczycie, podróżuje w osobistym pociągu. Z parą pociągów pancernych na dokładkę.

Ludzie niżsi stopniem mają osobiste wagony. A były członek Biura Politycznego i dawny władca Ukrainy, a obecnie pierwszy zastępca ludowego komisarza przemysłu ciężkiego, towarzysz Georgij Leonidowicz Piatakow, teraz podróżuje prawie jak zwykły radziecki obywatel, prawie jak

wszyscy. Jego wagon jest nie dla jednego, a dla czterech pasażerów jednocześnie. Każdy pasażer ma dwa połączone ze sobą przedziały. Jeden przedział jest sypialnią, drugi – salonem. Oprócz tych czterech połączonych przedziałów w wagonie znajdują się kuchnia i bufet. I dwa przedziały dla konduktorów i kucharza.

Z byłych przywilejów towarzyszowi Piatakowowi prawie nic nie pozostało. W odróżnieniu od pociągów dla zwykłych radzieckich obywateli wagon z połączonymi przedziałami wjeżdża nie na stację dla wszystkich, a na specjalną, tę, która znajduje się w rejonie Dworca Kurskiego, zakamuflowaną pod okopconą zajezdnią kolejową. Na przedpolach Moskwy wagon specjalny jest odłączany od głównego składu i inną linią kierowany do rzekomej zajezdni kolejowej.

Towarzysz Piatakow jest wypoczęty. Teraz jest zdecydowany niestrudzenie kontynuować walkę o sprawę Lenina-Stalina. Jest gotów walczyć z każdymi odchyłami od generalnej linii partii, gotów osobiście rozstrzelać wrogów ludu, kimkolwiek by się okazali, czy byłymi towarzyszami z Biura Politycznego, czy własną żoną.

Już Moskwa. Szybciej do pracy. Szybciej pograć się w codziennej pracy, w zgiełku i wrzawie wielkich budów.

Kiedyś dawno temu w październiku 1914 roku rewolucjonista towarzysz Piatakow uciekł z okrutnej carskiej katorgi do Szwajcarii. W tamtych latach nie był to problem. Rewolucjonista Piatakow znalazł sposób, żeby zdobyć się na taki wyczyn w wirze wojny światowej, pokonując linie frontu i tereny wroga. Niemcy bez przeszkód wpuszczali takich do Szwajcarii do Lenina, a potem całą szajkę, jak wszy w słoiku, zwrócili Rosji.

Teraz nie ma wojny, towarzysz Piatakow nie jest w obozie, a pełni ważną, odpowiedzialną funkcję. Ma dużą władzę. Ale teraz nie może uciec do Szwajcarii. Skończyło się przekłete panowanie carów, teraz mamy całkowitą wolność pod przywództwem ludu pracującego.

Były rewolucjonista tylko ciężko westchnął.

Zjawili się tragarze, nie pytając, gdzie iść z bagażami, tu są specjaliści tragarze, bez pytań i odpowiedzi wiedzą, jaką walizkę do jakiej personalnej limuzyny nieść. Złapali walizki towarzysza Piatakowa i reszty jego współtowarzyszy: zastępcy komisarza ludowego spraw zagranicznych, zastępcy komisarza ludowego handlu zagranicznego i prokuratora obwodu moskiewskiego.

Na specdworcu wszystko jest specjalne. Specjalny dyżurny, specjaliści zwrotnicy, specjaliści tragarze, którzy nie domagają się pieniędzy i nie biorą napiwków. Towarzysz Piatakow ruszył za nimi.

I nagle z przedziału obok pojawił się Żelazny Gienrich.

– Dzień dobry, Gieorgiju Leonidowiczu!

– Dzień dobry, towarzyszu generalny komisarzu bezpieczeństwa państwowego.

– Jak odpoczęliście?

– Dziękuję, wspaniale.

– Mam sprawę.

– Słucham.

– Zakończono proces Zinowiewa, Kamieniewa, Smirnowa i reszty swołoczy. Zostali rozstrzelani.

– Dla psów – psia śmierć!

– Słusznie! Wy, jeżeli się nie mylę, chcieliście wystąpić na tym procesie?

– Z ogromną przyjemnością. Szkoda, że się nie udało.

– Nic strasznego. Następny proces nad byłymi przywódcami, a teraz wrogami ludu, odbędzie się za cztery miesiące, w styczniu 1937 roku. Gotowi jesteście?

– Gotów! Zawsze zabiegałem o rolę oskarżyciela społecznego!

– Nie, nie, Gieorgiju Leonidowiczu! Wystąpicie nie jako oskarżyciel, a jako oskarżony. O mało nie zapomniałem wam powiedzieć: Jesteście

aresztowani.

7

Gdyby powiedzieć, że Żmijojad nie krzyczał, nie będzie to prawda.

Wrzeszczał. Wył. Jęczał. Ból był potworny, nie mógł się powstrzymać.

Torturami kierował naczelnik grupy egzekucyjnej lefortowskiego aresztu śledczego towarzysz Krajni, a towarzysz Złydzień szczególnie się starał. Reszta nie była gorsza.

Co jest najważniejsze w torturach? Najważniejsze to nie dać klientowi wyjść po angielsku, bez pożegnania, nie wypuścić go śmierci przed czasem. Ten, kto kieruje torturami, powinien być jednocześnie lekarzem, psychologiem i po trosze poetą. Tortury to nie zawód. To powołanie. To talent. Nie każdy potrafi. Czasami – z wyglądu wielki chłop, a trochę mu ścisniesz co nieco i zatrzyma się serce. I tyle. Koniec torturowania. Co to jest? To błąd w sztuce.

Ze Żmijojadem pracowano bez błędów. Z nim nie pracowano po prostu, ale pokazano, jak należy pracować. To jak na uczelni medycznej: Grupa chirurgów przeprowadza misterną operację, a naokoło za szybą setka studentów medycyny uważnie się przygląda, robiąc notatki.

Właśnie teraz tak było. Tyle że drugi i trzeci pluton specjalnej kompanii NKWD siedziały nie za szybą, a na pagórku, jak na trybunie stadionu Dynamo. Torturujący mieli jasne zadanie: dowiedzieć się, kto kazał Żmijojadowi ukraść walizkę w Jarosławlu.

Ani zespół torturujący, ani pilni uczniowie nie mają prawa wiedzieć, co to za walizka. Instrukcja: Kiedy tylko zaczniesz za dużo gadać, zatkać usta. Dowiedzieć się jedynie, kto go wysłał, kim byli partnerzy, kto ubezpieczał, zapewnił transport, ubrania, narzędzia i całą resztę.

Słuchacze śledzą pojedynki śledczych i przesłuchiwanego z najgłębszą uwagą i podnieceniem. To jak partia szachów między mistrzami przy cichej

widowni. Czasami milcząca sala nagle zaczyna hałasować jak kolonia ptaków. Rosną stawki. Zakładają się o to, kiedy chłopak pęknie, czy nie umrze przed końcem seansu, czy opowie wszystko do końca, czy jednak czegoś nie będzie chciał powiedzieć.

Żmijojad nie tylko wrzeszczał. Jeszcze się śmiał. U niektórych ludzi pewne ośrodki nerwowe reagują inaczej. Śmiał się ze wściekłego bólu. Śmiech przechodził w jęk i znowu w śmiech.

Nie wierzył ani w bogów, ani w diabła, ale teraz kogoś, sam nie wiedział kogo, prosił o śmierć. Albo szaleństwo. Ale śmierć nie przychodziła. Nie oszalał. Tortury się przedłużały. Po jakimś czasie jeden z pomocników pobiegł do telefonu, żeby komuś zameldować o rezultatach, dokładniej – o ich braku.

Rezultatów nie było. To rozdzierający skowyt wypełniał leśną polanę, to dziki śmiech. Czasami Żmijojad na długo milkł, wpadając w głębokie omdlenie. To wszystko.

A rezultatów być nie mogło.

Rozdział 15

1

Kierujący torturami popełnił poważny błąd, którego nikt nie zauważył i nikt nie naprawił. Gdy skopanego Żmijojada wyciągnięto na polanę przed ostateczną kaźnią, towarzysz Krajni wskazał mu nową trumnę oraz świeży dół i wytłumaczył, że Żmijojad zostanie pogrzebany żywcem. Widzowie rechotali, nie rozumiejąc, że kierownik popełnia niewybaczalny błąd.

Tortury przecież torturom nierówne. Najważniejsze, żeby pamiętać, po co robi się to wszystko. Jeżeli w imię zemsty, proszę bardzo, znęcaj się na zdrowie, a potem zakopuj żywcem w trumnie. Ale tu prowadzono tortury w celu uzyskania bardzo ważnych informacji. Pogrzebać żywcem, owszem, to będzie zemsta. Ale najpierw wyrwij informacje, kołku! Nie myl jednego z drugim!

Za każdym razem kiedy ból przekraczał wszelkie granice, jak szampan przelewający się przez brzeg kieliszka, Żmijojad był gotów opowiedzieć wszystko. Otwierał usta w ochłapach krwawej piany, pełne ostrych kawałków wybitych zębów. Gotów był wskazać Luškę i Chołowanowa z Ciech Ciechowiczem, powiedzieć, gdzie przy północnym porcie rzeczonym jest schowany statek, zameldować, jak zdołał ukraść walizkę i co się z nią później stało. Ale w ostatniej chwili, w finalnym momencie, przypominał sobie o stojącej obok trumnie: Kiedy tylko opowie, zaraz go do niej zapakują. Dlatego zamiast przyznać się, wył: Jeszcze mnie popamiętacie!

Już nie pamiętał i nie rozumiał sensu tych słów. Wiedział tylko, że po nich będzie nowy przyływ potwornego bólu, ale nie grób. Nie walczył o życie. Wiedział, że wszystko stracone. Ale odwlekał chwilę, jeszcze o jedną minutę. Tylko jedną. I znowu się darł: Jeszcze popamiętacie!

Tortury przychodziły falami, ostateczny, do samej śmierci zbliżający się

przyptyw, a potem rozluźniający odpływ, żeby serce trochę się uspokoiło, żeby nie wykorkował.

I po raz kolejny te same pytania.

I te same odpowiedzi.

– Kim był partner? Jak się nazywał?

– Nie wie... A-a-a.

– Kim?

– Nie pa... A-a-a-hhh.

– Jakiego wzrostu?

– Półtora, dwa metry, nie więcej... A-a-a... Ha-ha-ha... Popamiętacie!

Wtedy przez telefon rozkazano zakończyć przedstawienie.

2

Pędzi po Moskwie samochód jakiegoś nienormalnego wyglądu: stalowe zielone pudełko, drapieżna, ostra jak taran mordą, cztery wielkie koła z każdej strony, huk na pół miasta. Wóz nie uznaje żadnych świateł, żadnych regulatorów. Pierzchają na boki wszyscy na jego drodze: Rozwali! Za nim prują motory NKWD. Prześladowcy gwizdzą w gwizdki: Zatrzymaj się, gadzie! Strzelamy w koła!

W mieście przy takiej prędkości jest wątpliwe, że odważą się strzelać. Wskoczy ten dziwoląg za miasto, wtedy podziurawimy!

Ale motocykliści zwyczajnie sami siebie uspokajają i dodają otuchy. Za miastem też nie będą w koła strzelać. Bo nie ma to sensu. Bo koła są żelazne, tylko po brzegach wykończone gumą, dziur się nie boją, strzelaj czy nie strzelaj.

Chwileczkę, jaki samochód?

Proszę mi wybaczyć, nieco się zapędziłem. Po kolei.

Sprawa wygląda następująco: Gryf wskoczył na motor, Ciech Ciechowicz na tylne siedzenie, w dłoniach przyciskając do piersi coś długiego, niby łopatę, ale znacznie cięższego, zawiniętego w żołnierski koc. Więc złapanie Gryfa za ramiona jest karkołomne. Jeszcze chwila i Ciech Ciechowicz spadnie.

Gryf pędzi ulicą Gorkiego obok Jurija Dołgorukiego, obok zamyślonego Puszkina, obok Dworca Białorusko-Bałtyckiego, na Chodynkę. Śmignął obok wartowni. Na lotnisku go znają, więc wpuszczają. Ale nie wszędzie. Tam, gdzie niedawno odbył się pokaz sprzętu bojowego, nie wszystko sprzątnięto. Co nieco zostało. I to co nieco ogrodzono drutem kolczastym, a przy wejściu stoi groźny wartownik. Poprzednim razem Gryf miał purpurową lśniącą przepustkę z profilem Wieży Spaskiej i napisem „Wstęp nieograniczony”. Ale skończyło się, oddał przepustkę. Jak wejść? Na chama.

Pewnym władczym krokiem zbliża się zdecydowanie do wartownika, wskazując palcem przez ramię na Ciech Ciechowicza:

- Ten jest ze mną!
- Tak jest! – odpowiedział wartownik, przepuszczając obu.

Skoro z tobą, to oczywiście niech idzie! Dopiero pięć minut później wartownik oprzytomniał: Tamten jest z tobą, a ty kim jesteś?

Ale już za późno. Gryf zdążył wezwać dowódcę, który jest tu najważniejszy, i już go strofuje:

- Gdzie czołg BT-7?
- To ten.
- A gdzie wieża?
- Wieżę zdjęto. Wysłano do 1. Moskiewskiej Proletariackiej Dywizji.
- Po co?

– Do BT-7 projektują nową spawaną stożkową wieżę, ale jeszcze nie zakończono jej testów. Dlatego na pokazie tymczasowo wykorzystano cylindryczną wieżę BT-5. Pokaz się skończył, nie była potrzebna, zwrócono

prawowitemu właścicielowi...

- Dobra. Gąsienice zdjęto?
- Zdjęto.
- Też dobrze. Zbiornik pełny?
- Pełny.
- Gdzie kierowca?
- Już leci.
- Dawaj go tutaj.
- Chwileczkę, obywatelu, kim jesteście?

Tu zjawił się naczelnik wydziału specjalnego, wymachując pistoletem: Kto to widział, żeby na teren tajnego obiektu wtargnęli obcy bez przepustek!

- Dokument! – krzyczy tajniak. – Okaż dokument!

Pełniący wartę żołnierze wszczęli alarm – sześciu chłopów z rozprowadzającym lecą ile sił w nogach, stukoczą kutymi butami, szczękają zamkami karabinów.

- Aresztować! – skowyczy tajniak.

Kierowca czołgu, nie reagując na niego, nadaje coś swojemu przełożonemu do ucha.

Gryf do niego: Powtórz!

Tamten powtarza: Ja was, towarzyszu, widziałem na pokazie, wy rozmawialiście szeptem z towarzyszem Stalinem!

– Właśnie! A ja widziałem, jak ciebie, mistrza, chwalił towarzysz Stalin. Biegiem do wozu! Odpalaj!

Poleciał kierowca, zawył czołg.

A warta skierowała bagnety na Gryfa: Podziurawimy!

Chołowanow do Ciech Ciechowicza: Pokaż im sztuczkę!

Ciech Ciechowicz i bez rozkazu wie, co ma robić. Zrzucił żołnierski koc,

odstłonił DP: Posiekę jak kapustę! Rzucić broń!

Nikt nie rzucił broni, ale nie odważyli się strzelać czy atakować bagnietami. Podjechał czołg. Chołowanow wskoczył do środka, skierował wielki pistolet tajniakowi w łeb: Jeśli któryś będzie się wygłupiał – zastrzele tajniaka.

Moment delikatny: Ciech Ciechowicz musi się wdrapać do czołgu. Ale najpierw – podać Gryfowi karabin. Przez chwilę obaj są bezbronni. Dlatego tajniak za zakładnika robi. Gryf go w mordę pistoletem szturcha: No!

Tamten rozkazał wszystkim opuścić lufy. Opuścili. Gryf przejął karabin, Ciech Ciechowicz wgramolił się do czołgu.

Zerwali się, urywając szlaban.

Za nimi tuzin motocyklistów. Na początku dwa. Później już na Ordynce wyskoczyły inne z bocznych uliczek.

Mistrz kierownicy pędzi przez skrzyżowania, nie reagując na światła. Nie ma żadnego pola widzenia na prawo i lewo. Tylko do przodu. Nie po to wymyślono czołg autostradowy, żeby przestrzegał zasad ruchu drogowego. I ten nie przestrzega.

Ciech Ciechowicz i Gryf na podłodze przedziału bojowego trzęsą się od potwornej wibracji, czasami tylko mimochodem za siebie spoglądają, ledwo nad pancerz się wychylają, bo inaczej prześladowcy podziurawią głowę kulami, trzeba ich postraszyć. Po to mają DP, którego ostatnio pewnej dziewczynie zabrakło w konotopskim parku.

– Ciech Ciechowicz, gdzie jest magazynek do erkaemu?

Ciech Ciechowicz przeprosza: zapomniał w pośpiechu.

Nic dziwnego: przyleciał Gryf, drze się jak opętany, żeby chwycić karabin. Ciech Ciechowicz chwycił. A o magazynku z nabojami Gryf nie wrzeszczał, dlatego magazynka brak. To zresztą jest uzasadnione z psychologicznego punktu widzenia. Widzicie na filmach: Nasz pozytywny bohater chwycił automat z rąk zabitego wroga i biegnie dalej. A widzieliście

kiedyś, żeby jeszcze zabrał ładownicę z zapasowym magazynkiem? No właśnie.

Zadziałało jeszcze to, że Ciech Ciechowicz nigdy nie trzymał czegoś podobnego w ręku. Celując z erkaemu do wartowników, Ciech Ciechowicz nie wiedział, że przy karabinie jeszcze powinien być magazynek dyskowy z 47 nabojami, taki jak ma brytyjski Lewis. Ale wartownicy też tego nie pojęli. Zbyt rozjuszona morda na nich spojrzała, wściekle łypiąc oczami, szturchając lufą karabinu w gęby.

Gdyby nawet były naboje, to i tak Ciech Ciechowicz nie wiedział, jak się z tym ustrojstwem obchodzić. Teraz dobrze by było puścić długą serię nad głowami, postraszyć pościg, szkoda tylko, że nie ma czym.

Autostradowy czołg wyskoczył za miasto.

Przydałaby się wieża z działkiem i karabinem maszynowym. Przydałby się od biedy ręczny DP, gdyby była do niego amunicja. Ale zabrakło. Dlatego trzeba znaleźć sposób.

– Ty, bracie, przyhamuj z nawrotką, kiedy tylko cię klepnę ręką po ramieniu.

Kierowca kiwa, że zrozumiał, nie odrywając się od prowadzenia. Tu go Gryf klepnął, widząc, że najbardziej bezczelny motocyklista zaczął ich wyprzedzać.

Czołg zawył, na pełnym biegu nagle zawrócił w poprzek drogi. Motocyklista grzmotnął w pancerną burtę między dwoma środkowymi kołami. Kierowca bez zatrzymywania wrócił na dawny tor i przyśpieszył. W leżący motor, w rozpostartego na drodze trupa, uderzył następny prześladowca i przekoziółkował przez kierownicę. Reszta, nauczona doświadczeniem, przyhamowała.

Na trzech pancernych przypadał jeden pistolet. Co prawda duży. Lahti.

Najlepszy pistolet świata.

Ale gdzie jechać? W Kommunarce wiele opcji: dacze kierownictwa, sanatorium, strzelnica, sektor egzekucyjny, ma się rozumieć, oraz różne placówki, o których nie każdy powinien wiedzieć. Dlatego kierowca przyhamował przy pierwszym napotkanym czekaście, a Gryf wrzucił go za fraki do czołgu: Prowadź!

Dawno temu w młodości Gryf miał szefa kompanii. A najlepsi szefowie, jak wszyscy wiedzą, to Ukraińcy: „Zapiąć guziczek!” Ten miał ulubione powiedzonko: Gdzie oni? Rozszarpię!

I teraz wściekły Gryf, wymachując ogromnym pistoletem, darł się (nie wiadomo dlaczego z ukraińskim akcentem) z wyjącego czołgu jak ten szef kompanii: Gde uoni! Rozszarpię!

Przypadkowi gapie uciekli w popłochu. Nic w tym dziwnego. Tu w Kommunarce – cisza, której nawet specjalnie nie zakłócają odgłosy egzekucji. Ponieważ wszystko wyciszają świerki i sosny. Tu skaczą sikoreczki, zajączki i nagle – ryk, huk i wielki facet z czołgu wywrzaskuje przekleństwa, może pijany, może zbzikował.

Potężny płot. Wysoka brama. Właśnie w tę bramę uderzył czołg, gniotąc i urywając sobie błotniki nad gąsienicami, ale roztrzaskując przeszkodę w drobny mak. Czołg nie ma wieży. Tam, gdzie ma się znajdować wieża, jest okrągła dziura. Z chrzęstem i trzaskiem posypały się nad tą dziurą resztki desek ze śrubami, ryglami i czterocalowymi gwoźdźmi, nie robiąc nikomu krzywdy. Ciech Ciechowicz i Gryf schowali głowy, spadając na podłogę (czekistę, już bezużytecznego, Gryf wcześniej wyrzucił z czołgu). Czołg wleciał na polankę przed świeże doły, zawrócił w miejscu i zastygł przy bandzie oprawców, mrużąc silnikiem jak duży łaszący się kot w dobrych dłoniach właściciela.

Kierowca przy dźwigniach, Ciech Ciechowicz straszy ludzi karabinem, a Gryf skoczył na ziemię i spojrzeniem rozrzucając tłum, ruszył w jego środek. Tu leży trumna nowiutka, świeżutka, z nieciosanych sosnowych desek,

zachowujących zapach lasu. Facet stuka młotkiem – cała gęba gwoździ.

Huknął strzał. Gryf łupnął w ziemię, prosto pod nogi pochylonego nad trumną, uzbrojonego w młotek proletariusza. Tamten zaskowytał, odskoczył. Gryf wali pistoletem w mordę: Otwieraj!

Ilu było czekistów, ja wam dokładnie nie powiem. Nie pamiętam. Gdzieś 130-150. Dlaczego nikt z nich nie strzelał, dlaczego nikt Gryfowi nic nie powiedział i nie przeszkodził – nie wiem, nie mogę wytłumaczyć, a kłamać nie będę.

Gryf schował już pistolet do kabury, jest bezbronny, a o czołgu bez wieży i wściekłym facecie z erkaemem w ręku wszyscy obecni natychmiast zapomnieli: całą uwagę skupiają na Chołowanowie. I pod jego spojrzeniem trzech egzekutorów z porządkowej specgrupy lefortowskiego aresztu śledczego rzuciło się do zrywania wieka z trumny.

Gryf nie rozpoznał Żmijojada. Ten leżał na lewym boku, skulony, z kolanami podciągniętymi do brzucha, na ile się dało. Na nim strzępki spodni. Był martwy. Ale może tylko nieprzytomny. Jego twarz – krwawa szkarłatnosina poduszka, nadgarstki, stopy czarne, całe ciało jak porwane hakami, potrzaskane jego własną francuską łamigłówką. Gryf chwycił go na rękę:

– Żmijojadku, kochany, żyjesz? Powiedz tylko jedno słówko. Zostań ze mną. To ja. Przecież mnie poznałeś? Nie odchodź, Żmijojadzie. Nie odchodź! Przyjechałem cię uratować. I Ciechowicz tu jest. Przecież jesteśmy przyjaciółmi. No! Przyjechaliśmy czołgiem...

Ciech Ciechowicz rzucił karabin na podłogę przedziału bojowego. Bo go nie potrzebował. Wyskoczył. We dwóch podnieśli ciało Żmijojada. Kierowca pomógł go przyjąć. Teraz byli bezbronni. Można ich wystrzelać całą czwórkę, w dołach Kommunarki starczy miejsca dla wszystkich.

Zawył czołg, zawracając w miejscu. Ruszył z miejsca tak, że grudy błota bryzgnęły spod kół. Gryf krzyknął coś, czego w huku nikt nie usłyszał. Ale wszyscy zrozumieli: Popamiętacie mnie jeszcze!

Poranek. Nieugięty Gienrich w swoim kremlofskim gabinecie. Zaciśnął wszystkie swoje emocje w bryłę i wyrzucił z duszy. Teraz jest spokojny i zimny.

Co robić?

Myśleć!

Chołowan siłą wyrwał Żmijojada z rąk NKWD. Autorytetowi Żelaznego Gienricha zadano cios o niebywałej sile. Wieść rozejdzie się w pierwszej kolejności po NKWD, potem – dalej. Kontruderzenie powinno być silniejsze. Powinien to być miażdżący śmiertelny cios. Jak by się nie potoczyło dalej, Chołowan nie będzie żył. Powinien umrzeć w męczarniach.

Ponadto sytuacja się wyklarowała. Żmijojad walizkę ukradł, za jego plecami stał Chołowan. A kto za nim? Chołowan kręci się koło Dupalina, wyraźnie wykonując jakieś jego tajne polecenia. Ale czy stoi za nim Dupalin w tej konkretnej sprawie, oto jest pytanie? W ostatnich dniach Dupalin bardzo szorstko obchodził się z Chołowanem. To może oznaczać, że Chołowan działa na szkodę Żelaznego Gienricha, ale z własnej inicjatywy, na własny rachunek.

Całkiem niedawno Gienrich zaprzepaścił okazję. Zaprzepaścił taką okazję! Od 1 do 4 czerwca w Wielkim Pałacu Kremlofskim odbywało się plenum Komitetu Centralnego, które omawiało projekt nowej stalinowskiej konstytucji. Wszyscy siedzieli na jednej sali. 136 osób. Całe kierownictwo Związku Radzieckiego. Co do jednego! Ochrona Kremla – w ręku NKWD. Można tu jeszcze wprowadzić kompanię specjalną dla większego bezpieczeństwa. Żadnych przeszkód. Po co zwlekał? Po co czekał na bardziej sprzyjający moment? Tu jak w kartach myślał: Zbiorę jeszcze troszeczkę. Przeholował! Czy przeholował? Co się wydarzyło, co się stało? Nic szczególnego. Jakiś łajdak uprowadził czołg bez wieży z Chodynki, siłą wydarł więźnia NKWD. Nikt o tym jeszcze nic dokładnie nie wie.

Co zrobić? Co teraz można zrobić?

Wejście i wyjścia z Kremla są pod kontrolą NKWD. A trzystu wyborowych żołnierzy, jak trzystu Spartan, zrobi wszystko, co im się każe. Ale...!

Ale teraz w Moskwie nie ma Dupalina. Relaksuje się na Krymie. Wszystkich przywódców nie zatrzymasz na jednej sali. Gdyby tak można było zablokować całą łączność w kraju. Tu w Moskwie – zamach stanu, a Dupalin siedzi na Krymie przy odłączonym telefonie. Byłoby to rozwiązanie. Ale w Ludowym Komisariacie Łączności siedzi zakłęty wróg Jagody Rykow, który po Leninie był szefem rządu. Z Rykowem Jagoda prowadzi zaciętą walkę i pragnie skazać go jako wroga ludu na zbliżającym się procesie.

Jeżeli czekać, sytuacja będzie lepsza czy gorsza? Będzie gorzej. Coś trzeszczy i usuwa się spod nóg Żelaznego Gienricha: zniknął kurier, ukradziono walizkę ze złotym piaskiem, wyrwano z rąk NKWD tego, który walizkę ukradł. Wydarzenia stają się coraz bardziej nieprzyjemne, tempo narasta. Trzeba zaczynać dzisiaj. Jutro będzie za późno.

Zapukał do drzwi sekretarz Bułanow:

– Towarzysz Chołowanow do was.

– Jak to Chołowanow?

– Przyszedł i prosi, żeby niezwłocznie go przyjąć.

– Przeszukałeś go?

– Sam oddał mi pistolet i zaproponował, żeby go przeszukać.

– I?

– Czysty.

– Zawołaj.

Wszedł Chołowanow, uśmiechając się szeroko. Wyciągnął dłoń, jakby nic między nimi się nie wydarzyło, mocno uścisnął dłoń Gienricha, która w dotyku wcale nie jest ze stali. Ale Gryf wiedział, że siła człowieka nie polega na sile jego rąk, nóg i ramion, a potędze umysłu Żelaznego Gienricha dawno już dał najwyższą notę.

Gienrich zaproponował, żeby usiedli naprzeciwko siebie: Słucham, towarzyszu Chołowanow.

Chołowanow sprawdził, czy ma zapięty górny guziczek przy kołnierzyku bluzy, i z uśmiechem przekazał radosną nowinę:

– Gienrichu Grigorjewiczu, odtąd cała łączność Związku Radzieckiego jest pod waszą kontrolą. Towarzysz Stalin tak rozkazał. Rykowa zdjęto ze stanowiska. Mianowano was ludowym komisarzem łączności, przyjmujcie obowiązki.

Coś takiego! Lewa ręka Gienricha – pod stołem. Ścisnął nią kolano, żeby nie roześmiać się z radości: Nareszcie!

Uspokoił wewnętrzny triumf i rzucił beznamiętnie:

– Jak sobie poradzę z dwoma komisariatami naraz – i łączności, i NKWD?

– Towarzysz Stalin wszystko przewidział. Zwolnił was ze stanowiska ludowego komisarza NKWD. Na czele NKWD stanie towarzysz Jeżow.

5

Obok gabinetu Stalina mieści się gabinet Chołowanowa. Gryf ciężko opadł na fotel. Wyjął z kabury swój ciężki lahti. Długo mu się przyglądał. Wiedział, że czasami człowiek, który strzela sobie w skroń, może przeżyć. Lepiej w serce. Na nagrobku napiszą: „Chołowanow A.I. 10 lipca 1905-26 września 1936”. Poza tym nic więcej nie napiszą. Na grobach samobójców najczęściej nie piszą nic.

Tego, co zrobił, nie wybacza się. Chołowanow zuchwale powiadomił Jagodę, że tamten został usunięty ze stanowiska komisarza ludowego NKWD. Ale... Ale nikt Jagody nie usunął. Nikt nie mianował Jeżowa. Po prostu właśnie w tej chwili trzeba pokrzyżować mu szyki. Przynajmniej na jakiś czas odsunąć Jagodę od sterów władzy. Bo inaczej...

Gryf tak powiedział, Gienrich mu uwierzył. A jak mógł nie uwierzyć? Z takimi rzeczami nie ma żartów. Chociaż sam Gienrich też lubi zażartować.

Dlaczego nie, dlaczego nie zakpić?... Jeżeli Gienrich uwierzył na słowo, to znaczy, że jest durniem! Czyli nie wszystko jeszcze stracone.

Gryf podniósł słuchawkę łączności specjalnej. Ten telefon nie ma numerów. To bezpośredni kanał tylko do Stalina. Ale łączy od razu ze wszystkimi jego numerami: na Kremlu, w budynku Komitetu Centralnego na Starym Placu, na obu daczach, w Jałcie, nad jeziorem Rica, wszędzie, gdzie on może być.

– Słucham, towarzyszu Chołowanow.

– Towarzyszu Stalin, trzeba usunąć Jagodę.

– Macie jakieś dodatkowe informacje?

– Kradnie złoto, młodziutkie dziewczyny...

– To źle. Ale czy jest coś poważnego?

– Nie. Tylko przecucie. Uważam, że towarzysz Jeżow jest zagrożony, zagrożony jest cały Komitet Centralny, jeżeli zbierze się na jednej sali, ale też zagrożony wtedy, jeżeli się nie zbierze. I wy również, towarzyszu Stalin.

– Skąd macie takie informacje?

– Źródło niesprawdzone, niepewne. Ale to pokrywa się z moimi podejrzeniami, z moimi przecuciami.

– Ale dowodów brak?

– Dowodów brak.

– I co postanowiliście, opierając się na informacjach z niesprawdzonego źródła i na swoich przecuciach?

– Nie tylko postanowiłem, ale już zrobiłem.

– Co?

– Towarzyszu Stalin, powiedziałem Jagodzie, że został usunięty ze stanowiska ludowego komisarza spraw wewnętrznych.

– I... uwierzył?

– Uwierzył.

- Właśnie to jest dowodem winy.
 - A kto zamiast niego?
 - Towarzysz Jeżow.
 - Dlaczego?
 - Jest głównym wrogiem Jagody.
 - Zgadza się. Zaraz napiszę telegram do Biura Politycznego z żądaniem usunięcia Jagody i mianowania Jeżowa. Pora oczyścić stajnie Augiasza w NKWD.
 - Towarzyszu Stalin... Czy nie moglibyście pilnie przyjechać do Moskwy?
 - Po co?
 - A nuż Jagoda nie zechce oddać urzędu i stawi zbrojny opór? Wasza obecność tu jest ogromnie niezbędna. W tej chwili. Na wszelki wypadek. Pociągami długa droga. Sam po was przylecę!
 - Towarzyszu Chołowanow, mam szybsze środki lokomocji.
- Otworzyły się drzwi i z pokoju obok wyłonił się towarzysz Stalin.

6

- Chołowanow zaniemówił.
- Kiedy wróciliście?
 - Nigdzie nie wyjeżdżałem. Obserwowałem waszą pracę. Kontrolowałem sytuację, nie wtrącając się do niej. Wiecie, dlaczego Bonaparte przegrał?
- Chołowanow zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie podstawy teorii marksistowskiej o roli jednostki w historii i roli mas ludowych.
- Nie trzeba teorii, towarzyszu Chołowanow. Bonaparte sam to wytłumaczył: *Sans moi on ne fait que des bêtises*.
 - Ja, towarzyszu Stalin, po francusku nie bardzo.
 - Ja też. Ale klasyka znać trzeba. Przetłumaczyć to można mniej więcej

tak: Beze mnie robią same głupstwa. To wyrok na cały system władzy Bonapartego. Sam – geniusz, ale zupełnie niezdolny do dobierania sobie właściwych ludzi. Kiedy był na miejscu – prawie zawsze zwycięstwo. Bez niego – porażka. Nie mógł być jednocześnie wszędzie. Dlatego nastąpił szereg dużych i małych porażek, które zakończyły się ogólną klęską. A system powinien działać pod nieobecność wodza dokładnie tak, jak i w jego obecności. Po to należy mieć na kluczowych stanowiskach właściwych ludzi. Wybrać ich łatwo: dajcie człowiekowi pełnię władzy i zobaczcie, co z tego wyniknie. Dałem wam pełnię władzy, zobaczyłem, co wyjdzie. Wyszło nieźle.

Stalin podniósł słuchawkę:

– Dajcie Jeżowa. Towarzyszu Jeżow, dzwonię do was z Soczi. Naradziliśmy się tu z towarzyszem Żdanowem i postanowiliśmy mianować was ludowym komisarzem spraw wewnętrznych. To zrozumiałe, że pozostajecie na stanowisku sekretarza Komitetu Centralnego. Zaraz dostaniecie telegram z Soczi. Natychmiast zarządzicie: po pierwsze – wymienić na Łubiance całą ochronę; po drugie – zabrać przepustkę towarzyszowi Jagodzie, nie wpuszczać go więcej do budynku NKWD, nawet w celu przyjęcia i przekazania dokumentów: po trzecie – wyprowadzić z Moskwy specjalną kompanię NKWD i ją rozwiązać. Poza tym porywa on i przetrzymuje gdzieś młode dziewczęta. Trzeba je odnaleźć i uwolnić, pouczając towarzysza Jagodę o niedopuszczalności podobnego zachowania u komunisty wysokiego szczebla.

Stalin odłożył słuchawkę.

– W całej tej historii, towarzyszu Chołowanow, nie zrozumiałem tylko jednego: Jak Żmijojad zdołał ukraść walizkę?

– To proste, towarzyszu Stalin. Żmijojad miał olbrzymią obskurną walizkę z dykty, cuchnącą niemiłosiernie. Była to walizka bez dna. Odwrócono uwagę kurierów i w tym czasie przykrył walizkę kurierów swoją. Pod uchwytem dyktowej walizki była dziura, osłonięta kawałkami sznurka. Tak więc można jednocześnie podnieść swoją walizkę i tę pod spodem.

Żmijojad złapał ją i poszedł sobie. To wszystko.

7

Szczęknięty zamki, zgrzytnęły rygle, otworzyły się drzwi. W drzwiach pojawił się nieduży człowiek w butach z cholewami, w zielonej, ciasno ściągniętej pasem bluzie bez dystynkcji.

Zatrzymał się w drzwiach, uśmiechnął się i przedstawił:

– Dzień dobry, jestem Jeżow.

– Dzień dobry.

– Towarzyszko Strzelecka, przyszedłem was uwolnić.

– Dziękuję.

– Teraz zawiozą was do domu. Czy są jakieś pretensje?

– Nie.

– Wobec tego – drobna formalność. To dokument o zachowaniu tajemnicy. Pokwitujcie tu i tu. Nigdy nikomu nie opowiecie, co się stało.

– Co powiem swoim rodzicom, przyjaciołom, gdzie byłem przez tyle dni i co robiłam?

– Nie martwcie się. Już wszystko opowiedziano: pomagałyście naszym czujnym kompetentnym służbom unieszkodliwić niebezpiecznego przestępcę. To wszystko, co powinni wiedzieć wasi najbliżsi. Nikt – nauczyciele, przyjaciele, rodzice – nie ma prawa pytać. A wy nie macie prawa odpowiadać.

– A czy mam prawo wiedzieć, jakiego przestępcę pomogłam unieszkodliwić?

– Tak, oczywiście. Nazywa się Gienrich Jagoda. Został przeniesiony na stanowisko ludowego komisarza łączności.

– Ale przestępcę trzeba aresztować!

– Przyjdzie czas, to aresztujemy.

– Będę czekać.

– NKWD wypłaci wam zadośćuczynienie za bezprawne aresztowanie. Zostanie to uzasadnione jako premia pieniężna za pomoc w złapaniu wrogiego szpiega. Zgoda?

– Zgoda.

– To wszystko, towarzyszeko Strzelecka. Życzę szczęścia. I pamiętajcie: odegrałem w waszym życiu ważną rolę.

– Dziękuję, towarzyszu Jeżow. Jeżeli będzie możliwość, postaram się odegrać ważną rolę w waszym życiu.

I oboje uśmiechnęli się do siebie.

Epilog

Żmijojad leży na sali kremlowskiego szpitala. Jego twarz wciąż przypomina szkarłatną poduszkę. Ale oczy już się otworzyły. Są większe niż szparki. Nie przypomina już japońskiego samuraja z karykatur Borysa Jefimowa. Białka oczu zupełnie czerwone. Ręce i nogi w bandażach. Zamiast zębów – ostre odłamki.

Obok niego stoi w białym fartuchu Chołowanow.

– Towarzysz Stalin polecił wstawić ci zęby z kołymskiego złota. Będziesz odbijać uśmiechem blask słońca. Wszystkie dziewczyny twoje. Żadna takiemu uśmiechowi się nie oprze.

– Zobaczymy, towarzyszu Chołowanow.

– Żmijojadzie, nie zwracaj się do mnie więcej per towarzyszu Chołowanow. Dla przyjaciół jestem Gryf.

– Dobra, Gryfie. Ale i ty nie nazywaj mnie więcej Żmijojadem.

– A to dlaczego?

– Żmijojad to ten, który morduje czekistów. A ilu ich mam na koncie? Z pobudek osobistych – pięciu czy sześciu, nie więcej. No i jeszcze z dziesięciu na podstawie wyroku. Jaki ze mnie Żmijojad? Do NKWD przyszedł towarzysz Jeżow. Myślę, że jeszcze pokaże, na co go stać. Tylko z najwyższej czekistowskiej kadry wystrzela trzydziestu albo czterdziestu. Gdzie mi tam do niego?

– Przesadziłeś: trzydziestu albo czterdziestu. Najważniejszych!

– Zapamiętaj, Gryfie, moje słowa: właśnie on, Mikołaj Iwanowicz Jeżow, zostanie prawdziwym Żmijojadem wszech czasów. Zakład?

– Nie będę się z tobą, Szyrmanow, zakładał. Lepiej powiem ci coś, ale zachowaj to dla siebie. Teraz rozstrzelanych czekistów będą nie dziesiątki, nie setki, a tysiące. Całej reszcie też się dostanie. Ale nie ma podstaw

zakładać, że Jeżow będzie przyszłym Żmijojadem wszech czasów. Znam jednego towarzysza u władzy, przy którym Jeżow błednie jak księżyc przy wschodzie słońca. Tamten jest Żmijojadem. Prawdziwym. Żmijojadem nad Żmijojadami.

Postłowie

26 września 1936 roku były członek Biura Politycznego i były przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych ZSRR Aleksiej Iwanowicz Rykow, który zastąpił Lenina na stanowisku szefa rządu Związku Radzieckiego, został zdjęty ze swojego ostatniego urzędu, stanowiska ludowego komisarza łączności ZSRR.

Tego samego dnia, 26 września 1936 roku, generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego Gienrich Grigorjewicz Jagoda został zdymisjonowany ze stanowiska ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR i ustanowiony komisarzem ludowym łączności ZSRR.

Przed nim te przeklęte stanowisko zajmowali: Smirnow, zamordowany w lefortowskim areszcie śledczym przed oficjalnym wykonaniem wyroku śmierci, Lubowicz, Antipow i Rykow, który się stoczył z samego szczytu. Dla wszystkich poprzedników Jagody urząd okazał się fatalny. Po nim zaczynał się błyskawiczny upadek do najmroczniejszych otchłani. Teraz ten urząd objął Jagoda. Zachował specjalny stopień generalnego komisarza bezpieczeństwa państwowego, nadal nosił mundur z odpowiednimi dystynkcjami: na lewym ramieniu – miecz w wieńcu laurowym, w niebieskich naszywkach i na rękawach – duże złote gwiazdy. Podwładni mogli się do niego zwracać tylko zgodnie z regulaminem, który sam napisał: towarzyszu generalny komisarzu bezpieczeństwa państwowego!

Ale nie trwało to długo.

27 stycznia 1937 roku Gienrich Grigorjewicz Jagoda w wieku 45 lat został przeniesiony do rezerwy bez prawa noszenia munduru NKWD. W stopniu, który wymyślił dla siebie, przebywał jeden rok, jeden miesiąc i jeden dzień. Od tej chwili ludowy komisarz łączności ZSRR Jagoda pojawiał się na służbie w bluzie i koalicjantce, ale bez dystynkcji – bez niebieskich naszywek, wieńca laurowego, miecza i gwiazd. Teraz zwracano się do niego per towarzyszu komisarzu ludowy.

28 marca 1937 roku ludowy komisarz łączności ZSRR Jagoda został aresztowany w swoim gabinecie „w związku z ujawnionymi przestępstwami o charakterze kryminalnym, związanymi z wykonywaniem urzędu”. Po bardziej dokładnym dochodzeniu śledczy odkryli związek Żelaznego Gienricha z wrogami ludu Trockim, Zinowiewem, Kamieniewem, Bucharinem i Rykowem, a także z wywiadami Niemiec, Japonii i Polski. Postawiono mu zarzuty zorganizowania spisku, przygotowaniu zamachu stanu, udziału w zamachu na Lenina w 1918 roku, przygotowania zamachu na towarzyszy Stalina i Jeżowa, szpiegostwie na rzecz trzech państw naraz.

2 marca 1938 roku Jagoda stanął w obliczu najsprawiedliwszego na świecie radzieckiego wymiaru sprawiedliwości. Razem z nim osądzono jeszcze 20 terrorystów, sabotażystów, szpiegów, trucicieli, dywersantów, w tym trzech byłych członków Biura Politycznego: byłego szefa Międzynarodówki Komunistycznej Bucharina, byłego przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Rykova, byłego sekretarza Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej Krestinskiego, z którymi Jagoda tyle lat walczył. Teraz się okazało, że i Jagoda, i ci, z którymi walczył, byli członkami jednej bandy morderców, wrogów i spiskowców, którzy z premedytacją i celowo przygotowywali obalenie władzy ludowej.

13 marca 1938 roku wydano wyrok: 18 oskarżonych otrzymało najwyższy wymiar kary za przestępstwo kryminalne, Pletniew – 25 lat, Rakowski – 20, Biessonow – 15.

Najbardziej ludzka na świecie władza robotników i chłopów wykazała się humanitaryzmem i umożliwiła Jagodzie oraz reszcie skazanych na karę śmierci napisanie prośby o ułaskawienie. Cała osiemnastka napisała prośby, ale władza robotniczo-chłopska je natychmiast odrzuciła.

Wyrok na Gienrichu Grigorjewiczu Jagodzie wykonano w piwnicy centralnego gmachu NKWD na Łubiance 15 marca o godzinie 00.40.

Pozostałych 17 przestępców rozstrzelano 15 marca w specobiekcie Kommunarka, za murami posiadłości, w której kiedyś mieszkał Jagoda.

Trzech wrogów ludu, którzy dostali w tym procesie karę więzienia, po ogłoszeniu wyroku siedziało tylko trzy i pół roku. Rozstrzelano ich na mocy decyzji Kolegium Specjalnego NKWD (OSO) 11 września 1941 roku w orłowskim areszcie śledczym.

Starszy major bezpieczeństwa państwowego Paweł Pietrowicz Bułanow po dymisji Jagody również przy Jeżowie pozostał na stanowisku sekretarza NKWD i sekretarza Kolegium Specjalnego NKWD (OSO).

28 listopada 1936 roku za wybitne osiągnięcia przy zapewnieniu bezpieczeństwa naszej wielkiej Ojczyzny został odznaczony najwyższym odznaczeniem państwowym ZSRR, Orderem Lenina.

5 grudnia 1936 roku delegat VIII Nadzwyczajnego Zjazdu Rad, kawaler najwyższego odznaczenia państwowego, starszy major bezpieczeństwa państwowego Bułanow razem z resztą delegatów zatwierdził i uchwalił nową konstytucję stalinowską jako ustawę zasadniczą państwa. 5 grudnia został ogłoszony dniem wolnym od pracy, ogólnozwiązkowym ogólnokrajowym świętem – Dniem Konstytucji Stalinowskiej. Po raz pierwszy obchodzono go w 1937 roku.

29 marca 1937 roku, następnego dnia po aresztowaniu Jagody, Bułanow został aresztowany przy wyjściu z restauracji w centralnym budynku NKWD na Łubiance. Oskarżono go o przygotowanie zamachu stanu oraz inne przestępstwa. Bułanow był sądzony w grupie Jagody. Razem z nim 13 marca 1938 roku został skazany na najwyższy wymiar kary z konfiskatą mienia, pozbawieniem odznaczeń i stopnia starszego majora bezpieczeństwa państwowego. Rozstrzelano go 15 marca w Kommunarce.

18 grudnia 1937 roku honorowy czekista, kawaler najwyższego odznaczenia państwowego, czyli Orderu Lenina, naczelnik Dalstroju Eduard Pietrowicz Berzin w osobistym czerwonym wagonie pociągu kurierskiego Władywostok-Moskwa przyjechał do Moskwy, stolicy naszej wielkiej Ojczyzny i całego światowego proletariatu, w celu udziału w posiedzeniu radzieckiego rządu w sprawie zwiększenia wydobywania złota na Kółmie. Został aresztowany na pierwszym peronie Dworca Jarosławskiego.

1 sierpnia 1938 roku Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR za zdradę Ojczyzny, działanie na szkodę przemysłu państwowego i zorganizowaną działalność skierowaną na obalenie istniejącego ustroju skazało go na najwyższy wymiar kary z konfiskatą mienia, pozbawieniem stopnia wojskowego i odznaczeń. Rozstrzelano go 9 minut po ogłoszeniu wyroku.

W czasach Jagody w NKWD było łącznie 41 komisarzy bezpieczeństwa państwowego.

Komisarz generalny bezpieczeństwa państwowego (odpowiednik marszałka Związku Radzieckiego) – 1.

Aresztowany w 1937 roku, rozstrzelany w 1938.

Komisarze bezpieczeństwa państwowego 1 rangi (odpowiednik komandarma 1 rangi) – 7.

W 1937 roku zostali aresztowani: Agranow, Balicki, Dieribas, Błagonrawow, Prokofiew.

W 1938 roku zostali aresztowani: Zakowski, Redens.

Z tych rozstrzelani w 1937 roku – 2, w 1938 roku – 4, w 1940 – 1.

Komisarze bezpieczeństwa państwowego 2 rangi (odpowiednik komandarma 2 rangi) – 13.

W 1937 roku zostali aresztowani: Gaj, Kacnelson, Mironow, Mołczanow, Paukier, Pilar, Szanin.

W 1938 roku zostali aresztowani: Zalin, Karlson, Leplewski.

Słucki został zamordowany przez pierwszego zastępcę ludowego komisarza spraw wewnętrznych, komandarma 1 rangi Frinowskiego w gabinecie Frinowskiego. (Frinowskiego rozstrzelano 8 lutego 1940 roku podczas drugiej fali czystek NKWD.)

W 1939 roku aresztowano Bielskiego.

Z tych rozstrzelani w 1937 roku – 4, w 1938 roku – 5, w 1940 – 1, w 1941 roku – 1.

Wówczas nie został usunięty i zamordowany tylko jeden komisarz bezpieczeństwa 2 rangi, Goglidze.

Komisarze bezpieczeństwa państwowego 3 rangi (odpowiednik armijnego komkora) – 20.

W 1936 roku aresztowano Sosnowskiego.

W 1937 roku zostali aresztowani: Bak, Bokij, Zapadnyj, Zirnis, Puzicki, Rappaport, Rieszietow, Rud', Styrnie.

Samobójstwo popełnili: Mazo, Pogriebinski.

W 1938 roku zostali aresztowani: Berman, Bystrych, Dagin, Dejcz, Nikołajew-Żurid.

Samobójstwo popełnił Karucki.

Uciekł do Mandżurii Luskow, został zabity przez Japończyków w 1945 roku.

Spośród aresztowanych rozstrzelano w 1937 roku – 7, w 1938 roku – 4, w 1939 roku – 3, w 1940 roku – 1.

Nie został usunięty i zamordowany wówczas tylko jeden komisarz bezpieczeństwa 3 rangi, Sumbatow-Topuridze. Powodem był fakt, że Stalin po usunięciu Jagody ze stanowiska szefa NKWD i powołaniu na nie Jeżowa już szukał następnego kandydata. Jedną z opcji – Beria i kierowana przez niego grupa kaukaska. Komisarz bezpieczeństwa państwowego 2 rangi Goglidze i komisarz 3 rangi Sumbatow-Topuridze nie należeli do ekipy Jagody i nawet nie do ekipy Jeżowa, to byli ludzie Berii. W 1938 roku Jeżow został usunięty ze stanowiska szefa NKWD, a jego miejsce zajął Beria. Jego ludzie, w tym Goglidze i Sumbatow-Topuridze, wysoko awansowali. Ale razem z Berią upadli. Po śmierci Stalina aresztowano Berię razem z najbliższymi współpracownikami. Berię i Goglidzega rozstrzelano jednego dnia – 23 grudnia 1953 roku. Sumbatow-Topuridze w trakcie tego wszystkiego zwariował. Zmarł w więziennej izolatce psychiatrycznej.

W 1937 i 1938 roku starsi majorowie (odpowiednik armijnego

komdywa), majorowie bezpieczeństwa (odpowiednik armijnego kombryga), kapitanowie bezpieczeństwa (odpowiednik armijnego pułkownika) i wszyscy pomniejsi ucierpieli ponad miarę i jeszcze trochę ponadto. Praktycznie całe pokolenie czekistów kadencji Jagody zostało wycięte na pniu.

19 grudnia 1936 roku komendancka specgrupa lefortowskiego aresztu śledczego w pełnym składzie została zwolniona z organów NKWD. Dalsze losy wykonawców wyroków i ich pomocników nie są mi znane. Szyrmanow, zastępca Chołowanowa do spraw szemranych, miał możliwość i środki, żeby z własnej inicjatywy odnaleźć każdego z nich i z każdym policzyć się osobiście bez udziału sądu i śledczych.

Nie wykluczam, że tak się stało. Ale dokładnych informacji nie mam.

13 września 2010

Bristol